

SS
MOWA BIBLIOTHEK
RODZINA

Biblioteka
UMK
Toruń

01436 / 5

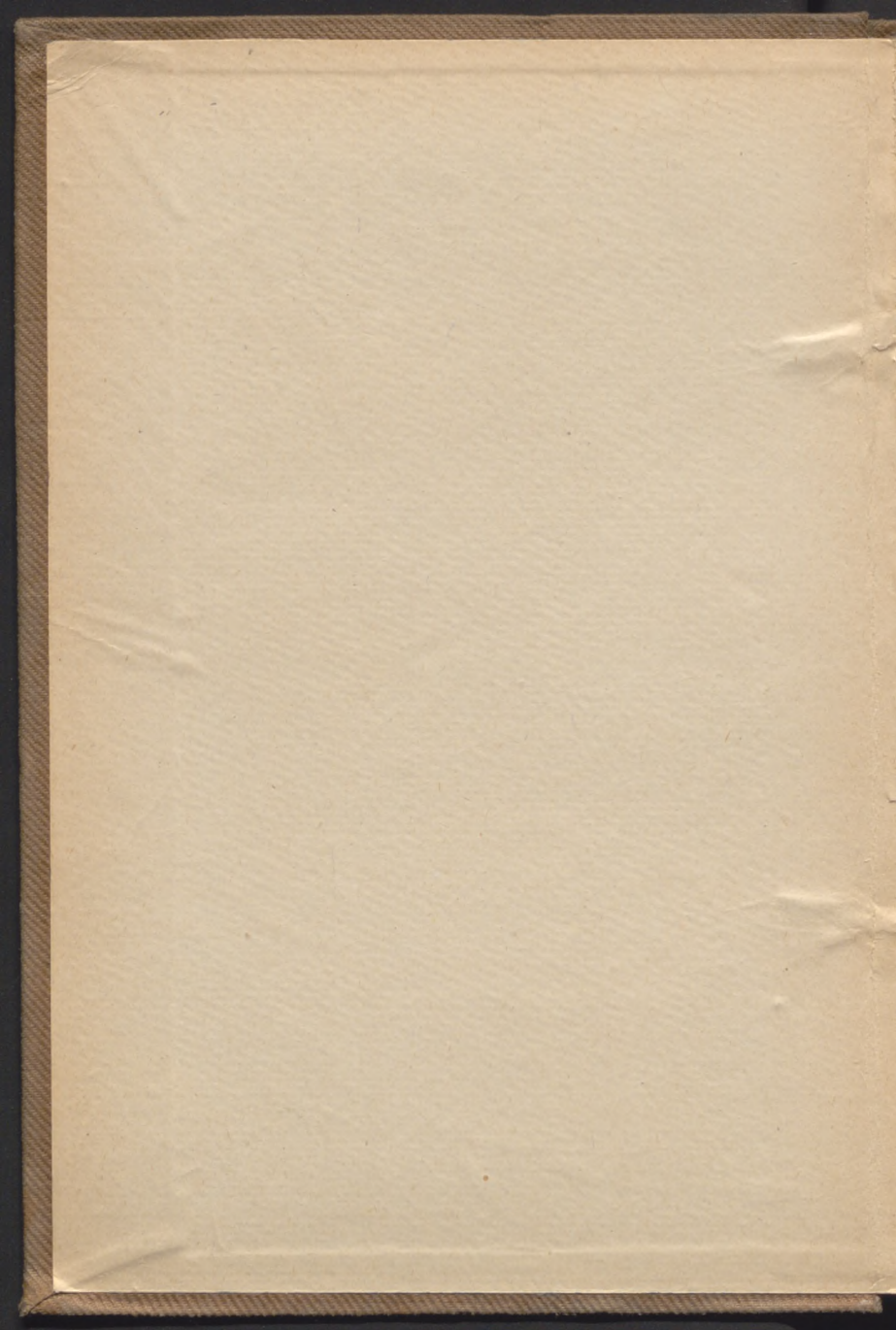
22

Towca

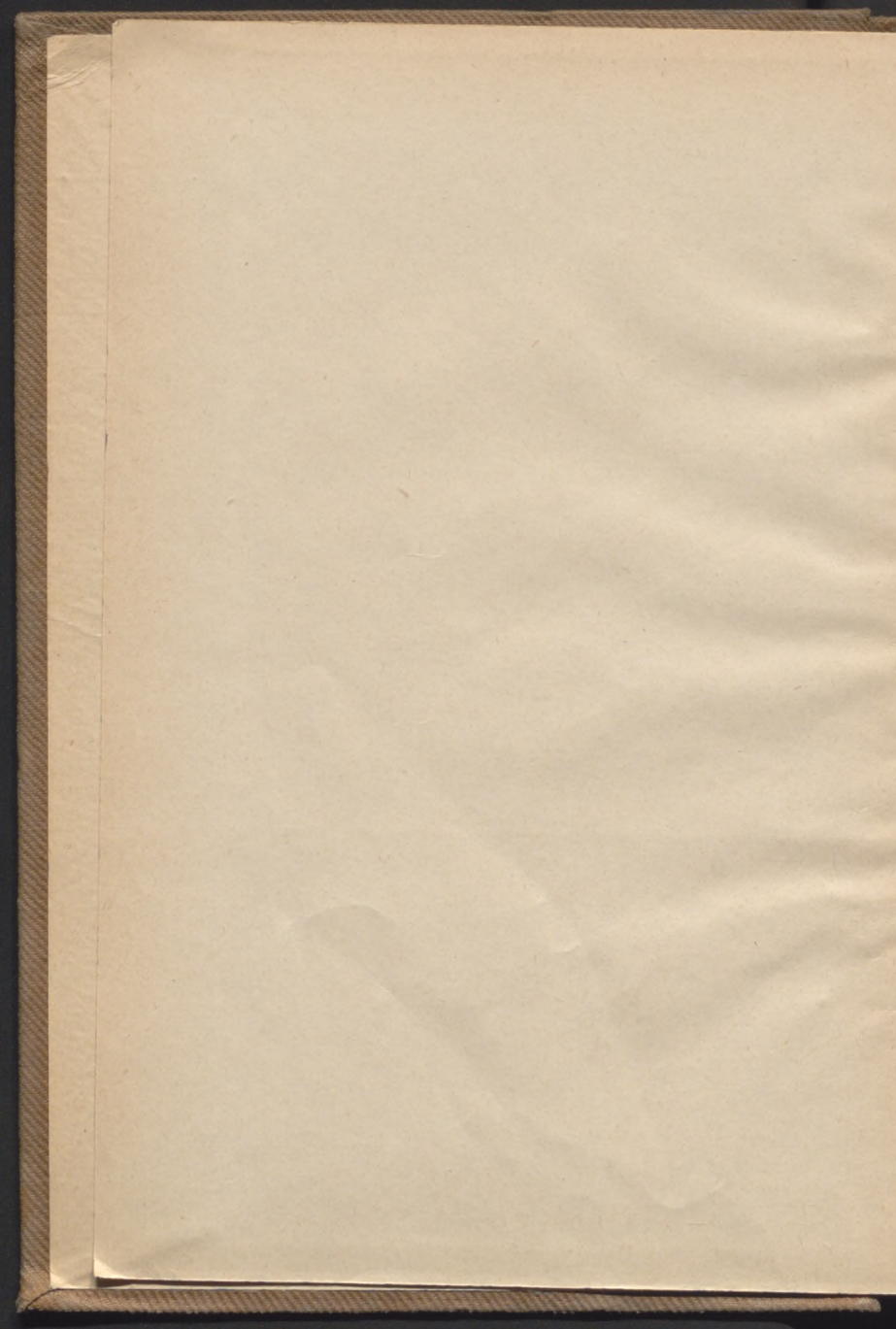


Biblioteka
Rodzina

TOWCA BIBLIOTEKA RODZINA



W. GIBASZEWSKI



487
I

NOWA BIBLIOTEKA RODZINNA.

OGÓLNEGO ZBIORU. TOMIK V.

MADE IN U.S.A.
1958

☆ Z księgozbioru

Władysława Gibaszewskiego. ☆

NOWA

BIBLIOTEKA RODZINNA.

5.

TREŚĆ:

Oktawiusz Feuillet.

PO ŚMIERCI

(La morte).

Powieść.

Przełożył J. S. H.



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA.

WE LWOWIE SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI POLSKIEJ.

POZNAŃ

A. CYBULSKI.

1890.

WARSZAWA

GEBETHNER I WOLFF.

1890

WSPÓŁWYDAWCA A. KACZURBA.

01436



W KRAKOWIE, W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

W. 2586/65

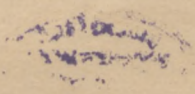
OKTAWIUSZ FEUILLET.

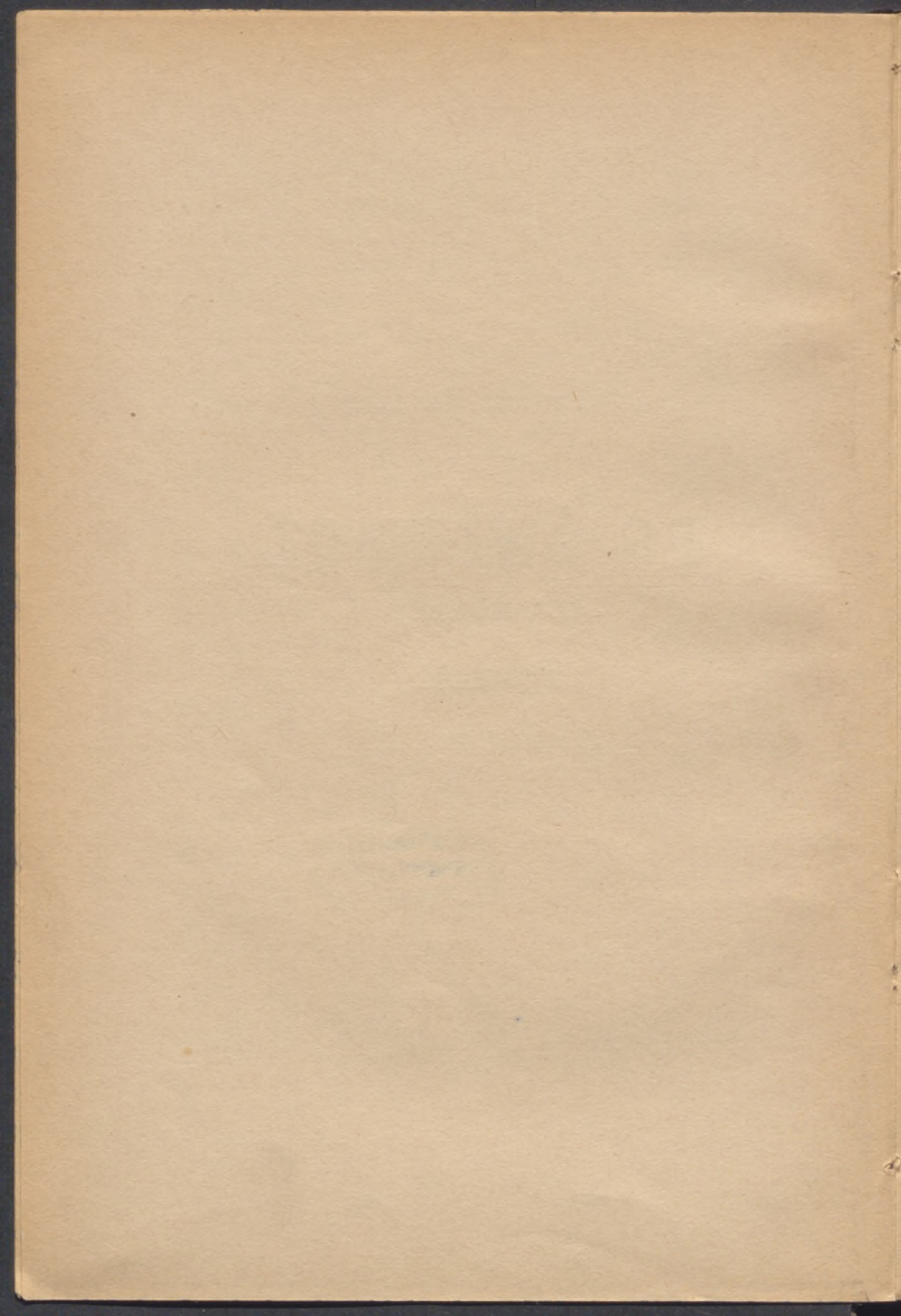
PO ŚMIERCI.

(LA MORTE).

POWIEŚĆ.

Przetłóżył J. S. H.







CZEŚĆ PIERWSZA.

Dziennik Bernarda.

La Savinière we wrześniu 187.*

Jestem u stryja na wsi. Stary wprowadzie świetny ma dar bawienia, ale czasem nie staje mu konceptu. To też wpadłem na pomysł, w chwilach nudów w danym razie nieuniknionych, oddać się literackiej pracy. Teraz powszechnie piszą tak źle, że pochlebiam sobie nie gorzej władać piórem od innych, chociaż dotąd właściwie same tylko układałem telegramy. Sąsiedzi stryja, mieszkający w pobliskim zamku, pozwolili mi korzystać z bogatej swej biblioteki, a że ta obfituje osobliwie w książki, traktujące o wieku siedmnastym, zrazu miałem ochotę wziąć się do historii Ludwika XIV, ile że podobne dzieło nie udało się Wolterowi. Ale po głębokiej rozwadze wolę już opowiadać własne dzieje, bo więcej mię zajmują. A i czytelnik (jeżeli go znajde) przyzna mi, że milej jest widzieć własną twarz w zwierciadle, niż w niem przyglądać się cudzej.

Otóż mam lat trzydzieści, jestem smukłego wzrostu, zgrabny, mam rudawe włosy, tańczę do-

brze i nie gorzej jeżdżę. Na tym opisie mojej osoby potomność będzie musiała poprzestać. Nie jestem też bez ukształcenia, a także na punkcie moralności nie można o mnie powiedzieć nic tak dalece złego; właściwie jedną tylko mam wadę, że nic w świecie nie biorę na seryo. Gdy przed kilku laty piękne oblicze starca, któregom niegdyś nazywał Bogiem, nikło z mego widnokregu, gorzkie łyzy lałem; ale wkrótce wróciła mi równowaga umysłu, i odtąd pogodna wesołość należy do istoty mego szczęśliwego usposobienia. Niższe warstwy naszego społeczeństwa widzą w arystokracji tylko rupiecie przestarzałych przesądów — ale to fałsz, ... przynajmniej o ileby mnie ten zarzut dotyczył. Że tradycyi robię niejaki ustępstwa, każdy łatwo zrozumie; ale to pomijając, oświadczam uroczyście, iż największy realista, najzapamiętaleszy karbonaryusz, najzacieklejszy zwolennik Maryanny¹⁾ obok szlachcica piszącego te słowa, musiałby uchodzić za przesądną babę.

Mimo to uwziął się stryj, ożenić mię z panną, która nietylko sama jest niesłychanie pobożną, ale należy do rodziny, hołdującej najsurowszym zasadom religii. Ten ustęp z mego, zresztą jednostajnego żywota wydaje mi się dość zajmującym, jako przedmiot do opisu; on też jedynie będzie stanowił treść niniejszego dziennika. O przeszłości mej

¹⁾ Tajemne towarzystwo ze socjalistycznymi dążnościami, r. 1851 we Francyi zawiązane.

wspomnę tu tylko tyle, ile potrzeba do zrozumienia obecnej chwili, przyszłość zaś składam w ręce odwiecznych bogów.

Nazywam się Bernard, Maurycy, Hugo de Montauret, wicehrabia de Vandricourt, a na naszej tarczy błyszczą złote bizantyńce krzyżowców, czem także nie godzi się gardzić. Gdy mój stryj, hrabia Montauret de Vandricourt, głowa rodziny, przed kilku laty utracił jedyne go syna, jestem ostatnim dziedzicem imienia, które obaj radziłyśmy utrzymać. Tylko co do sposobu utrzymania tegoż różniłyśmy się dłuższy czas w zdaniu: stryj życzył sobie, abym ja się starał o to, ja zaś na stryja chciałem włożyć ten obowiązek. Jako wdowca usilnie nakłaniałem go do ożenienia, bo cieszył się czerstwem zdrowiem i wyglądał na męża, dla którego przyszłość nie jedną kryła niespodziankę; lecz oporu jego żadną miarą nie mogłem pokonać, zapewne miał powody, o których trafności sam może najlepiej sądził.

Bardzo niesłusznie wzruszała go pozorna moja bezinteresowność, gdy go namawiałem do małżeństwa; bo w rzeczywistości z dwojga złego wybierałem mniejsze, gdyż łatwiej wyrzec się spadku, niż siebie samego, wolność i honor narażać na niepewne losy i niebezpieczeństwa małżeńskie. Choć, jak wyżej nadmieniałem, nie uginam się tak bardzo pod brzemieniem zasad, toż jednak nie chcę się zapierać pewnych obowiązków, do których należy niewątpliwie utrzymanie dawnego rodu i tar-

czy z bizantyńcami na tle czerwonym. Ale, że na nieszczęście niema innego ku temu środka, jak prawowite małżeństwo, przeto już od roku obaj zgodziliśmy się w zasadzie, że ja mam się ożenić i spłodzić dużo dzieci. Skoro stanęło na tej umowie, stryj z gorączkową niecierpliwością starca naglił mię do rychłego jej wykonania, a ja z nowem zupełnie zajęciem począłem studyować nieznanym mi dotąd rodzaj kobiet, t. j. młode panny. Kobiety, jak mi się zdawało, znałem dobrze, bo już oddawna z osobliwszem poświęcałem się im wylaniem, ale dziewczęta były mi dotąd całkiem obce — przynajmniej tak sądziłem. Z wielkiem zdziwieniem, i dodać muszę — z wielkiem rozczarowaniem, przyszedłem wkrótce do poznania, że między oboma rodzajami niewiast — przynajmniej w Paryżu — tylko nieznaczące są różnice, co więcej, że dziewczęta w każdym względzie mogłyby nieraz służyć kobietom za mistrzynie.

I tak pamiętam, stara księżna Castel-Moret, bardzo mi przychylna, urządziła była raz wieczorek dla młodziutkich panien w domu swym przy ulicy św. Dominika, i zaprosiła nań dziewczęta w wieku od lat piętnastu do dwudziestu dwu. Wieczorek ten niejako ze względu na moje zamysły był dany, bom zwierzył się księżnie z zamiarem ożenienia, ona zaś dla ułatwienia mi zgromadziła u siebie taki wybór panien, iż, jak mówiła, potrzebowałbym wyciągnąć rękę tylko, aby owładnąć jaką perłą. Wszystkie te urocze aniołki w białych

i różowych sukienkach, z niewymuszoną ochotą tańczące ze sobą, tworzyły obraz isticie rajskej niewinności, tak, iż mi wybór stawał się bardzo trudnym. Był to prześliczny dzień w czerwcu. Po tańcach rozbiegły się panienki po ogrodzie dom otaczającym, gdzie na murawie zastawiono herbatę. Cofnąłem się za grupę rododendronów, aby uspokoić gwałtowne bicie pokonanego urokiem serca, gdy wtem z innej strony krzaków wychyliło się kilka powabnych tancerek. Było ich trzy, rozmawiały półgłosem, na ustach serdeczny miały uśmiech, i patrzyły na świat dużemi, fiołkowemi, szeroko rozwartemi oczyma. Podśluchałem je mimowoli — lecz nie powtórzę, co ku memu przerażeniu z ich dziewiczych wyszło ustek; mała nawet musiałaby się zarumienić ze wstydu.

Gdy powiedziałem to starej księżnie, pamiętającej lepsze czasy, zapewniała mię, że nic podobnego w życiu nie słyszała, a i teraz nie może dobrze pojąć, coby panny pod tem rozumiały. Ale dziś w towarzystwach całkiem swobodnie mówi się o rzeczach, które nigdy nie dochodziły do uszu matek naszych i babek.

Nie przypuszczam, iżby przedwczesną tę dojrzałość naszych panien przypisać można moralnemu skoszlawieniu przez matki, owszem silniem przekonany, że każda kobieta, chociażby własna jej moralność, na bardzo kruchej spoczywała podstawie, pragnie w czystości wychować córkę. Osiągnąć ten cel chwalebny przeszkadza jej poprostu zupełny

brak zdrowego rozsądku, bo chyba tylko ślepotą mężów równa się zaślepieniu matek. Każda zdaje się wierzyć, że wszystko na świecie może uleść zepsuciu, z wyjątkiem... jej córki. Wolno bezkarnie narażać je na niebezpieczeństwo podejrzanego towarzystwa, podniejących zmysły przedstawień teatralnych, dwuznacznych rozmów, bo wszystko, co uderzy oczy, przedrze się do uszu, wsiąknie w duszę córek, już przez to samo staje się czystem i dobrem. Córki ich to salamandry, które bez obawy mogą iść przez ogień, choćby przez ogień piekła. W tem miłem będąc przekonaniu, nie waha się matka ani chwili, wydać córkę na łup psujących wrażeń tak zwanego paryskiego życia, które jest tylko praktycznem urzeczywistnieniem siedmiu grzechów głównych.

W gruncie rzeczy jednak i biedne matki, i biedne ich córki słusznie mogą liczyć na pobłażliwość każdego myślącego człowieka. Bo i je porywa silny prąd, który już nas wszystkich pochwycił — prąd cywilizacji upadku. I w upadku, jeśli się nie mylę, pogrążony jest naród, który ma jeszcze tylko żądze — a że od góry do dołu stoimy już nad przepaścią, chyba nie potrzeba dowodzić. Dziś dla każdego żądza użycia jedynem jest prawem i jedynym artykułem wiary; każda inna religia jest kwestyą przyzwoitości. Innego nie mamy wyjścia, musimy poddać się... już dawno to uczyniłem.

Zresztą wyznać muszę, że wypadek na balu u księżnej cokolwiek zbił mię z tropu w zamiarach

matrymonialnych. Zasady zdrowej filozofii jednak zwyciężyły i umocniły mię w powziętem postanowieniu.

— Jakiem prawem — powiedziałem sobie — śmiem żądać, aby żona moja była lepszą odemnie? Po tem, com przypadkowo z rozmowy dziewcząt usłyszał, wiem, że nie mają ideałów, ależ czy ja mam ich więcej? Wiem także, iż tylko z imienia są chrześciankami, a duszą i ciałem nurzają się w materyalistycznym pogaństwie, ależ cóż innego ja czynię? Czy mąż nie powinien zadowolić się żoną, na jaką zasłużył? i odwrotnie? Tak nawet lepiej, bo tylko wtedy jest równowaga i harmonia w małżeństwie. Zresztą czyż żenię się z pobudek idealnych? czy pragnę pędzić żywot bohatera romansu? Gdy sam do małżeństwa nic nie wnoszę, nie mam prawa liczyć na to, iż w niem co znajdę. Nie! od małżeństwa wymagam: przyzwoitości, spokoju, prawego potomstwa i dobrej kuchni — a to mi dać może każda z owych miłych panienek. Jakżeby niewygodną była mi żona, któraby przy świetle księżyca kazała mi w gaiku marzyć o nieśmiertelności duszy!

Po tym monologu postanowiłem postąpić jak inni, t. j. ożenić się z pierwszą lepszą, byle tylko potrafiła zadość uczynić tym kardynalnym a tak łatwym do spełnienia warunkom. Z tem wszystkim ochłódłem trochę w zapale i postanowiłem nie bardzo się spieszyć.

W tym czasie — a było to dwa lata temu —

stryj opuścił Paryż i odtąd zamieszkał na wsi, z czem z tej strony mniej byłem nagabywany. Co go skłoniło do wyjazdu na wieś, jest dla mnie tajemnicą, bo zakochany był w paryskich bulwarach, i we wielu innych rzeczach, które tylko w Paryżu znaleźć można. A może w nich nie znajdował już tyle przyjemności, jakby pragnął, i to go trochę gnębiło. Dość na tem, że wyrzekł się Paryża, osiadł w zamku La Savinière, między Normandyą a Bretonią, i został hodowcą koni. Odtąd jako przywiązany brataniec raz na kwartał zwykłem go odwiedzać, a to tak, iż jedną noc przepędzam we wagonie, jadąc do niego, a drugą, gdy wracam, i nigdy dłużej niż dzień jeden w zamku nie bawię. Nie zamykam serca dla uczuć pokrewieństwa i uznaję obowiązki, jakie na nas ono wkłada; ależ i obowiązki mają granice, a znaczyłoby je przekroczyć, gdybym dłużej nad dwanaście godzin bawił na wsi. Sama już woń wsi jest mi wstrętną.

Obecnie jednak stryj, który mię chętnie widzi (a i mnie także towarzystwo jego jest miłe) znalazł środek do zatrzymania mnie przez kilka tygodni na zamku La Savinière, pośród nieznośnego życia wiejskiego. Blisko cztery miesiące temu otrzymałem od niego list treści następującej:

»Kochany Bernardzie! W dobrach moich znalazłem miejsce, nadające się wybornie do wyścigów. Tor duży — łąki i pastwiska; przeszkody — rowy, płoty; amfiteatr — wzgórki dla widzów: »wszystko jest. Prócz tego leży na pół drogi mię-

»dzy moim zamkiem a S....., miastem departamen-
»towem, od obu tylko coś po trzy kilometry od-
»ległe. Miasto zatem wygodnie mogłoby dostarczyć
»niektórych rekwizytów do takiego festynu po-
»trzebnych, jako to: muzyki, policyi i publiczności.
»Z prefektem, generalnym poborcą i merem już
»mówiłem, i ci trzej dygnitarze (wszyscy umiarko-
»wani republikanie) ze zapałem przystali na mój
»wniosek. Prefekt przyrzekł swych radców skłonić
»do przyzwolenia potrzebnych funduszków; mer przy-
»słać muzykantów i straż pożarną; a poborca po-
»starać się o sztuczne ognie; ja zaś i ty, kochany
»Bernardzie, resztę zrobić musimy. Wiem, mój
»drogi, ile cię zajmuje sport tego rodzaju, jak cię
»boli, że tak mało jest we Francyi uprawiany i
»mniemam, że w Soulaville, Verviers i Cadières
»potrzebujesz rzecz słówko, a zapewnisz nam gorące
»ich poparcie. Ja sam napiszę do księcia Dawson,
»Gardinera i Couranveaux. Oczywiście i twoi i moi
»znajomi znajdą najgościnniejsze na zamku przyję-
»cie, i aby im i tobie ułatwić rzecz całą, wyścigi
»nasze urządzimy zaraz w pierwszym tygodniu po
»wyścigach w Caen. Tym sposobem prawie cał-
»kiem uniknie się niedogodności podróży, a część
»świątecznego towarzystwa z Caen i Deauville także
»nas nie pominie. Mam nadzieję, że zgodzisz się na
»mój projekt; festyn ten, który, jak tuszę sobie,
»uda mi się urządzić co roku, będzie ostatnią w ży-
»ciu przyjemnością, w której twój stary stryj po-
»trafi uczestniczyć. Ty nie zechcesz mi jej popsuć«.

Jestem naiwny jak dziecko; to też wpadłem w sidła, które stryj zastawił, odzywając się do najszlachetniejszej mojej namiętności, do pasyi dla wyścigów. Nie przeczuwając, jaki plan machiaweliczny krył się pod pozorną tą dobrocią, oświadczyłem się z gotowością do udziału. Między znajomymi zwerbowałem uczestników, on zaś znalazł ich między swoimi, i dnia 8 sierpnia Vervier, Gardiner, Dawson, Calières i ja zjechaliśmy do stryja. Kilku innych, którzy byli w Deauville i Caen, założyli kwaterę w sąsiednim miasteczku, a obecność ich najmilsze sprawiła tam wrażenie. Stryj, bardzo doświadczony w takich sprawach, obrał tak wyborny tor i tak zręcznie ustawił przeszkody, żeśmy nie mieli powodu do jakiegokolwiek zmiany. Trzeciego dnia, w niedzielę 10 sierpnia odbyły się wyścigi.

Pyszne to było widowisko, a dla całej okolicy wielka uroczystość. Od świtu po ulicach bito na alarm; dżentelmeni okoliczni powydobywali buty ze sztylpami i rajtuzy, i przewietrzali je z prawdziwym zadowoleniem. Arystokracja prowincjonalna zasiadła pod dużym, chorągwiemi udekorowanym namiotem, który stryj ofiarował. Reszta ludności, świąteczne przybrana, w półkołu opanowała wzgórza i skromny tam urządziła sobie posiłek. Orkiestra grała marsyliankę — bo nic w świecie bez ale — a straż pożarna utrzymywała porządek.

Ośmiu nas wzięło udział we wyścigach. Jajechałem na koniu księcia, Talbocie II, Gardinera i Viviersa zatrzymały rowy; Couranveaux złamał

obojczyk, gdy chciał wziąć przeszkodę, a ja pomknąłem naprzód jak strzała i pierwszy stanąłem u celu, Carillon zaś pozostał za mną o długość siedmiu lub ośmiu koni. Tak tedy wyścigi nie obyły się bez wypadku, namiętności widzów bardzo były podrażnione, mnie dostał się głośny poklask. Kiedy na zwyciężkim Talbocie i we fioletowym rajtfraku paradowałem przed trybuną, z pośród powiewających chusteczek wpadło mi w oko młode dziewczę o popielatych włosach, które wprawdzie nie powiewało chustką, ale śliczną twarzą ku mnie z niekłamaniem zwróciło zajęciem. Zresztą nie jej jednej twarz na mój widok zdradzała więcej, niż zwykły podziw, jaki przypada zwycięzcy na wyścigach. Nie! nie można było wątpić, że na niektóre damy, a przedewszystkiem na ową popielatą piękność głębsze zrobiłem wrażenie — wrażenie jakie sprawia znany z imienia mężczyzna, który na bulwarach, w klubie i przy sporcie pewnej zażywa sławy, jakiejś na pół osławionej wziętości, otoczonej lekką aureolą elegancyi i przygód miłosnych. Wstydę się mej nieskromności, ale niepodobna mi zamilczeć o spostrzeżeniu, że na widok takiego złotego ptaszka nie jedno serduszko głośniej zapukało.

Na zakończenie dnia uroczystego stryj dał bal, na który wszystko z miasta i z okolicy było sproszone, i na którym żona i córki poborcy przyjęły łaskawie obowiązki gospodyń. Kiedym z jedną z tych panienek walcował, spotkały się moje oczy

ze wzrokiem popielatego dziewczęcia, które przedtem widziałem był na trybunie. Ten wzrok i teraz we wirze tańca ścigał mię z nieśmiałą wprawdzie, ale uporczywą ciekawością, co już i poprzód zauważałem. Dzikim trochę tańcem moim, nieustannem wirowaniem mojej tancerki zdawała się być zdziwioną, zachwyconą. Przystąpiłem do stryja.

— Kochany stryju! — rzekłem — tam na końcu sali widzę młodą panienkę, która omal nie zginie z ochoty tańcowania ze mną. Chcę sprawić jej tę przyjemność. Przedstaw mnie, proszę!

Lekki, ale znaczący uśmiech rozjaśnił zmęczoną twarz stryja, poprowadził mię zaraz do grupy, pośród której moja piękna wielbicielka była niejako uwieszona.

— Pozwól pani, z przyzwoleniem pani matki, przedstawić sobie mego bratańca, wicehrabię de Vandricourt, który pragnie zatańczyć z panią. Kochany Bernardzie: panna Alieta de Courtcheuse.

Panna Alieta zarumieniła się.

— Bardzo dziękuję! — szepnęła — ale ja nie tańczę walca.

Dostałem kosza... ja! na chwilę oniemiałem zakłopotany jak człowiek, który widzi, iż jego łąską wzgardzono, i to w sposób najmniej spodziewany, a zarazem najnaiwniejszy w świecie. Wreszcie ocknąłem się z niemiłej sytuacji.

— Czy pani nie tańczysz i mazurki?

— Nie!

— Możebym tedy mógł najuprzejmiej prosić o kadryl?

Z lekkim, i — na Jowisza — ironicznym prawie uśmiechem odrzekła:

— Jeżeli pan sobie życzysz, dobrze!

Po tem pomyślnem zakończeniu trudnych rokowań cała rodzina, składająca się z matki, ciotki, stryja i brata, lżej i z zadowoleniem odetchnęła.

Zaczął się kadryl i ja z panną Alietą stanęliśmy do tańca. Jej włosy rzadkiej barwy popiołu były na głowie trochę skędzierzawione i liściami przeplecione. Wyglądała uroczo: drobna i zgrabna jej postać i malutkie nóżki czyniły ją podobną do pływającej rusałki. Ma nadto w sobie coś wytwornego, coś — że tak rzekę — świetlanego, przejrystego. Jej rysy równie jak oczy wyrażają zarazem skromność i śmiałość, szczerłość i ciepło. Także mowa jej zdradza te same przymioty, czasem nie bez przymieszki niewinnej kokieteryi. Przeważnie sprawia wrażenie nieposzlakowanej czystości i dobroci. Tak przynajmniej mówi jej powierzchowność, bo o duszy sądzić nie mam odwagi po doświadczeniu na balu u księżny. Bądź-co-bądź bardzo interesująca to dziewczyna.

Podczas kadryla oczywiście była trochę zakłopotana i małomówna. Czyniłem co mogłem, aby ją ośmielić i okazać się wyrozumiałym. Festyn sprowadził naszą rozmowę na konie. I ona jeździ konno, zwykle ze stryjem admirałem, niekiedy także z bratem, kadetem okrętowym.

— Obaj jeżdżą jak marynarze — rzekła wesoło, a ja jestem ich nauczycielką. Mnie — dodała poważniej — ojciec uczył jazdy.

Odprowadziwszy ją na miejsce, przemówiłem parę uprzejmych słów do matki, ciotki, admirała i kadeta, i kiedy cała przezacna familia z podziwu mej łaski nie mogła ust zamknąć, znikłem w tłumie.

Było to pierwsze spotkanie z panną Alietą de Courtcheuse. Przeczyłem zaraz, że to moja przyszła, od stryja upatrzona. Drugie spotkanie w parę dni później miało miejsce na zamku we Varaville, w siedzibie rodziny Courtcheusów, dokąd wywabił mię stryj pod pozorem etykietalnej wizyty sąsiedzkiej. Jestto duży zamek ze szpiczastym, wysokim dachem, a wewnętrzne jego urządzenie zdradza prowincyą. Piękne ale ciężkie krzesła stoją rzędem wzdłuż ściany, co odpowiada naszym ojców zamiłowaniu w tem wszystkim co sztywne. W każdym razie nie jestto gniazdko, w którembym szukał takiego rajskiego ptaszka jak panna Alieta. Mimo to znaleźliśmy ją w tem otoczeniu świeżą i wesołą, i widocznie uradowaną naszymi odwiedzinami. Choć stary się zapiera, nie wątpię, że coś napomknął rodzinie o swoich życzeniach i nadziejach, a i panna Alieta zapewne wie o tem cokolwiek. Poczciwi ludziska obserwowali mię, badali i przenikali z jakąś hipnotyczną, zapewne bardzo natężającą ścisłością.

Tegoż samego dnia, kiedy stępą wracaliśmy do La Savinière, stryj wynurzył się przedemną.

— Jestto sposobność — rzekł mi — jaka się

drugi raz nie zdarza w życiu. Perła, nie dziewczyna: czarująca powierzchowność, wyborne wychowanie, dobre stare imię, majątek już teraz znaczny, który później będzie jeszcze większy, bo w rodzinie jest niezamężna ciotka, stryj-admirał i bezżenny, i stryj-biskup a tem samem także bezżenny — jednym słowem, żona jakich mało.

Tu dodał stryj dokładne cyfry i innych mnóstwo szczegółów. Wedle jego relacy i wedle moich własnych spostrzeżeń, rodzina Courtcheusów, należąca do bardzo starej szlachty, zaprawdę dziwni są ludzie. Z wyjątkiem pasyi do koni, którą już we krwi mają, zdają się nie mieć nic wspólnego z naszym modnem towarzystwem, owszem pod względem wiary i sposobu życia należą do dawnych czasów, których nie dotknął nawet powiew naszego wieku. Jedna ich gałąź z Wilhelmem Zdobywcą poszła do Anglii i do dziś dnia kwitnie między najwyższą szlachtą zjednoczonych królestw. Francuscy Courtcheusowie z angielskimi w ciągłej są sztywności, i być może, iż ci ostatni przyczynili się do tej osobliwszej cechy krewnych we Francyi, która ich odróżnia od ludzi tejże samej warstwy społecznej, bo jakkolwiek są katolikami, zwyczajnie ich mają jakiś purytanizmu odcień. Nieboszczyk baron de Courtcheuse, brat admirała i biskupa, a ojciec Aliety miał być poważny i bardzo ukształcony, do wychowania córki nie dopuścił guvernantek, ani publicznych szkół, ani pensyi lub klasztoru. Przy pomocy kilku nauczycieli starannie

dobrych i kontrolowanych, sam podjął się ukształcić umysł Aliety, pozostawiając matce moralne i religijne jej wychowanie.

Mój Boże! na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że taka rodzina nie może dać żony ateście, mężczyźnie o lekkich obyczajach, bo za wiele tu dyssonansów! Ale przypatrzmy się bliżej sprawie. Chociaż, jak rzekłem, mógłbym przystać na małżeństwo z nowoczesną jaką poganką, nie wiele mam potemu ochoty. Muszę nawet wyznać, że trochę chrześcijaństwa u mojej żony nie uważam za zbytek. Oczywiście nie chcę powiedzieć, jakobym w pobożności widział rękojmię cnoty żony; mimo to rzecz pewna, że w duszy kobiecej poczucie obowiązku zdaje się być ściśle złączonym z uczuciem religijnym, i jeżeli religia nie wszystkie zdoła ustrzedz, niesłusznym byłby wniosek, że żadnej nie ustrzeże. W każdym razie nie bez korzyści jest zapewnić sobie ten wał obronny.

Wprawdzie rodzina Courtcheusów, a z nią i panna Alieta w zapale religijnym i pobożnych zwyczajach zdają się posuwać aż do fanatyzmu; ale co się tyczy rodziny, nie myślę wcale w niej się zagnieździć, a co do panny, łatwo pojąć, że zanim przepędzi jeden zimowy w Paryżu sezon, zatrze się powoli przesadna surowość jej duszy pobożnej. W każdym innym względzie nie można zaprzeczyć korzyści z tym związkiem połączonych, to też oceniłem je na pierwszy rzut oka i bez ogródki powiedziałem to stryjowi.

Jedno tylko mię dziwi. Że sceptyk jak ja chce pojąć żonę pobożną, rzecz bardzo jasna — a dla czego, wyłuszczyłem to wyżej; ale że rodzina w tak surowych pojęciach religijnych bez wahania zgadza się na związek z mężczyzną, którego sława — chociaż bez skazy pod względem pojęć honoru — daleką jest od sławy świętego, to niepojętą dla mnie zagadką.

Od tego dnia bowiem jakby za milczącą obojną zgodą, ale przy pewnej rezerwie rodziny Courtcheusów, wprawdzie nie jako przyjęty, lecz jako ośmielony konkurent jestem uważany. Młodemu kadetowi Żerardowi, bratu Aliety ofiarowałem się dać parę lekcyj w jeździe konnej. Od niejakiego czasu także panna Alieta w naszych przejażdżkach bierze udział pod opieką admirała; z uśmiechem prosiła, abym i jej nie skąpił wskazówek, ale nie potrzebuje ich wcale. To małe, jasno włosy, pobożne dziewczę prawdziwym jest centaurem, a że jazda konna prawie jedyną jest dozwoloną jej rozrywką, oddaje się teje z całym zapałem. W ojcu wybornego miała nauczyciela, pewność jej ręki szczerze podziwiam. Nawiasem powiem, że lubię, gdy kobieta namiętnie jeździ, bo takie kobiety zwykle są skromne.

Gdy wracamy z przejażdżki porannej, niekiedy zatrzymują mię we Varaville na śniadanie. Skutkiem tego stosunek nasz staje się poufalszym, ale rodzina Courtcheusów nie przestaje badać moich fizycznych, umysłowych i moralnych przymiotów,

i jeżeli się nie mylę, z wyniku badań coraz więcej jest zadowolona. Co do mnie, to i ja z takim samym zajęciem, ale z mniejszem może zadowoleniem zapoznają się z tymi przedpotopowymi ludźmi. Przekonuję się, że nieboszczyk baron Courtcheuse był duchem wyższym, a w każdym razie osobliwszym człowiekiem, który na rodzinie wycisnął i pozostawił piętno swej oryginalności. Zaprowadzone przezeń zwyczaje przeżyły go, i dziś jeszcze duch jego w powabnej postaci Aliety nadaje ton domowi. Panna Courtcheuse zresztą sama potwierdziła trafność moich spostrzeżeń, opowiadając mi o dziwacznej nieco manii, która opanowała była jej ojca, a którą, jak się zdaje, w niemałej części odziedziczyła po nim.

Pewnego dnia oprowadzała mię po bibliotece zamkowej, która, jak już powiedziałem na wstępie, obfituje w dzieła o siedmnastym wieku i w pamiętniki z tej epoki. Także zajmujący zbiór sztychów z owych czasów zwrócił moją uwagę.

— Ojciec pani, zdaje się — rzekłem — bardzo był zamiłowany w czasach Ludwika XIV.

— Mój ojciec — odpowiedziała poważnie — żył życiem tamtych czasów — a kiedyś spojrział na nią zdziwiony, dodała: — i mnie w nich żyć nauczył.

Przy tych słowach osobliwszej tej dziewczynie stanęły łzy w oczach. Odwróciła się, aby ukryć wzruszenie, a potem zwróciwszy się do mnie, wska-

zała mi krzesło, a sama usiadła na szczeblu drabinki bibliotecznej i rzekła:

— Chciałabym panu powiedzieć, kto był mój ojciec.

Zamyśliła się na chwilę, potem mówiła ze żywością, jakiej w niej zresztą nie dostrzegłem nigdy, a jąkała się i rumieniła, gdy miała wypowiedzieć słowo, któreby brzmiało za poważnie na dziecięcę jej usteczka.

— Ojciec mój — zaczęła — umarł z rany odniesionej pod Patay. Dowodzi to, że kochał ojczyznę, obecnych jednak czasów nie lubił. Porządek cenił nad wszystko, a nigdzie go nie mógł dojrzeć; nierząd był mu wstrętny, a wszędzie bił go w oczy. Szczególnie w ostatnich latach życia wszystko, cokolwiek robiono, mówiono, pisano, najboleśniej raniło jego wiarę, smak i wszystko co ukochał i szanował. Niezadowolony stanem obecnym, przywykł uciekać się do przeszłości, a wiek XVII, więcej niż inne czasy, odpowiednie dawał mu towarzystwo dobrze wychowanych ludzi (pełnych wiary) głębokiej nauki. Coraz bardziej począł się w nim zatapiać, a równocześnie wszędzie w domu, w zewnętrznym i wewnętrznym życiu, starał się zaprowadzić ład ulubionego stulecia. Możeś pan już zauważył, że to zamiłowanie posunął aż do naśladownictwa ram, które owoczesne otaczały życie. Z tego okna wzrok pada na aleje w prostych liniach, na ogrodzenia bukszpanowe, na strzyżone płoty cisowe; a na grządkach znajdziesz pan kwiaty w owych czasach

lubione; lilie, piwonie, pnące się róże, stokrotki i narcyzy; nasze stare kobierce kwiatowe także odpowiadają ówczesnemu smakowi, a i nasze sprzęty, od skrzyń i kredensów aż do krzeseł i konsoli są w czystym stylu Ludwika XIV. Modnego zbytku nie lubił, utrzymywał, że od przesadnej wygody dusza i ciało niewieścieją. Dlatego — dodała z uśmiechem — znajdujesz pan u nas tak niewygodne krzesła... pan odpowiesz mi, iż za to czujesz się wynagrodzonym... dziękuję panu!

Potem znowu spowaźniała.

— Tym tedy sposobem — ciągnęła dalej — ojciec usiłował w otoczeniu swem odczarować czas, tak bardzo przez się ukochany. Czyż potrzeba mi dodać, że byłem ojca powiernicą? że z nim współczułam, wzruszałam się jego marzeniem, bolałam nad gniewem jego i wstrętem, radowałam się jego zachwytem, który jedyną stanowił jego rozkosz? W tej tu sali, pośród tych książek, które czytaliśmy razem i które cenić mię nauczył, przeżyłam najpiękniejsze dni dzieciństwa. Zachwycaliśmy się owymi czasami pełnymi wiary i spokoju, cichą rozkoszą, z nich czerpaną, piękną francuzczyzną, którą wówczas mówiono, dobrym smakiem, który wówczas panował, szlachetną ogładą, co wszystko było przywilejem i zaletą naszego kraju... a co dziś już nie jest...

Zamilkła jakby zawstydzona zapałem, z jakim ostatnie wypowiedziała słowa. Ja zaś, aby coś powiedzieć, odrzekłem:

— Pani mi tłumaczysz, z kąd pochodzi ten urok, którego doznał w tym domu, a który nieraz potęgował się aż do halucynacji, bardzo zresztą przyjemnej. Widok tego otoczenia, stylu smaku, całe prowadzenie domu cofały się wstecz w dwieście lat tak dalece, iżbym się nie zdziwił zgoła, gdybym usłyszał zapowiedzenie odwiedzin królewicza, albo pani de la Fayette, albo nawet pani de Sévigné.

— Ach gdyby się to stać mogło! — zawołała panna de Courtcheuse. — Gdybyś pan wiedział, jak mi drogie są wszystkie te osoby! Prawdziwie zacnem było to towarzystwo... a jak zapalone do wszystkiego, co wyższe, a o ile lepsze niż dzisiejsze!

Ten zapał dla przeszłości, który stawał się groźnym i dla mnie i dla dzisiejszego społeczeństwa, usiłowałem trochę ostudzić.

— Zapewne — rzekłem — czary, którebyś pani pragnęła wskrzesić, miały dużo zalet, nad których zatarciem i ja razem z panią boleję. Ale też przyznać trzeba, że docierając do głębi rzeczy, w tem na pozór tak pięknie ułożonem i ślicznie ukształconem towarzystwie znaleźlibyśmy takie samo jak dzisiaj zamącenie i nieład. Widzę tu mnóstwo pamiętników z owych czasów; nie wiem, które z nich pani czytałaś lub nie, a tem samem jestem w kłopotcie...

Przerwała mi.

— Rozumiem pana — odrzekła spokojnie. — Oczywiście nie wszystko czytałam, co tu pan wi-

dzisz, ale dosyć, aby wiedzieć, że i moi przyjaciele, jak dzisiejsi ludzie, mieli namiętności, słabostki, błędzili. Ale jak mawiał mój ojciec, nawet ich zbroczenia miały jakiś grunt, coś stałego w sobie, i ta cecha przy sposobności znowu na jaw wychodziła. I wówczas wielkie były zbrodnie, ale też wielka i głęboka skrucha. Wyższy był poziom... nawet złego.

Zarumieniona podniosła się szybko z drabinki i rzekła:

— Za długą rozprawę przepraszam bardzo, nie zawsze jestem tak wielomowna. Ale tu szło o ojca, a pragnę, aby jego pamięć i drugim była jak mnie drogą i ceną.

Pierwszy to raz panna Alieta rozmawiała ze mną w sposób, jakiego się używa do przyjaciela raczej, niż do znajomego tylko. A gorszymbym się przedstawił niż jestem, gdybym nie przyznał, że to mnie wzruszyło, ale razem trochę zaniepokoiło. Zdawało mi się, że w myślach i uczuciach dziewczęcia odzywa się jakieś ciche dziedziczne zbroczenie umysłowe.

W kilka dni później — było to wczoraj — ja a ze mną i stryj przebyliśmy ciężką próbę. Obiadowaliśmy we Varaville, i zaraz po obiedzie zamierzaliśmy jechać, aby w patryarchalnym domu zwyczajom nie przeszkadzać. Ale piękny wieczór zatrzymał nas w ogrodzie tak długo, że gdy wróciliśmy do zamku pożegnać admirała, było już pół do jedenastej. W chwili wejścia odezwał się ha-

łaśliwy głos dzwonka i zaraz w salonie pojawiła się w uroczystej postawie cała służba zamku i z folwarku. Stryj spojrział na mnie skrzywiony. Wtem przystąpiła do nas pani de Courtcheuse i rzekła:

— Wszakże panowie nie odmówią udziału w naszej wieczornej modlitwie?

Stryj skłonił się, ja toż samo uczyniłem. Następnie każdy z nas chwycił jedno z owych ciężkich krzeseł à la Louis XIV i na nich wespół uklękliśmy. Tymczasem admirał włożył okulary i z głęboką powagą, jakby na okręcie miał odprawić nabożeństwo, z grubej, klamrami ozdobionej książki parę kartek modlitw odczytał. Moje zachowanie było nienagannem, bo okazałbym brak taktu, gdybym w tej chwili chełpił się z bezbożności. W ogóle pozornie stosuję się do obyczajów i zwyczajów ludzi i jednostek, u których goszczę. Jak nie waham się zdjąć butów wchodząc do moszei, albo w bóżnicy zatrzymać kapelusza na głowie, tak samo w tym drażliwym wypadku starałem się zastosować do gospodarzy, czyniłem to jednak w sposób jak najprostszy i bez wszelkiej przesady. Ale poczciwy stryjasek uważał za stosowne ukazać się pobożnym i omal nie wypadłem z roli, gdym ujrzał twarz starego grzesznika krzywiącą się nabożnie i usłyszał jakie tym krzywieniom towarzyszyły pełne skruchy westchnienia.

Było to wczoraj wieczór. To też tym sposobem do udziału w życiu familijnem niejako pociągnięty, czuję się nietylko upoważnionym, ale za-

chęconym do deklaracji. I zdecydowany jestem to uczynić. Dziewczę wprawdzie trochę dziwne, ale nie tracę nadziei, że od niesmacznego otoczenia à la Louis XIV odłączona, zachowa tylko wyborne swe wychowanie, przesady pozbędzie się całkiem, a będzie nad inne cnotliwszą i piękniejszą. Cóż lepszego życzyć sobie mogę? Istotnie jest czarująca, zwłaszcza gdy idzie, wtedy sunie się, unosi i wówczas zdaje się, że wzleci. Może to anioł.

Postanowiłem tedy oświadczyć się jeszcze dzisiaj. Jak słyszałem, kobiety wybrać się mają do miasta, admirała więc samego zastanę, a do niego właśnie zamierzam udać się z prośbą o przemówienie za mną.

Ale cóż to dzieje się w starej głowie stryższka? Gdy mu dziś sam objawiłem mój zamiar, z którego wedle mego mniemania powinienby był szalenie się ucieszyć, oniemiał i strętwiał... zapewne z nadmiaru radości. Zresztą nie pierwszy to raz dzisiaj zastanawia mnie zachowanie jego i wyrażenia. Zamiast poprostu cieszyć się dobrym tokiem mej sprawy — która wszakże i jego jest sprawą, bo idzie tu o spełnienie jego życzeń — zdawał mi się zaniepokojonym i zadumanym. Gdy mi kiedy towarzyszył do Varaville, niepokój jakiś i rozdrażnienie stawały się widoczne, a skoro wróciłem kiedy z wizyty bez niego zrobionej, badał mię jak najściślej jak tam było? o czem rozmawialiśmy? itp. Domyślam się tylko, że gorące pragnienie tego związku i obawa niepowodzenia taką ciągłą napa-

wają go trwogą. Przypuszczenie, iż stryj tajemnie mógłby się stać moim współzawodnikiem, zbyt jest niedorzeczne.

29 września, wieczór.

Tajemnica stryja nareszcie wyszła na jaw.

Zaraz po śniadaniu dosiadłszy konia pojechałem do Varaville. Stryj odprowadził mnie aż do bramy dziedzińca i życzył dobrego powodzenia... ale zaraz przywołał mnie napowrót.

— Słuchaj chłopcze! tylko mi nie wyjeżdżaj z tem, iż nie wierzysz ani w Boga ani w dyabła.

Zamiast odpowiedzi wzruszyłem ramionami, co miało znaczyć: »dzieciństwo!« i pojechałem.

Pani de Courtcheuse i ciotka pojechały sobie szczęśliwie, ale ku memu zmartwieniu zastałem miejscowego proboszcza z admirałem przy tryktraku.

— Oto, proboszczu, mój przyjaciel — zawołał admirał. — Cieszę się jak zawsze z twoich odwiedzin, panie wice-hrabio, ale dziś źleś trafił, bo panie wyjechały do miasta.

— Wiedziałem o tem panie admirale! Przyjechałem pomówić z panem.

— Ach! tak!?

Popatrzył mi w oczy, potem rzucił wzrok na proboszcza i uważałem następnie, że obaj panowie szybko i bez względu na reguły gry skończyli partya.

— Zdaje się kochany sąsiedzie! począł admirał potrząsając kubkiem z kostkami — że coraz

więcej znajdujesz upodobania we wsi, to mi się podoba. Ale może nie pomylę się także, przypuszczając, iż pan nie zechcesz się wszakże zupełnie wyrzec Paryża. Sambym panu tego nie radził, i to powiedziałem także pańskiemu stryjowi. Na twojem miejscu zatrzymałbym sobie mieszkanie w Paryżu. Jeżeli kto zamierza zmienić tryb życia, powinien czynić to powoli, niejako stopniowo. Pochwalam twój zamiar, kochany wicehrabio, o tem zapewne nie wątpisz, bo to zgadza się zupełnie z memi skłonnościami. Na razie jednak jesteś pan neofitą, a jako taki nie powinienes się spieszyć nad miarę z wypełnianiem ślubów... Nieprawdaż, proboszczu?

Aluzyą w zamiłowaniu wiejskiego życia w ustach innego uważałbym za ironią, ale wypowiedziana przez poważnego, zacnego admirała zdziwiła mię niepomrotnie. Wkrótce jeszcze większem miało się stać moje zdziwienie.

— Całkiem słusznie, panie admirale! odpowiedziałem jak przez sen.

— To także rzadkość — ciągnął dalej stary admirał — iżby wstręt do lekkiego życia, i pragnienie lepszych, zdrowszych uciech objawiło się już w takim jak pan młodzieńcu. Zaszczyt to przynosi panu; jeszcze zaś większy zaszczyt, (a mówię to ze szczególniejszem zadowoleniem w obecności proboszcza) przynosi ci, kochany wice-hrabio, szczęśliwy, stanowczy powrót do wiary, którąś jak wielu innych, zatracił był wśród szału młodości...

Tu już nie mogłem się wstrzymać od lekkiego wykrzyku; ale admirał skinieniem ręki nie dopuścił mnie do słowa.

— Ależ nie! — zawołał — nie potrzebujesz się pan bronić, kochany sąsiedzie. I ja dawniej byłem letkiewiczem, a jeżeli w końcu nawróciłem się do prawd, których nie powinienem nigdy rzucać, jeżeli, jednym słowem, powróciłem do wiary, to znacznie więcej na to niż pan potrzebowałem czasu. Starość musiała mi się przypomnieć przez posłów i dać uczuć swą gorycz. Muszę zatem otwarcie wyznać, że moje nawrócenie mniej miało zasługi niż pańskie.

W tej chwili partya pufa zdawała się skończoną. Proboszcz powstał, a mruknawszy jakieś usprawiedliwienie, cofnął się dyskretnie. I ja wstałem do pożegnania. Ale skoro proboszcz wyszedł, admirał dał znak ręką, abym usiadł znowu, a tego dnia uśmiechnięta twarz jego, widocznie zachęcała mnie do wynurzenia prośby. Ale zamiast to uczynić, dość niezgrabnie podałem mu rękę, co go trochę zdziwiło, prosiłem, aby paniom oświadczył moje ukłony i wyszedłem.

Konia z masztalerzem odesłałem naprzód, a sam potrzebując ochłonać, puściłem się pieszo do La Savinière. Przedewszystkiem chciałem uniknąć spotkania ze stryjem, bom się obawiał, że nie potrafię wobec niego zachować się z powinnym dlań szacunkiem.

Po dziwnych admirała słowach nie mogłem

wątpić, że poczciwy stryjasek, aby zapewnić małżeństwo, które już sobie wbił do głowy, zahazardował nadto mój i swój honor, dając rodzinie Courtcheusów całkiem fałszywe o mnie wyobrażenie. Nie wątpię, że od mego przybycia, a może i przedtem jeszcze, przedstawił mię tym pocziwcom jako nawróconego Don Juana, który postanowił wyrzec się czarta i wszystkich dzieł jego, opuścić widownie swych występków i spocząć na łonie życia wiejskiego. Ten wierny obraz uzupełnił jeszcze, zdobiąc mię religijnością i pobożnością, które w czasach burzliwej młodości zaćmiły się na krótko, obecnie jednak z pośród chmur i mgły wyszły zwycięzko! Tym sposobem chciał osłabić niedowierzenie i uprzedzenie, które moja sława libertyna we famillii Courtcheusów wywołać musiała.

Że mnie nie wtajemniczył w tę intrygę, łatwo pojąć, bo wiedział, iżbym na nią nie pozwolił. Że spodziewał się nieporozumienie, które osnuł między mną a rodziną Courtcheusów, utrzymać aż do ślubu, także pojmuję, z jednej bowiem strony krewni Aliety zanadto byli delikatni i wstrzemięźliwi, aby mnie przed czasem pytać wprost o zapatrywania i o zamiary na przyszłość, a z drugiej strony zanadto dobrze wychowany, aby dotykać ich uczuć religijnych, i bądź przed nimi, albo kim innym chełpić się z ateizmu. Mimo to najdrobniejszy wypadek mógł zburzyć nędzną stryja dyplomacją: nieznosne więc rozdrażnienie, które w nim spostrze-

gałem od niejakiego czasu, stało mi się naraz rozumiałem.

Wskutek tego stryjowi czyniłem wyrzuty, ale łagodnie — wszakże to brat mego ojca — a nadto przykro młodemu strofować starszego i na jego patrzeć upokorzenie. Stryj, ile mógł, usprawiedliwiał się gorącym pragnieniem skojarzenia tego małżeństwa; usiłował nawet namówić mię, abym z podstępem, w którym dotąd nie miałem udziału, skorzystał; nakoniec oświadczył gotowość przyznania się do winy przed rodziną Courtcheusów. Lecz ja wyprosiłem to sobie, bom się obawiał, że spowiedź jego nie będzie dość szczerą.

Natomiast sam postanowiłem napisać do admirała. List, który stryjowi okazałem, opiewał:

»Wielmożny Panie Admirale!

»Szybkie i niegrzeczne nawet odejście moje »ostatnią razą, zupełnie Pana uprawnia wątpić o »zdrowiu moich zmysłów, zwłaszcza, że mnie samemu przez chwilę zdawało się naówczas, że »utraciłem. Obecnie jednak nietylko poczuwam się do »obowiązku, usprawiedliwienia się przed Panem, »co też niniejszem z winnem czynię uszanowaniem, »ale także widzę się spowodowanym do oświadczenia, które z niekłamana składam szczerością.

»Nie sądzę, zacny Panie Admirale, iżby cię »niespodzianie zaskoczyło oświadczenie, z którym »dziś przyszedłem. Im więcej poznałem pannę de »Courtchouse, tem głębiej jestem przeświadczony, »że wyrok o szczęściu mego życia spoczywa w jej

»ręku. To właśnie zamierzałem dziś powiedzieć
»Panu i zanieść prośbę, iżbyś u pani Bratowej i u
»panny Aliety przychylnie zechciał za mną prze-
»mówić słówko.

»Od wyznania tej prośby jednak musiałem się
»cofnąć, skoro słowa twoje, najszanowniejszy Panie,
»ku wielkiemu memu zdumieniu przekonały mię o
»nieporozumieniu, które się bez mojej wiedzy mię-
»dzy nas wkradło. Z prawdziwą przykrością i głę-
»bokim bólem przekonałem się, że mój stryj —
»w swojej ku mnie życzliwości i w łatwym do po-
»jęcia pragnieniu tak zaszczytnego związku — mi-
»mowoli wyposażył mię cnotami, których nie mam,
»i skłonnościami, które mi zupełnie są obce. Gdy-
»by tu szło o moje życzenia tylko, nie wahałbym
»się ani chwili nabyć przymiotów, któreby mię go-
»dnym mogły uczynić związku z panną Alietą. Nie-
»stety! zalet tych nie mam. Wiara naprzykład nie
»jest płodem naszej woli. W tej mierze, jako też
»we wielu innych, mniej ważnych względach, stryj
»życzenie swoje wziął za rzeczywistość... ja zaś
»muszę wyznać, że wiarę moją, podobnie jak wiarę
»wszystkich prawie rówieśników moich, rozwiało
»tchnienie naszych czasów, duch nauki. Co się zaś
»tyczy zamiłowania w życiu wiejskiem, albo za-
»miaru porzucenia Paryża, to chyba je stworzyła
»fantazyja i pocziwe mego stryja chęci.

»Sama myśl, że wyznanie to na zawsze może
»zburzy nadzieję, którą z tak gorącym żywiłem za-
»chwytem, przejmuję mnie głębokim smutkiem. Ni-

»gdybym jednak szczęścia nie chciał zawdzięczać
»kłamstwu. Jakiegokolwiek są moje wady, obłądy
»między niemi nie masz.

»Nie potrzebuję dodawać, Panie Admirale, że
»jeśli Pan moje oddalenie uważasz za konieczne,
»niezwłocznie usłucham twego rozkazu. Jeżeli so-
»bie Pan życzysz, zaraz jutro odjadę. Powtarzam:
»oczekuję Pańskich rozkazów, z głębokim żalem
»wprawdzie, ale z winnem uszanowaniem.

»B. de Montauret de Vandricourt«.

Przed wieczorem odesłałem ten list przez słu-
żącego do Varaville — ten jednak wrócił bez od-
powiedzi.

30 września.

Dziś rano przez posłańca otrzymałem nastę-
pującą odpowiedź:

»Kochany Wice-hrabio!

»List Pański przykre na mnie samym sprawił
»wrażenie. O życzeniach i zamiarach bratowej nic
»nie wiem, a tem mniej o zapatrywaniach brata-
»nicy; sam zaś cenię Pana, życzę Ci dobrze i już
»prawie podzielałem marzenia Twego stryja. Że
»szacunek mój i życzliwość nie uległy zmianie, nie
»potrzebuję upewniać; co zaś tyczy marzeń, to (je-
»żeli mi równie wolno być otwartym) wyznać mu-
»szę, że po nich pozostało wspomnienie tylko. Naj-
»gorszym wedle mego przekonania mezaliansem
»jest niedobry związek dwojga dusz. Podstawą
»życia duchowego jest wiara, a skoro Pan pod

»względem tej głównej kwestyi zupełnie innego
»jesteś zdania, niż bratanica moja, dzieli was prze-
»paść, której niczem nie wypełnisz.

»Nie wdając się w dalsze rozumowania dodam
»to jeszcze tylko, że mam wszelkie powody domnie-
»mywać się u bratowej i bratanicy równych zupeł-
»nie zapapatrywać.

»Gdy zatem te są już Panu znane, nie widzę
»przyczyny, dlaczegobyś Pan miał ztąd uciekać
»jak zbrodniarz — wszakżeś Pan nic nie zbroił! —
»albo jak konkurent, który dostał kosza, bo tak
»przecie nie jest; w rzeczywistości bowiem nie
»oświadczyłeś się wcale, a więc i o koszu nie może
»być mowy. Przypuśćmy, iżbyś należał do wyznaw-
»ców wiary protestanckiej lub żydowskiej, uczyni-
»łoby to wprawdzie niemożliwem skojarzenie na-
»szych rodzin, ale nie obcowanie z naszym sąsia-
»dem, obcowanie, które póki ten sąsiad w naszych
»bawi stronach, jak dotychczas prawdziwie miłem
nam będzie.

»Baron de Courtchouse, admirał«.

Jeżeli zrozumiałem myśl admirała, to we Va-
raille życzą sobie złośliwych uniknąć komentarzy,
jakiemy mógł wywołać nagły mój wyjazd. Stosu-
nek między nami niema być zerwany, ale rozwią-
zany. I słusznie! Opowiem w sąsiedztwie, że za ja-
kie czternaście dni zamierzam wrócić do Paryża,
a w ciągu tego czasu, kilka razy, jak dotąd, od-
wiedzę sąsiadów na zamku warawillskim. To naj-

pewniej zada kłam wszystkim głuchym wieściom o zamierzonym małżeństwie.

A może rodzina Courtcheusów, okazując się tak obojętną na dłuższy tu mój pobyt, pragnie mi dowieść, że się o spokój panny Aliety nie potrzebuję obawiać, i że jej serce nie zostało zranione?... To się pokaże!

7 października.

Wróciłem właśnie z Varaville. Jakby między nami nic nie zaszło, wracając z polowania, wstąpiłem do zamku. Zachowanie się admirała było pełne taktu, za to panie mniej panowały nad sobą i nie potrafiły w przyzwoitej zachować się mierze. Pani de Courtcheuse była sztywna i lodowato zimna; ciotka wprost nieprzyjaźnie usposobiona; Alieta smutna i milcząca. Stara panna tak nawet okazała się śmieszna, iż ostentacyjnie cisnęła się między nas, jakby dziewczynę musiała zasłaniać od mego nieczystego towarzystwa. Braciszek wrócił do Cherbourga.

Nie mogąc pohamować wściekłości, odjechałem.

Ale teraz chcę i ożenię się z panną... chociażbym ją miał gwałtem porwać! Klnę się na Boga!... ożenię się, uszczęśliwię ją, i dowiodę światu, że i mężczyzna, który w nic nie wierzy, może mieć serce i uczciwość, i równie jak inny dobrym być mężem.

Alieta podoba mi się — co więcej, mogę powiedzieć, że o ilem zdolny do takiego uczucia, zako-

chałem się w niej. Nic nie znam powabniejszego nad jej połyskujące, popielate włosy, które przypominają kądziel czarodziejki. Ale chociażbym nie kochał jej nawet, ożeniłbym się z nią, aby nacieszyć się zmartwieniem matki i złością ciotki. Matka majestatyczną powagą przypomina nieznośną panią Maintenon, a ciotka jest sobie poprostu głupią gęsią; nigdy chyba w mózgu starej panny nie znalazły się razem tak nędzne zapatrywania i tak ograniczona bigoterya.

Ale cóż począć, aby i miłość zaspokoić i nienawiść nasycić? Na razie nie wiem, ale jestem przekonany, że mi się to powiedzie, gdyż wąż mój, który w podobnych wypadkach jest czuły i niezawodny, powiada mi, że mogę na pewną liczyć pomoc, i że w twierdzy samej znajduje się zdrajca, a tym jest... Alieta. Jej smutek dość jest wymownym. Mimo wszystko, co nas dzieli, ma ku mnie jakąś skłonność — i temu się nie dziwię wcale. Jest pobożną, uczciwą, doskonałą — ale kobietą, i kto wie, czy to złe, o czem jej nagadano na mnie w tym celu, aby ją przeciw mnie usposobić, nie wywołało wprost przeciwnego skutku. Kobiety mają jakąś słabość do lekkomyślnych mężczyzn, i w tem mają racyą, bo tacy miłsi, niż owe uosobione cnoty.

Byle mi tylko udało się rozmówić ze samą Alietą! Dopięcie tego celu będzie zadaniem podziwianej nieraz mej roztropności. Pierwszą myślą było napisać do niej, ale zaraz odstąpiłem od

tego pomysłu. Mężczyzna, który w trudnem położeniu pisze zamiast działać, jest tylko... literatem.

12 października.

Znowu byłem we Varaville. Pierwszy raz przyjeżdżało mi chłodno, drugi raz z niechęcią. Pani Courtcheuse i ciotka panna zachowały się, jakby sam czart przybył w gościnę. Alieta nie pokazała się nawet. Przekonany jestem, że ją w pokoju trzymają pod strażą, póki bawię jeszcze w tej okolicy.

Tem lepiej! Teraz nie zawaham się wypowiedzieć im otwartej wojny. Że skorzystam ze wszystkich w uczciwej wojnie praktykowanych forteli, każdy zrozumie. Zamiary mam uczciwe. Nie myślę wcale sprowadzać Aliety z drogi obowiązku... chcę się z nią ożenić, a chociaż ten związek wobec innych korzyści wcale nie jest do odrzucenia, korzyści z nim połączone nie przekraczają pretensyj, do których uprawniają mnie imię moje i stosunki. Walczę więc tylko o miłość i pragnę jedynie zwycięstwa sprawiedliwości i rozumu nad fanatyzmem trzech bab (bo i admirał nie zasługuje na inną nazwę). W tej wojnie każdą broń, każdy fortel i każdy sposób walki uważam za usprawiedliwiony.

16 października.

Kilka dni zajęło mi śledzenie trybu życia Aliety. Pod pozorem polowania uganiałem się po

polach i lasach, otaczających zdobny wieżyczkami zamek, w którym biedaczkę trzymają pod strażą. Jeżeli wychodzi... do kościoła lub na wieś, towarzyszy jej matka lub ciotka, a jeżeli wyjeżdża na spacer, ma admirała przy boku, a masztalerz jedzie za nimi. Wobec tych okoliczności zbliżyć się do niej niepodobna. Poprzestaję więc na pozdrowieniu pełnem szacunku, a czekając znowu takiej sposobności, spotrzebowuję moc nabożów na urojoną zwierzynę. Tym tedy sposobem panna Alieta ciągnęła ma wiadomość o mojej bliskości i wytrwałości. To także coś znaczy — ale na tem nie dość. Trzeba coś lepszego obmyśleć.

18 października.

Jedynem na świecie miejscem, gdzie Alietę mogę spotkać samą, jest ogród zamkowy. Tu jej najmniej pilnują, tu wolno jej chodzić nawet samotnie, bo i ten ogród jest więzieniem tylko. Aby się tam dostać, trzeba przejść całe podwórze i po pod okna mieszkań. Ogród jest duży, a z prawej i lewej strony otoczony murem. Na dole znajduje się staroświecki labirynt strzyżonych płotów, a między nimi powikłane ścieżki prowadzą do terasy krzakami osłonięnej, na której stoi duża altana z kopułą. W tem miejscu tylko rów na metr szeroki i wodą napełniony oddziela ogród od przyległego lasu. Z tej strony można się dostać niepostrzeżenie. Z tego też skorzystałem.

Wczoraj rano zostawiwszy psa w domu, a strzelbę ukrywszy w lesie, przy pomocy żerdzi w tym celu oderwanej z płotu, przeskoczyłem rów, bom równie zręczny jak śmiały. Wiedziałem, że duża altana ulubionym jest Aliety kącikiem, gdzie często idzie czytać, albo z robótką w rękę marzyć, gdyż wielką jest marzycielką. O wiele mniej do marzeń jestem skłonny, a przecież wyznać muszę, iż bardzo byłby mi przyjemnym widok jej jasnej główki na tle zieleni. Ale los odmówił mi tej przyjemności... altana była pusta.

Naraziwszy się napróżno na złamanie karku, wstydziłem się odejść z niczem; z ostrożnością tedy Indyanina prześliznąłem się przez powikłane ścieżki między płotami, i wkrótce mogłem przejrzeć otwartą część ogrodu. Właściwie jestto ogród warzywny, na którym tu i owdzie rosną drzewa owocowe, a ujęte w bukszpan rabaty kwiatowe otaczają warzywa. Po nad płoty patrząc, dostrzegłem zaraz na pierwszy rzut oka pannę Alietę, a poznałem ją tylko po barwie włosów i po jasnym ubraniu rannem; postawa jej bowiem tak była dziwna, że bez tych znaków byłoby mi bardzo trudnem sprawdzić jej identyczność. Na zakręcie ścieżki klęczała na kolanach, a główka jej leżała prawie na ziemi. Zrazu przyszła mi myśl, że pokonana mękami przesładowanej miłości, omdlała podczas przechadzki. Ale nie!... podniosła się... podług poruszeń głowy sądziłem, że płacze... po uważniejszej obserwacji jednak przekonałem się, że panna Alieta

poprostu je śniadanie. Klęczała przed porzeczkowym krzakiem, z którego zrywała dościgłe jagody i pożywała z razowym chlebem.

Piękna to zapewne poza do rodzajowego obrazka — sam nawet tak sądzę!... ale ten widok tak był sprzeczny z tem wszystkim, co się działo w mem sercu, i czem wedle mego mniemania, zapewne i ona powinna była być przejętą, że mię to mocno dotknęło. Jakto?... w tej chwili, kiedy mniemałem znaleźć ją ginącą od bólu serdecznego i przez bezsenne nocy strawioną, z całym spokojem śniadała pod krzakami porzeczkowemi!... Czy ma ona serce?...

Bądź-co-bądź, kontrast między sceną, którą miałem przed oczyma, a sceną, którą mi odmalowała wyobraźnia, był tak gwałtowny, że dobrowolnie wyrzekłem się rozmowy, do której właśnie nadarzała się sposobność. Smutny wróciłem do rowu i znowu przeskoczyłem na drugą stronę — ale już nie z taką lekkością, jak poprzednio. Rów teraz wydał mi się szerszym.

Zresztą już tej sztuczki nie powtórzę, bo nie tylko nie chcę się narażać na śmieszność, choćby przed samym sobą, ale też czuję wstręt do krętych ścieżek. Stworzony jestem jedynie do prostych dróg i do uczciwej broni i w tem moja chluba.

To, czego pragnę, jest w niebezpieczeństwie, ale jeszcze nie stracone. Postanowiłem sobie opór pokonać w otwartej walce.

19 października.

Dziś rano miałem jechać do Saint-Méen, stolicy biskupiej, ztąd o piętnaście mil oddalonej, gdzie Monsignore de Courtcheuse, brat admirała a stryj Aliety rezyduje. Ma być dobrym kapłanem, a mimo żarliwej wiary, bez przesądów. Także (co znajduję zupełnie naturalnem) stanowczy ma wpływ na pobożną swą rodzinę. Że wie o moich staraniach o rękę bratanicy i o powodach, o które rozbił się nasz związek, uważam za rzecz pewną. Alietę kocha, jak mi mówił stryj, miłością ojcowską. Gdyby mi tedy powiodło się przeciągnąć go na moją stronę, nie wątpię o wygranej. Zapewne łatwem nie jest to przedsięwzięcie — ale nieraz widziałem, że nawet, co się zdaje niemożliwem, udaje się przy śmiałem natarciu.

Już miałem wsiąść do powozu, który mnie miał odwieźć na dworzec drogi żelaznej, gdy wtem przybiega stryj, i z pomięszaniem (które go nie opuszcza prawie, odkąd nasza sprawa kuleje) oznajmia mi, że Monsignore Courtcheuse przybył właśnie do Varaville. Nadmieniał przytem, że biskup najprawdopodobniej przez rodzinę przywołany został do ważnej jakiejś narady, bo o tej porze roku nie zwykł przyjeżdżać. Po krótkim namyśle odpowiedziałem stryjowi, że przybycie prałata uważam za jedno z owych zdarzeń szczęśliwych, które ojcowie nasi byli zwykli zwać »palcem Opatrzności«, bo najprzód uniknę teraz trudów podróży, a powtórę widzę w niem dobry prognostyk dla naszych zamysłów.

Stryj nie zgadzał się ze mną.

— Owszem w tem wszystkim wcale co innego — rzekł do mnie — i jestem przekonany, że biskup śmiertelny cios zada naszym nadziejom.

— Kochany stryju! — odparłem — proszę cię, porzuć ten czarny pesymizm. Gdyby wszyscy członkowie rodziny jedno mieli zdanie w sprawie, która nas zajmuje, przybycie biskupa byłoby zbyt cennym. Jeżeli zaś w niezgodzie panuje niezgoda, i rozjemca musi być wezwany, to jeszcze nie przegraliśmy sprawy, a już właściwie obawialiśmy się tego. Czyż mam ci wszystko powiedzieć? Jestem przekonany, że tylko Alieta przywołała biskupa na pomoc.

— I cóż ztąd wnosisz?

— Ztąd wnoszę, że panna Courtcheuse nie jest tak zrezygnowaną, ani tak obojętną, jak mi się wydała wczoraj rano pod krzakiem porzeczkowym.

(Opowiedziałem był bowiem stryjowi o wczorajszej nieudanej wycieczce).

— Po tej rozmowie poszedłem do mego pokoju i ułożyłem list następującej treści:

»Najprzewielebniejszy Księżę Biskupie!

»W tej właśnie chwili, kiedy się wybierałem do Saint-Méen, aby sobie u Waszej Biskupiej Mości wyjednać łaskę krótkiej rozmowy, dowiaduję się o Jego do Varaville przybyciu. Czy mogę cieszyć się nadzieją, iż Wasza Mość raczysz mię tam przyjąć? Zamierzając, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na zawsze opuścić te strony, bardzobym musiał boleć, gdyby mi została odjęta

»możność wyjawienia przed tobą uczuć, Najprze-
»wielebniejszy Panie.

»Te uczucia są nieodłączne od głębokiego
»szacunku i niezmiennego poważania, z jakimi po-
»zostaję Waszej Pasterskiej Mości
najniższym sługą

Bernard de Vandricourt«.

W godzinę potem otrzymałem kartę z temi słowami:

»Biskup ze Saint-Méen oczekuje pana wice-
»hrabiego de Vandricourt o czwartej godzinie po-
»południu«.

O pół do czwartej przez główną bramę wje-
chałem na dziedziniec zamku Varaville. Powiedziano
mi, że ksiądz biskup z panną Alietą wyszedł do
ogrodu, i że moje przybycie zostanie mu zaraz
oznajmione. Po dość długim wyczekiwaniu uka-
zały się wreszcie u wejścia ogrodu fioletowa su-
tanna i biskupi kapelusz ze złotym kutasem. Alieta
szła obok prałata, i oboje zrazu nie dostrzegli mnie
zapewne, bo rozmawiali dalej dość głośno, tak, że
pojedyncze dolatywały mię słowa.

— Ależ, mój Boże! wszak to bardzo hazar-
downe... nawet niebezpieczne, moje dziecię! — mó-
wił biskup we wielkiem rozdrażnieniu.

— Ależ proszę, mój stryju... nie namyślaj się
już inaczej... nie cofaj słowa!...

— O cofnieniu słowa ani myślę... Ale my
oboje tak łatwo się zapalamy... tak skłonniśmy do
marzycielstwa...

— Mam nadzieję, że będzie najlepiej, drogi stryju!

— O zapewne! ale jeżeli się mylisz, będziesz nieszczęśliwą... a ja...

Nagle urwanie rozmowy świadczyło, że mnie oboje spostrzegli. Szybko podszedłem naprzód i skłoniłem się. Widziałem, że Alieta zaczerwienione z płaczu miała oczy, i ze zdziwieniem ujrzałem także w oczach i na policzkach biskupa ślady łez... modlili się zapewne i płakali ze sobą. Widok głębokiego ich wzruszenia i słowa mimowolnie podsłuchane wzbudziły we mnie szereg myśli, które dość dotkliwie raniły moje uczucie delikatności i oddziały na następną z biskupem rozmowę.

Idąc obok siebie zamieniliśmy kilka grzecznych słów, a gdy weszliśmy na podwórze, Alieta oddaliła się z lekkim ukłonem, a prałat wprowadził mnie do dolnych pokoi, które zawsze w pogotowiu były trzymane na jego przyjęcie.

Biskup de Courtcheuse nie zdaje się starszym nad pięćdziesiąt lat, jest wysoki, bardzo chudy, i ma żywe czarne, ciemnymi obwódkami otoczone oczy. Ruchy i mowa także są żywe, a nawet gwałtowne; niekiedy pojawia się na twarzy jego wyraz uniesienia, ale nagle przemienia się w łagodny uśmiech. Piękny siwy włos w naturalnych kędziurach spada na skronie; także ma piękne ręce. Gdy spokojny, cała jego postawa ma w sobie coś nadzwyczaj poważnego, a twarz zdradza śmiałość i otwartość, równie jak namiętność i zapal.

Skorośmy usiedli, skinieniem ręki wezwał mnie do mówienia.

— Ksiądz biskup — począłem — zapewne uzna to naturalnem, że przychodzę do niego z prośbą, jako do ostatniej instancyi. Rozpaczliwy to niejako krok i na pozór mogłoby się zdawać, że właśnie ksiądz biskup najsurowiej może ze wszystkich członków rodziny potępi wady, z których mi czynią zarzut. Ja niedowiarek — ksiądz biskup apostoł. A mimo to grzesznik często najwięcej u pobożnych kapłanów znajduje pobłażania. Zresztą można mnie raczej nazwać zbłąkanym, niż winnym. Odmawiają mi ręki bratanicy, bo nie podzielał jej wiary. Niewiara jednak nie jest zbrodnią, ale nieszczęściem. Mawiają wprawdzie: »człowiek zaprzecza istnieniu Boga, jeżeli ze względu na swe uczynki pragnie, aby Boga nie było«. Tym sposobem niewiara jego staje się winą i za to odpowiada. Co się mnie tyczy, surowo roztrząsałem sumienie, i chociaż młodość moja była burzliwą, mam przeświadczenie, że mój ateizm wolny jest od pobudek osobistych. Owszem mogę cię upewnić, księżu biskupie, że nigdy w życiu nie wyplakałem tak gorzkich łez jak wówczas, kiedym się przekonał, iż opuściła mnie wiara w Boga. Nie jestem tak lekkomyślny, jakby się zdawać mogło, nie należę do rzędu ludzi, którzy po utracie wiary nie czują w duszy żadnej pustki. Proszę mi wierzyć: można być światowcem, sportsmenem, należeć do złotej młodzieży, a mimo to mieć chwile skupienia ducha i poważnych roz-

myślań. Nie trudno pojąć, że w takich chwilach daje się uczuć cała pustka egzystencyi bez moralnej podstawy, bez zasad, bez nadziei życia przyszłego... a przecież jaka na to rada? Może w swojej dobroci, którą ci czytam z oczu, księżę biskupie, każeś mi objawić zarzuty przeciw zasadom wiary, iżbyś mógł je rozprószyć?... Cóż mam odpowiedzieć? Liczba zarzutów jest niezliczoną, jak ilość gwiazd na niebie. Zewsząd cisną się do mózgu, a zostawiają po sobie rumowiska i ciemność. Tak było ze mną, tak dzieje się z innymi, a dzieje się mimowoli, i jest nie do naprawy.

— Czy i ja może, panie wice-hrabio — zawołał biskup namiętnie, ciskając na mnie ostre spojrzenie — odgrywam w kościele komedią?

— Ależ, księżę biskupie...

— Mówisz tak, jakby już świat stanął przy jedynej możliwej alternatywie: być ateistą lub obłudnikiem. Zapewniam cię, że nie jestem ani jednym ani drugim.

— Ależ, księżę biskupie!... czy wypada mi się bronić? Czy naprawdę potrzebuję zapewniać, że przyszedł nie w tym celu, aby cię obrazić?

— Tak... zapewne... otóż mój panie, przypuśćmy, ale tylko warunkowo, bo poniekąd każdy jest i będzie odpowiedzialnym za otoczenie, w którym żyje, za prądy, którym się poddaje i za kierunek życia duchowego, ale przypuśćmy, żeś padł ofiarą niedowiarstwa naszych czasów, i że nie ponosisz winy skeptycyzmu, ateizmu, (bo nie wahasz

się użyć tych dobitnych wyrazów), czyż mimo to możesz zaprzeczyć, że związek między osobą pełną wiary gorącej, jaką jest moja bratanica, a mężczyzną pańskich zapatrywań byłby moralnym błędem, któryby mógł najsmutniejsze mieć skutki. Czyż sądzisz pan, że obowiązki krewnego, dusz-pasterza i biskupa pozwalają mi przyczynić się do zbrodni, i zgodzić się na niebezpieczny związek dusz, które dzieli całe niebo? Mniemasz pan, iż moje obowiązki nie sprzeciwiają się temu? Odpowiedz mi, panie wice-hrabio!

Przy tem pytaniu utkwiał we mnie żarzące się oczy.

— Księżę biskupie! — odparłem po chwili zakłopotania — znasz obecny stan świata i naszej ojczyzny równie dokładnie jak ja, a prawdopodobnie lepiej, wiesz przeto, że na nieszczęście nie należę do wyjątków. Mężczyźni z wiarą są rzadkością dzisiaj, i — pozwól mi powiedzieć, co myślę — jeżeli mię spotkać ma zawód w tem, co sobie uważam za szczęście, czy jesteś ksiądz biskup pewny, iż mężczyzna, któremu kiedyś powierzysz losy bratanicy, nie będzie czemś gorszem, niż skeptikiem, niż ateistą nawet?

— Czemże naprzykład?

— Obłudnikiem! Panna de Courtchouse jest piękną i ma dość majątku, aby być pożądaną przez mężczyzn partya, którzy mniej będą sumienni ode mnie. Co się mnie tyczy, to wiesz, księżę biskupie,

że mimo ateizmu jestem uczciwym człowiekiem — a ten przymiot także coś wart.

— Uczciwym człowiekiem... uczciwym — mruknął niechętnie — tak... chcę temu wierzyć...

— Nie, księżę biskupie — przerwałem żywo — w tem jesteś przekonany; pozwól mi zauważyć, że dziś byłbym już narzeczonym panny Aliety, gdybym mniej był szczerym.

— To prawda — odrzekł bez wahania, z godnością prostując się w krzesle, potem bystro spojrział mi w oczy.

— Jeszcze jedno, mój panie! — dodał. — Czy słowem tej uczciwości, którą się chełpisz, zaręczysz mi, że nigdy nie urazisz niczem wiary mej bratanicy? że twoja mowa, złośliwe uwagi, mimowolne szyderstwa, nie zamącą jej czystej duszy, i nie zaszczipią w niej może jadu powątpiewania? Wszakże nie sądzisz, iżby chciała walczyć z takim niebezpieczeństwem, albo iżbym ja śmiał narażać ją na nie?

— Na to, księżę biskupie odpowiem, iż miałbym się za nikczemnika, gdybym nie uszanował wiary mej żony. Nigdy w życiu nie wymknęło się na moje usta żadne słowo nienawiści dla religii. Sam wprawdzie nie wierzę, ale nie jestem bluźniercą. Nigdy jeszcze nie znieważył tego, co mi niegdyś było świętem, i nigdy tego nie uczynię. Że można stracić wiarę, najlepiej niestety! wiem po sobie, ale nie pojmuję, jak ten, kto dziecięciem klęczał z matką przed krzyżem, może w tymże krzyżu znieważyć pamięć matki i swych lat dziecięcych.

Słowa te wyrzekłem z pewnym zapałem, spostrzegłem też, że oko prałata łzą zaszło i przyznam, że i mnie udzieliło się jego wzruszenie.

— Panie wice-hrabio! — rzekł łagodnie — stan twój nie jest tak rozpaczliwy jak mniemasz, a moja droga Alieta należy do tych marzycielek, przez które Bóg cuda działa.

— Księżę biskupie! — odparłem — przykro mi to wyznać, ale i teraz, choć czuję, iż serce twoje chce mi się otworzyć, muszę wypowiedzieć całą prawdę, bo jak już rzekłem, nie chcę kłamstwu zawdzięczać szczęścia. Oznajmiam tedy, że dopiero co podsłuchałem mimowolnie rozmowy twej z bratanicą. Wnoszę ztąd — a wzmianka obecna utwierdza mnie w tym domyśle — że nadzieja nawrócenia mnie może was oboje usposabia przychylnie dla moich pragnień. Ale księżę biskupie skorom powiedział, w czym nie należy się mnie obawiać, tak samo oświadczę, czego się po mnie spodziewać nie można. Czuję, iż wszystka wiara w nadprzyrodzone rzeczy została we mnie zniszczona do szczętu, niejako z korzeniem wypleniona. Żadna skała w morzu nie jest mniej zdolną do przyjęcia wegetacyi, niż moja dusza do przyjęcia ziarna wiary.

— Skoro pan jesteś przekonany o tem, chwalebę, że otwarcie to mówisz, ale Bóg ma swoje drogi.

Podniósł się.

— Synu mój — rzekł poważnym głosem — pozwól mi zakończyć rozmowę słowami jednego

z ojców świętych: »błogosławieństwo starca nie może szkodzić«, więc przyjmij je odemnie.

Pochyliłem się z uszanowaniem, zrobił nade mną mistyczny znak, poczem skłoniłem się i chciałem odejść. Zanim doszedłem do drzwi, przywołał mię.

— Panie de Vandricourt, nie odchodź... czekaj nas w ogrodzie.

.
.

Na tem kończę mój dziennik, bo skończył się już rozdział życia, który opisać postanowiłem. Panna Courtchouse za zezwoleniem rodziny przyrzekła mi rękę. Biorę ją z głęboką wdzięcznością i wszystkich dołożę starań, aby żonę mą tak uczynić szczęśliwą, jak głęboko ją kocham i szanuję.





CZEŚĆ DRUGA.

Opowiadanie.

Dziennik hrabiego Bernarda nie jest ukończony, ale tylko przerwany. Pan de Vandricourt podjął na nowo wątek dziennika pod wrażeniem wypadków, które co najmniej tyle miały dlań znaczenia, co wypadki, które mu wprzód wcisnęły pióro do ręki.

Obie te części, albo lepiej mówiąc, oba urywki dziennika dzieli czas kilkuletni, który przy pomocy niektórych papierów rodzinnych i osobistych wspomnień według możności wypełnimy.

Skrzywdzilibyśmy wice-hrabiego de Vandricourt, gdybyśmy opis, jaki sam dał o sobie na poprzednich kartach, wzięli dosłownie. Z umyślnej przesady opowiadacza czytelnik zapewne już sam odtworzył wierny obraz młodzieńca i powiedział sobie, że wice-hrabia, kiedy zawiązał stosunki z rodziną Courtcheuse, ani tak był płytkim, ani tak nieznośnie próżnym, jak się chciał przedstawić. Inne to zalety musiały zdobić jego osobę, jeżeli nie ma pozostać dla nas zagadką ów czar, który wy-

wierał na taką jak Alieta kobietę. Niezawodnie olśniły Alietę — która mimo rzadkiej czystości duszy była przecież kobietą — wytworna powierzchowność młodego mężczyzny, jego elegancya, i układ salonowy; ale też dodać musimy, że zajęcie dziewczyny bardzo rychło ustąpiłoby miejsca zobojętnieniu, gdyby tym jego zaletom nie towarzyszyły głębsze uzdolnienie i inne szlachetne przymioty. Najprzód Alietę ujęła prostota w jego zachowaniu się, której nie spodziewała się znaleźć u bohatera salonów. Niebezpieczny młodzieniec mimo wielkiego o sobie rozumienia, umiał w towarzyskiem obcowaniu z dobrze obliczoną skromnością, połączyć uprzejmość, która się umie zastosować do każdego usposobienia, i tę schlebiającą łagodność, która podbija serca. Nadto wice-hrabia był bardzo i wszechstronnie wykształconym, i umysł jego, gdy zapragnął, mógł różnobarwnem zabłysnąć światłem, a oprócz tego każdy czuł, iż ma do czynienia z dumnym, otwartym, fałszem i obłudą gardzącym, prawdziwie szlachetnym mężczyzną.

Taką duszę uratować, wrócić Bogu, było zaiste zadaniem, które musiało zapalić młode, głęboko wierzące serce i tem pragnieniem tłumaczyła i usprawiedliwiała Alieta przed sobą skłonność, której może nie pochwałał rozum. Tem pragnieniem usprawiedliwiał także zacny prałat, jak to zaraz poznał wice-hrabia, powolność swoją dla serdecznych życzeń ukochanej bratanicy. Oboje, jak biskup powiedział, były to dusze marzycielskie. Któż

z nas pomiędzy kapłanami tegoczesnymi — oczywiście między wybrańcami tego stanu — nie znalazł kilku takich gorących, entuzjastycznych serc, pełnych pobożnego marzycielstwa? Chociażby je ganić wypadało — co do nas, cieszy nas ten zapach, nawet gdy zdaje się sprowadzać na błędne drogi — od nadmiaru marzycielstwa obecne czasy bronić się nie potrzebują.

I.

W pierwszych dniach stycznia następnego roku odbył się ślub wice-hrabiego de Vandricourt z panną de Courtcheuse. Kilka tygodni spłynęło na urządzeniu pięknego domu w dzielnicy Monceau, potem młoda para wyjechała do Włoch. Przez zdarzenie, bardzo zwyczajne, zmuszeni do skrócenia podróży, wrócili przy końcu kwietnia do Paryża, i odtąd nastąpiła dla obojga pora rzeczywistych usiłowań zżycia się ze sobą.

Jeżeli mężczyzna nie jest potworem — a to należy zawsze do wyjątków — żona w pierwszym roku małżeństwa przynajmniej w części czuje się szczęśliwą, a jeżeli jej, jak pani de Vandricourt już po pierwszych miesiącach pożycia uśmiechnie się nadzieja macierzyństwa, to zazwyczaj jeszcze dłuższy czas omijają ją zawody. Nowy węzeł, który później wskutek nawyknienia traci pierwotny urok, na razie posiada jeszcze całą siłę, wkłada na mężczyznę

obowiązki i zmusza go do pewnych względów; zresztą oczekiwanie rozkoszy rodzicielskich nadarza często sposobność dla męża i żony do niewyczerpanych, dla obojga równie zajmujących pogadanek; jeżeli zaś mąż pośród tego nowego życia czuje niejaką tęsknotę do dawnych czasów, jeżeli go nachodzą wspomnienia klubowe, buduarowe lub inne, na które tęsknie spoziera, to pociesza się myślą, że obecny stan rzeczy jest tylko przejściowym, i że co się odwlecze, to nie uciecze. Tym sposobem idzie wszystko gładko i obie strony są zadowolone: żona, bo się spodziewa, że zawsze tak będzie, mąż zaś, bo o czemś wręcz przeciwnem jest przekonany.

Pani de Vandricourt nawet i w tej pierwszej dobie małżeństwa nie miało zabraknąć goryczy. Biedna Alieta, której nie było tajem pragnienie i Bernarda i jego stryja co do utrzymania rodu, musiała doznać tej przykrości, że urodziła się jej córka, śliczne wprawdzie dziecko, ale — tylko córka. Ze łzami błagała męża o przebaczenie; on zaś pocieszał ją żartobliwie, zapewniając, że mu na przyszłość błąd powetuje, i że każdej debutantce podobła się drobne niepowodzenie.

Dalszem niepowodzeniem dla pani de Vandricourt było, że nie mogła sama karmić dziecięcia; ale za to oddała się dziecku z właściwem sobie poczuciem obowiązku i gorącą miłością. Dziecię było także wybornym pretekstem do usunięcia się od wymagań paryskiego towarzystwa, które ze żoną wytwornego i słynnego wice-hrabi, jeżeli nie ze

szczególnej sympatyj, to przynajmniej z ciekawosci zetknąć się pragnęło. W ogóle ten stan rzeczy był jej bardzo na rękę ze względu na zamierzony sposób życia, który sobie podług wskazówek stryja ułożyła. Tradycyjne »uciechy świata« nie wiele miejsca zając w niem miały. Biskup de Courcheuse i jego bratanica, jakkolwiek bardzo rzadko i to zawsze tylko na krótko odwiedzali Paryż, mieli jasne pojęcie i dość bystry dar obserwacyjny, aby trafnie ocenić właściwości tamtejszego życia towarzyskiego. Nie wpłynęły na ich sąd ani pełna skrupułów pobożność, ani też małoduszna parafiańszczyzna, ale mimo to cechowała ich w tem niejaka naiwność. Mniemali, że tylko nadmiar wrażeń na paryskim życiu wyciska znamię tej żywości i roztrzepania, które z ich poważnem pojęciem życia tak bardzo się nie zgadzały. Jako pani de Vandricourt, Alieta już wkrótce przy swoim bystrym rozsądku przyszła do przekonania, że nietylko nadmiar, ale i rodzaj światowych rozrywek sprzeczne były ze zasadami przez naturę i wychowanie w niej zaszczeponemi. Zrazu nieznane dotąd i wstrętne rzeczy widziała niewyraźnie i niedokładnie pojmowała; ale już to samo wystarczało jej do stanowczego trzymania się obranego planu życia, nietylko dlatego, że odpowiadał jej usposobieniu, ale przede wszystkim dlatego, bo nadawał się najlepiej do osiągnięcia zamiaru, t. j. do nawrócenia męża.

Rady stryja, które zresztą zgadzały się z jej

własnem zapatrywaniem, wskazywały jej niebezpieczeństwo jawnych usiłowań nawracania.

— Tylko przykładem powinnaś działać — mawiał rozumny prałat — zresztą zaś wobec męża nie poruszaj kwestyi religijnej; unikaj wszelkiego wyrzutu, upomnienia, aluzyi nawet. Taby go tylko drażniło i odpychało. Niechaj ci to wystarczy, iż wśród zgiełku życia światowego ukażesz mu słodki spokój życia chrześcijańskiego i dołóż starania, aby się nauczył rozumieć cię, kochać, błogosławić, a wtedy pojmie, ukocha i błogosławić będzie Boga, który cię stworzył tem, czem jesteś.

To też pani de Vandricourt, po męczących pierwszych wizytach, skorzystała z obowiązków macierzyńskich, aby pozycie ze światem ograniczyć na szczupłe kółko krewnych i ścisłych przyjaciół męża. Zresztą jeżeli tylko mogła, siedziała w domu i ile jej starczyło gospodarczego zmysłu i dobrego smaku, dokładała starań, aby dom upiększyć. Salon i buduar były zawsze mnóstwem roślin liściastych i kwiatów ozdobione, których wdzięczne ugrupowanie tworzyło zaciszne kąciaki. W tem ozdabianiu, któremu Alieta poświęcała dziennie po kilka godzin czasu — wyznać to musimy — odstąpiła bardzo od surowego stylu Ludwika XIV; bo też obecnje wzięła sobie za zadanie, podobać się swemu mężowi i panu i zastosować się do jego upodobań. Aby zrównoważyć urządzenie może trochę nadto rozkoszne, jeden ze salonów na bibliotekę przeznaczyła, i tu, pośród rzymskich popiersi, ustawiła

książki ojca z Varaville zabrane; było bowiem jej ulubionem marzeniem, te ukochane stare księgi razem z ukochanym także bardzo mężem znowu czytywać.

Nie potrzebujemy prawie dodawać, że prywatne apartamenty wice-hrabiego coraz nowe, przyjemne kryły niespodzianki, które najpewniej nie przez służbę były dlań zgotowane. Do pielęgnowania ciała dużo przykładał wagi i lubiał bardzo porządek, ale mimo to, jak zazwyczaj mężczyznom, było mu trudno utrzymać porządek wkoło siebie. To też prawdziwą sprawiało mu przyjemność, że wszędzie widział porządek, i że biorąc czy chusteczkę, czy rękawiczki oddechał świeżą wonią, którą ręce czarodziejskie rozwiewały po wszystkich schowkach.

Wszystkich możliwych użyła środków młoda wice-hrabina, aby męża przywiązać do domu; najlepszym środkiem była sama, chociaż o tem nie wiedziała. Była nietylko bardzo ładną — jej poważna a dziecięca twarz, chód elastyczny, pogodne czoło, duże, jak smaragdy błyszczące oczy dodawały jej nieokreślonego wdzięku — kilka miesięcy wśród paryskiego życia wystarczyło do udoskonalenia jej wrodzonego smaku, tak, iż jej strój, pełny harmonijnej prostoty i wytwornej elegancyi, za wzór mógł służyć. Że jej usposobienie było poważne, o tem już wiemy, a chociaż jej wykształcenie w pewnym względzie grzeszyło cokolwiek jednostronnością, było za to wolnem od płytkości.

Bernard wcale nie był obojętnym na te mile drobnostki, które żona mu gotowała w domu, ale przyjemność ztąd doznawaną psuło wrażenie umyślności, którą w tem wszystkiem widzieć mniemał. Żonę znajdował nadzwyczajnie czarującą, powabną i rozumną, ale wydawało mu się zawsze, że usiłuje go zamknąć w klatce, ugłaskać i swoich ulubionych piosnek wyuczyć. Skrycie śmiał się z jej planu, a chociaż pobłażliwy, jako mąż jeszcze ciągle zakochany i w usposobieniu dobry, nie sprzeciwiał się młodej żonie, i ani na chwilę nie przypuścił do siebie myśli wyrzeczenia się swobody. Mimo sprawiedliwości, jaką oddawał zawsze zaletom Aliety, spostrzegał z tajną niechęcią, że coraz więcej zaśłaniała się obowiązkami matki, aby się wycofać zupełnie z paryskiego życia, i samotnie czas pędzić w krainie marzeń. Że Bernard umiał cenić serdeczne pożycie z żoną, jej rozum i dar zajęcia, nie możemy wątpić o tem; ale mimo to — co zresztą łatwo wytłomaczyć — często nie mógł się pozbyć wobec niej jakiegoś krępującego swobodę uczucia. Mało tylko można znaleźć tematów do rozmowy (jeżeli istnieją takie w ogóle), któreby w pewnej przynajmniej mierze nie dotykały kwestyj religijnych, gdyż z temi niezawodnie wiąże się wszystko. Pośród towarzystwa, które, jak nasze, prawie wyłącznie składa się z obojętnych i skeptyków, nie czujemy tego; ale skoro zejdziemy się z osobą głębokiej wiary, zaraz okazujemy jakiś przymus, o czemkolwiekby wszczęła się rozmowa, czy to o sztuce,

czy o naukach, o polityce lub literaturze — obawiamy się co chwila dotknąć religii i obrazić uczucia, którebyśmy chcieli uszanować. Także Bernard i Alieta przy każdej poufalej pogadance, przy wspólnem czytaniu, przy omawianiu wrażeń odniesionych w teatrze lub na koncertach, zawsze doznawali obawy, aby nie natknąć na zakazany temat.

Jak wiemy, wice-hrabia, kiedy się starał o rękę panny de Courtcheuse, był zdania, że już krótki pobyt w Paryżu wystarczy do pokonania przesadne pobożności Aliety i nadmiar jej cnót sprowadzi do koniecznej miary. Skoro jednak uparła się także i w Paryżu żyć jak w jakiej pustelni i troszczyć się tylko o Boga, męża i dziecię, nie można było liczyć na zmianę. Czułe Bernarda pojęcie o honorze zabraniało mu prowadzić żonę na drogę lekkomyślności, zarazem jednak był przekonany, że tak jej jak jemu wyszłoby na dobre, gdyby mu się powiodło nadzwyczajną jej surowość umiarkować. Pewnego wieczora po obiedzie, w bibliotece pałac cygareto, zaproponował żonie pójść do jednego z teatrzyków bulwarowych na »Sześć kobiet z rodziny Mollenchart«, na sztukę, która takim cieszyła się powodzeniem, że jej dowcipy powtarzano po wszystkich salonach.

— Prawdziwie, moja Alieto, zanadto stronisz od spraw tego świata — rzekł Bernard. — Dziś młode dziewczęta prawie bez wyjątku wychodzą za mąż, głównie z tego powodu, aby wolno im było iść do teatru Folies-Bergères. To, wyznają,

jest lekkomyślnem; ale ty popadasz w błąd wprost przeciwny, jeżeli w przesadnej surowości każdy teatr, który nie jest operą lub »komedją francuską«, uważasz za miejsce potępienia.

— Ależ »Sześć kobiet« kochany Bernardzie? — odrzekła z miną wyrażającą pewne skrupuły.

— Zapewne — odpowiedział — nie jestto ani Cyd, ani Brytanik, ale farsa. Ale cóż to szkodzi? Zapytaj tylko wyroczeni swojej... Bądź łaskawa podać mi drugi tom Moliera, który zawiera »krytykę szkoły kobiet«; w dedykacyi Annie Austriaczce, znajdują się słowa, jakby dla wice-hrabiny Vandricourt napisane: »Uszczęśliwia mnie zaszczyt, iż »mogę bawić Waszą Kr. Mość, która dajesz dowód, »że prawdziwej pobożności nie sprzeciwia się zacna »wesołość, i nie wahasz się śmiać temi ustami, które »umiają tak gorąco się modlić...« Cóż odpowiesz na to, moje dziecię?

— Że ani tobie ani Molierowi nie mogę nic odmówić — odpowiedziała wesoło — popatrzymy na »Sześć kobiet z rodziny Mollenchart«.

Każdy wiek ma właściwe sobie dowcipy. W XVII wieku były trochę rubaszne, à la Ganoise, ale swobodne, zdrowe, nieszkodliwe — w rodzaju Moliera. W naszych zaś czasach lubią, kiedy z dowcipów na scenie a nawet w książkach wieje pewna woń rozpusty. Pani de Sevigné, chociaż lubiła się śmiać, najprawdopodobniej nie pobudziłyby do śmiechu »Kobiety rodziny Mollenchart« — i tak samo było z panią de Vandricourt, która niejako

wzrosła w atmosferze słynnej margrabiny. Jak dobrze wychowane dziecko, które się dostało w prostackie towarzystwo, zadawała sobie przymus i dla miłości męża usiłowała się nawet uśmiechnąć; jednak usiłowania te nie powiodły się jej wcale i wice-hrabia spostrzegł, że chybiła pierwsza próba nawrócenia.

Jeszcze w ciągu tegoż samego roku pan de Vandricourt, znalazł inną, lepszą jak sądził sposobność do oderwania żony od poważnego zanadto życia i do zwrócenia jej ku rozrywkom światowym, do których wstręt miała. Przy końcu zimy, jak zawsze, paryska arystokracja urządzała kilka świetnych zabaw na cele dobroczynne. Przedewszystkiem na Trocadéro miał się odbyć bal w połączeniu z kiermaszem, podczas którego w budach sprzedawane były drobnostki przez dystyngowane damy. Wice-hrabia Vandricourt, z usposobienia już dobroczynny, żywy miewał udział w takich festynach, bo nadarzała się sposobność niesienia wsparcia ubogim i sprawienia przyjemności sobie i znajomym damom. Chwalebny i prawie religijny cel tych światowych zabaw, jak mu się zdawało, powinien był zyskać sympatyą surowej żony, i uspokoić jej skrupuły. Kiedy ją tedy ze względu na imię i stanowisko społeczne, jakoteż ze względu na jej piękność usilnie zapraszano do współudziału w roli damy komitetowej i sprzedawczyni, i on ją prosił, aby się nie usuwała od towarzystwa. Ku wielkiemu jego zdumieniu jednak, uchyliła się od tego za-

szczytu, tłumacząc się, iż jest nazbyt nieśmiałą, za młodą, za mało ma znajomych, a kiedy jej Bernard, którego to gniewało, w pewnem rozdrażnieniu uczynił zarzut, że sprzeniewierza się swym zasadom a nawet religii, odmawiając pomocy dla celu nietylko dobroczyнного, ale poniekąd pobożnego, odpowiedziała mu z uśmiechem:

— Nie dawno sam odczytałeś mi słowa Moliera, teraz mam ochotę odpłacić ci taką samą monetą, powtarzając zdanie Pascala, mianowicie list księdza Lemoyne o »wygodnej pobożności«.

Wice-hrabia zaśmiał się i dał pokój; ale już zabrakło mu ochoty do dalszych usiłowań, a kiedy kilka podobnych prób spęzło na niczem, stracił nadzieję »uhumanizowania« żony i sprowadzenia jej do panującego prądu. Mimo licznych zalet — Alieta była niewzruszoną purytanką, należało się tedy podać, dla jej wielu przymiotów przebaczyć dziwactwa, pozwolić jej żyć podług dzikiego upodobania i nie sprzeciwiać się, jeżeli jak kopciuszek przy rozpoczęciu kotyliona wymykała się z balu.

Ale też pan Vandricourt mniemał mieć prawo do żądania tej samej wolności dla swoich upodobań; powoli wracał do nawyczek kawalerskiego życia, lecz czynił to bardzo delikatnie i ostrożnie jak mąż, który ma pewne względy dla spokoju i stanowiska żony.

Tak tedy Alieta coraz więcej stawiała się samotną w uroczym domu, który, aby męża przywiązać, ozdobiła była miłością i nadzieją. Ile to

smutnych godzin spędziła w trwającym coraz dłużej oczekiwaniu! ile to pocałunków dostało się ukochanemu dziecięciu, które napróżno dla niepamiętającego o domu niewdzięcznika tak samo było ustrojone jak matka! ile to gorących łez spłynęło na śpiące maleństwo.

Często po powrocie do domu Bernard zastał żonę z zaczerwienionymi oczyma i tem się irytował coraz bardziej. Czegoż właściwie chce? Sądził, albo wmawiał w siebie, że żona chce oderwać go od życia paryskiego i jego zwykłych przyjemności, aby u jego boku pędzić jakiś pustelniczy żywot. Alieta była nadto rozsądną, aby marzyć o czemś podobnem; ale ten ciągły niepokój ze światowych rozrywek pochodzący, a podług jej przekonania tak niezgodny z powagą życia, był jej nieznośnym zarówno ze względu na męża, jak na nią samą. Dlatego pragnęła już od samego początku oderwać go od tych rozrywek, i z nim razem zbudować sobie jedno z owych cichych domostw, które wprawdzie rzadkie są w Paryżu, ale przecież gdzieś istnieją — dom, w którego ukryciu spływa zacne, szczęśliwe a nie pozbawione duchowych rozkoszy życie. I Alieta lubiła i ceniła wysoce rozrywki zacne i szlachetne, których tyle nastęrcza siedlisko życia duchowego, jakim jest Paryż; ale chciała ich użyć w małym, dobranem, poważnem i spokojnem kółku, zdala od zgiełku świata, od gorączki bulwarowej i od odurzonego rozkoszą to-

warzystwa, w którym widziała brudne szumowiny paryskiego życia.

Gdy przed mężem wymarzone to życie żywo kreśliła, wzruszał tylko ramionami i mruknął czasem pod nosem: »dziwactwo!... dom Rambouillet!«

Skutkiem tego wzmagало się wzajemne nieporozumienie, i oboje ci poczciwi ludzie poczęli się wzajemnie dręczyć.

W tej smutnej dobie młodego małżeństwa chciał przypadek, że tejsamej osobie zwierzyli się i płacząca żona i mąż niezadowolony. Była nią księżna de Castel-Moret, stara przyjaciółka rodziny Vandricourtów — jedyna dama w Paryżu, z którą Alieta chętnie obcowała. Księżna zresztą ani w moralnym, ani w religijnym względzie nie podzielała jej surowych poglądów, ani zapału religijnego. Że życie jej było nieposzlakowane, zawdzięczała nie tyle zasadom, ile wrodzonym skłonnościom i instynktowi. Sama mawiała, że już z natury jest uczciwą, więc w tej mierze nie ma żadnej zasługi. Była to stara dama o powierzchowności starannie pielęgnowanej, przy siwych włosach woniejąca i powszechnie lubiana z powodu wdzięku staroświeckiego, dowcipu i wielkiego doświadczenia, z którym chętnie spieszyła na pomoc przyjaciołom. Czasem skojarzyła jakie małżeństwo, głównem jednak było jej zadaniem, tym pomagać, którzy się zgodzić nie mogli — co niezawodnie synekurą nie było; — to też najwięcej czasu trawiła na naprawie związków, które się rwały.

— Łatana była to robota — mawiała zwykle — ale wiadomo, że dobra łatanina często lepiej trzyma, niż robota nowa.

Pocziwej księżnie już częściowe zwierzenia Bernarda i Aliety zdradziły niemiły stan domowego pożycia, nie była więc wcale zdziwioną, kiedy ją pewnego razu wice-hrabia de Vandricourt prosił o wydanie wyroku w sprawie małżeńskiej i zajęcie się pewnym takim wypadkiem.

— Kochana księżno! — rzekł do niej — wiesz, jak mi dawniej szło, i widzisz, jak mi teraz idzie. Uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, aby żonę odwieść od klasztornego życia, w jakie się zasnuwa — ale ona uparcie trzyma się tegoż. Dobrze! — nie sprzeciwiam się jej manii... ale nie myślę zgoła zamknąć się z nią w celi, aby chwalić Boga, w którego nie wierzę, i aby dziecku noska ucierać.

— Kochany wice-hrabio, jesteś rozdrażniony — odrzekła księżna.

— Tak, jestem nim!... ależ czy może być inaczej? Nie mogę sobie żadnego uczynić zarzutu. Czyż nie jej to winą raczej, że prawie zawsze sam idę w towarzystwo i znowu wracam do klubowego życia? Ona zaś siedzi w kącie, płacze dzień i noc, a żem głupiec z dobrym sercem, zatruwam sobie tem życie; do tego jeszcze gadanina ludzi! Jedni mówią, żem zazdrosny — inni myślą, że Alieta nie spełna rozumu... Czy to przyjemnie?

— W każdym razie dziwnym pan jesteś —

odparła księżna. — Szczęśliwy wypadek w obecnych czasach, wśród paryskiego życia daje ci żonę, która głupią nie jest, a ty się żalisz! O mój Boże! radabym wiedzieć, cobys począł, gdyby cię los tylko na czternaście dni sprzął z czarownem dzieckiem, które zeszłego roku w Dieppe było dla mnie szczerą rozkoszą... prawdziwa Paryżanka najczystszej wody!... Mieszkała w tymże co ja domu. Nie wychodziłam ze zdumienia. Już o świcie słychać było po kurytarzach stuk jej łaski, a potem widziałam ją wyruszającą ze świtą, z pięciu lub sześciu mężczyznami twego kalibru, kochany wice-hrabio, do których mąż się przyłączał. Z podniesioną spodnicą spieszyła do wybrzeża, albo na łowienie ryb, gdy był odpływ, albo do kąpieli. Gdy się zbliżała pora śniadania, wracała, oczywiście ze świtą, i dla posilenia spożywała talerz mizeryi, pieczeń ze sosem i garnuszek poziomek. Następnie szła na stanowisko, aby ubić parę gołębi; potem do kasyna, gdzie zjadała dwie porcy lodów, spiesźnie przegrywała pięćdziesiąt luidorów w lancknechta — albo szła do fotografa. Gdy się z tem wszystkiem uporała, wyjeżdżała na spacer w kocyku z dzwonekami, oczywiście znowu z towarzyszymi i stawała w Pollet, aby zjeść ze trzy funty raków. W karczmie pod Arques obiadowała, potem znowu szła do kasyna, gdzie w bakaracie odgrywała swoje pięćdziesiąt luidorów. Następnie przy wieczerzy piła bok, wtykała kwiatek we włosy, tańczyła walca i w tryumfie wracała do domu około godziny 3 z rana —

ciągle w towarzystwie młodych panów, wybladłych i pomęczonych, ale bez męża, który się po drodze gdzieś zgubił. Mimo to wszystko, kochany wicehrabio, uchodziła za damę całkiem przyzwoitą — ale czybyś chciał, aby taką była twoja żona?

— Miałbym przynajmniej rozmaitość — ze śmiechem odrzekł Bernard.

— Takie to nasze młode panie — ciągnęła księżna — bo, że opisana nie jest wyjątkiem, wiesz pan dobrze. Pan zaś przychodzisz żalić się, a posiadasz prawdziwą perłę, żonę dobrą, rozsądną i wykształconą, z poważnem usposobieniem i chyba z jedyną wadą, że jest świętą. Może w tej mierze trochę przesadza — o to się spierać nie będę; ale kocha cię tak bardzo, iżby ci nie powinno być trudno przywieść ją do opamiętania... Ale nie masz ochoty po temu?... Ja się więc tego podejmę.

Wicehrabia kilkakrotnie ucałował rękę starej damy i pożegnał ją. Dnia następnego księżna de Castel-Moret, gorliwie pełniąca swe obowiązki, odwiedziła panią de Vandricourt. Znalazła Alietę bez humoru, przygnębioną, zrozpaczoną, jednym słowem w najlepszem usposobieniu przyjmowania rad i wskazówek. Księżna przedstawiła jej uprzejmie, że poprawa i nawrócenie męża jest rzeczą bez wątpienia chwalebłą, ale zarazem i trudną, i że nagłąc sprawę pogorszyła; nie dość jest cierpliwą, nie dość uległą; nie umie w porę popuścić wodzów i znowu ściągnąć, tak iż mąż znarowił się i z rąk wyrwał. Takiego Paryżanina czystej krwi, roz-

pieszczonego, skeptyka aż do szpiku, przywykłego do życia bulwarowego nie można od razu przynaglić do poważnego życia domowego, albo zgoła wszczepić weń wiarę. Aby to zaraz się stało, potrzebaby cudu. Alieta niezawodnie więcej niż inna podołać może zadaniu, a pierwszym jest ku temu warunkiem, trzymać się ile możności ciągle w pobliżu męża, aby go jednocześnie i głaskać i hamować. Jednem słowem, jeżeli pragnie nadać mu powoli inny kierunek, musi począć od zastosowania się do jego upodobań, aby go nie zrażać.

Pani de Vandricourt skutkiem wielu doznanych zawodów była przygnębiona, znużona wewnętrzną walką, lękała się samego przypuszczenia utraty miłości męża, tak, że pewną rezygnacją rozpacziwą weszła na wskazaną sobie przez księżnę drogę. Pierwszy krok był bardzo trudny. Przypomniała sobie niezadowolenie męża, kiedy po narodzeniu dziecięcia, przy ułożeniu nowego podziału czasu, wzbraniała się rano wyjeżdżać z nim na spacer do lasku bulońskiego. Wyrzekła się ulubionej namiętnie jazdy konnej, któraby jej przeszkadzała pozostać wierną przyzwyczajeniom z lat dziecięcych. Także i tu — podobnie jak w kościółku we Varaville — chciała słuchać mszy co rana, i to nie tylko dla spełnienia obowiązku religijnego, ale z prawdziwej dusznej potrzeby. Kiedy z opartą na dłoni głową klęczała w ławce, pośród modlitwy budziły się w niej wspomnienia dawnych lat, czasów bez trosk i zmartwień. Widziała drogę polną

prowadzącą ze zamku do kościółka, oddychała wonią róż polnych i słyszała skrzypienie szarego cisa na podwórzu kościelnym... Postąpiła sobie niewłaściwie i uznawała to. Zaraz następującego dnia po wysłuchaniu nauk księżny, powiedziała mężowi, że nie może się oprzeć chęci przejechania się konno, i że z ochotą towarzyszyłaby mu przy rannej przejażdżce.

Bernard spojrział na nią ze zdziwieniem; potem uchwycił jej rękę.

— Wielką sprawiasz mi przyjemność, kochana Alieto! dumny jestem z ciebie, cieszę się, że mogę cię pokazać światu.

Te słowa — tak rzadkie na ustach każdego męża, a rzadsze jeszcze na ustach tak powściągliwego, zazwyczaj szydzącego mężczyzny jak wicehrabia de Vandricourt — mile połechtały serce młodej kobiety, i zachęciły ją do dalszych ofiar.

Od tej chwili porzuciła samotność, udzielała się towarzystwu, częściej bywała w zimie w teatrach, w lecie na wyścigach, jednym słowem, nie płynęła, jak dawniej przeciw prądowi. Także i Bernard, wspierając jej chęci, zadawał sobie przytomus: wyrzekł się kilku nawyczek, porzucił niektóre rozrywki, często klub zaniedbywał, towarzysząc Aliecie na zebrania towarzyskie. Pożycie ich znowu stawało się wspólnem, małżeństwo ich świeciło niejako drugą wiosną, i w ich obcowaniu było tyle wzajemnego uznania i serdecznego wesela, że dni te należały do najszcześniejszych w życiu wicehrabiny.

II.

Paryskie życie towarzyskie jestto straszliwa machina, która, skoro co pochwyci, nigdy prawie nie oddaje. Także i pani de Vandricourt ujrzała się wciągniętą w koło, gdzie zaproszenie szło za zaproszeniem, znajomość wpływała ze znajomości, każda rozrywka rodziła nowe obowiązki, i gdzie nie było chwili ciszy. Czuła, najprzód z niechęcią, potem zaś ze zgrozą, że coraz więcej traciła ze swej wolności, czasu, a nawet osoby, i że naręszcie nie należała już do siebie, ale do świata.

Zresztą nie to jedno tylko matrzyło ją w tem nowem życiu. Przyłgnęła już do zgiełkowego towarzystwa, które z upodobaniem nazywać się zwykło »całym Paryżem«, i które mniema, że jest nim rzeczywiście, bo nic nie widzi ani słyszy prócz siebie, i o niczem innem nie mówi, o sobie zaś aż nadto dużo.

Już na samym wstępie kosmopolityczna cecha paryskiego towarzystwa uderzała niemile Alietę, która z rodu, skłonności i wychowania była prawdziwą Francuską. Wiemy, jak potężny mają w niem wpływ obce żywioły. Że między obcymi jest wiele osób miłych i przyzwoitych, które i we Francyi takimi być nie przestają, nie możemy zaprzeczyć. Ale jak w naszych teatrach widzimy często Anglików w strojach, któreby za kanałem niepozwalowały im iść do teatru, tak Paryż ogólnie przez licznych

cudzoziemców uważany jest za dwuznaczne miejsce pobytu, gdzie można sobie pozwalać swobody w domu wzbronionej. Brak wszelki przymusu i przyzwyczajenia, butne lekceważenie opinii drugich, są to wady, z którymi nie rodzi się Francuz, które mu jednak powoli zaszczerpione zostają przez ciągły napływ z zagranicy.

Obok tego charakterystycznego znamienia czasu, które groźnem jest dla naszych zalet narodowych — Anglicy lepiej się strzedz umia — jeszcze jedno nie zgadzało się z Aliety usposobieniem i pojęciami. Im głębiej badała to towarzystwo, im dokładniej je poznawała, tem więcej nudziła ją i brzydkiła płytka gadanina, którą obficie zasilają drobne zdarzenia efemerycznej wartości, i która zdaje się wszystkich ugniatać do poziomu mierności. Dzie sięć razy na dzień słyszała w dziesięciu rozmaitych salonach ten sam żargon, tę samą pustą gadaninę, to samo gorączkowe powtarzanie nikczemnych plotek, lekkomyślnych sądów, ulubionych dowcipów z nowej jakiejś sztuki, albo dwuznacznych żartów jakiejś bohaterki kawiarnianej. Nie obito się o jej ucho nic nowego, własnego, indywidualnego z pośród tej nużącej słów powodzi.

Z tajoną zgrozą przypatrywała się temu w zmysłowem upojeniu tłoczącemu się tłumowi, który jakby dotknięty chorobą św. Wita, od kolebki do grobu szalenie pędzi w epileptycznych podrygach. Przypominali się jej owi średniowieczni tanecznicy, którzy wskutek wyroku, na cmentarzu zhańbionego

przez się kościoła musieli kręcić się w straszliwym tańcu, póki trupem nie padli — i pytała się, co w tym szalonym zgiełku zostaje dla życia rodzinnego, dla kształcenia umysłu i dla podniesienia ducha do wyższych sfer, które godzą życie ze śmiercią. Przerazenie ogarnęło ją, gdy się czuła porwaną przez ten gwałtowny prąd, w którym na próżno szukała stałego gruntu.

Wzmagало się jeszcze obrzydzenie, gdy przypadkiem musiała przysłuchiwać się rozmowom, które wskutek zdżiczenia smaku i obyczajów, podniecane nadto przez czytanie pewnych książek, nawet w salonach stają się modnemi; gdy np. słyszała rozmowy kobiet między sobą, albo nawet z mężczyznami o fizyologicznych dziwolągach, tajemnych występkach i potwornych zboczeniach.

Jej zniechęcenie i oburzenie wzmagало się na myśl, że ton i obyczaje francuskiego towarzystwa tak we Francyi samej, jakoteż za granicą sądzi się podług tej mieszanej, hałaśliwej, sztucznie nadętej, tak zwanej »elity«, której zabawy, przygody, skandaliczne dzieje i mody dostarczają codziennie przedmiotu dla ciekawości dzienników i dla szyderstwa publiczności. Pani de Vandricourt, chociaż tak mało dbała o politykę, widziała zgorszona, że kiedy pewna teżyzna pobudza i podburza coraz namiętniej chciwość i zmysłowe zachcianki francuskiego ludu, stojąca na przodzie część wyższych klas w społeczeństwie, z niepojętą obojętnością, tylko o swoich myśli rozkoszach. Zdawało się jej, jakoby była na

bliskim zagłady okręcie, którego oficerowie, zamiast pełnić obowiązki, zabijają się razem ze załogą.

Najgorszym było znakiem, że powoli powstawała w jej duszy pewna niejasność. Płytkie, prózne, wyrafinowane, zmysłowe życie, nawet dla tak czystej, szlachetnej istoty jak Alieta, bywa niezdrowem. Wśród tego towarzystwa, które tak bardzo odróżniało się od niej samej, i tak nieprzystępne było dla szlachetnych uczuć i pojęć, nieraz przychodziła jej do głowy myśl, czy nie było przesady w jej zapatrywaniach, i czy dziwaczne wychowanie nie skrzywiło jej życia. Wiara jej nie była jeszcze wzruszoną, ale i w tym względzie niepoilo ją spostrzeżenie, że znowu wśród tego towarzystwa nie znajduje współwyznawców. Co u niej stanowiło podstawę i główną treść życia, dla przeważnej liczby jej znajomych było tylko kwestyą przyzwoitości, dobrego tonu, zwyczajem, któremu przy wyjściu z kościoła aż do przyszłej niedzieli zadość się stało, a o który w międzyczasie nikt się nie troszczy. W towarzystwie szalonych nawet najjaśniejszy rozum nie czuje się pewnym siebie, i z niepokojem pytała siebie Alieta, czy niedowiarstwo i indyferentyzm jej kółka i jej samej pewnego dnia się nie udzieli.

Tymczasem rosła córeczka, a pani de Vandri-court troszczyła się o małą Joasię nie mniej niż o siebie. Co miała począć, aby ją wychować podług swojej woli, w atmosferze, z którą wdycha się nie tylko niewiarę, ale i zepsucie, w mieście gdzie aż

do drzwi gimnazyów, a nawet liceów dla dziewcząt widzieć można na wystawach ilustrowane pisma, które niegdyś w osławionych brukselskich i genewskich księgarniach były w ukryciu. Jakże miała ukochane dziecię ochronić od niebezpiecznych rozmów, od zgubnych nauk, od dwuznacznych słów w salonie i w izbie służebnych — jak ochronić od zepsucia niektórych, a od moralnej obojętności wszystkich? Aby przynajmniej jednego z tych niebezpieczeństw uniknąć, Alieta staranie o córeczkę powierzyła wyłącznie swojej niegdyś piastunce Wiktoryi Genest, która za nią poszła z Varaville do Paryża. Stara Wiktorya, która należała do wymarłej już prawie rasy uczciwych, przywiązanych a zawsze zgryźliwych sług, miała obowiązek małą Joasię, jeżeli pogoda pozwalała, po południu prowadzić na przechadzkę do parku Monceau albo na Elizejskie pola. Pewnego dnia jeszcze więcej niż zwykle oburzona biegiem rzeczy na świecie, wróciła z przechadzki, i to nie bez racji. Jedna z dziewcząt, które bawiły się z Joasią, wobec tejże zwróciła uwagę starszej koleżanki na przejeżdżającą damę i powiedziała:

— Patrz! to kokotka!

— Jak wiesz o tem? — zapytała przyjaciółka, poczem tamta odrzekła:

— Jak nie mam wiedzieć? wszak to kochanka papy!

Takie wypadki, które jak powszechnie wiadomo, w Paryżu aż nadto często powtarzają się

w rozmaitych formach, oczywiście nie umniejszyły trosk macierzyńskich Aliety. Gdyby przynajmniej pośród tych przykrości miała pociechę, iż wpłynęła na moralną stronę męża, gdyby mogła spostrzedz w nim choć trochę wahania się, albo skłaniania się ku jej stronie! Ale o tem nie było i mowy — napróżno poniosła wszystkie ofiary, i czuła, że trwał niewzruszenie w niedowiarstwie i skeptycznej swej filozofii, nie dlatego, iżby był ślepy na rozprzężenie społeczeństwa, albo iżby pochwalał jego zboczenia, lub nie widział niebezpieczeństw, ale że chociaż poznawał złe, nie mógł znaleźć na nie środka. Jesteśmy w dobie upadku lub przekształcenia — mawiał — a w jednym i drugim razie niepodobna walczyć przeciw sile wypadków. Alieta oczywiście nie godziła się na to zdanie, i korzystała z większej poufałości, jaka teraz zapanowała między nią a mężem, wdając się w dysertacyą o tym drażliwym przedmiocie. On jednak tylko niechętnie o tem dysputował, przy takich sposobnościach okazywał niekiedy nawet niezadowolenie i irytacyą, jakby chciał usiłowanie nawrócenia odeprzeć i usunąć mu wszelkie w domu podstawy.

Gdy pewnego razu zeszła rozmowa na stan obyczajów w niższych warstwach społecznych, z któremi często stykała się Alieta podczas wędrówek między biedakami, pozwoliła sobie uczynić uwagę, że naukę materializmu między ubogich na nie-szczęście sięją wyższe klasy.

— Zupelną masz racyą — odrzekł Bernard. —

Kto przewidzi, dokąd to może nas zaprowadzić i jakie ztąd powstaną niebezpieczeństwa? Gdy jednak na to nie ma środka, najlepiej o tem wcale nie myśleć.

— Mówisz jak Ludwik XV — zawołała Alieta. — Ależ kochany Bernardzie, czy rzeczywiście sądzisz, że na to nie ma środka? A czy brak religii, brak nadziei przyszłego życia, brak wiary w boską opatrność nie są najgłówniejszą przyczyną tej szalonej żądyż używania, która i ciebie przeraża?

— Tak, o tem mocno jestem przekonany — odparł Bernard — ale do czego zmierzasz? Czy moja to wina, że ziemia się obraca, albo czym ja winien, że niedowiarstwo całą społeczność od góry do dołu zalewa? Czy chcesz może powiedzieć, że mam obowiązek dać ludowi przykład ze siebie? Ale cóżby to był za przykład, kiedy ja sam wiary nie mam, chyba przykład obłudy i kłamstwa.

Alieta pobladła i zamilkła.

— Moja droga — mówił dalej surowym głosem — walczysz na niewłaściwym gruncie. W społeczeństwie, tylko z imienia chrześcijańskim, pozostałaś prawdziwą chrześcianką, ale czy zdołasz je zreformować? Czy sądzisz, że Paryż XIX stulecia możesz zmienić w opactwo jak Port-Royal des Champs i zostać w niem matką Angeliką?... Proszę cię: porzuć to marzenie! — Przedewszystkiem zaś błagam cię: nie sil się nawrócić mnie na swoją wiarę. W tym względzie poprostu masz manię i nie przeczę, że mnie to drażni i gniewa, bo słyszę

ją w każdym twojem słowie, widzę w każdym postępku. Mniemałem, że w tej mierze bardzo stanowczo objawiłem swoje zapatrywanie... stryj twój może to poświadczyć. Z całą sumiennością postępowalem sobie, bom nie chciałem ludzi się płoną nadzieją, a chciałem ci oszczędzić zawodu... zawodu, który odzywa się w całym twym cierpieniu, albo raczej jest całym twym cierpieniem, które znosisz obecnie. Porzuć na zawsze to marzenie, nie myśl o niem... a obaczysz, o ile znośniejszym stanie się nasze nieszczęśliwe życie.

Oniemiała, wilgotnemi, przerażonemi oczyma ginącej sarny spojrziała nań Alieta; wrodzona dobroć odezwała się w nim, przysiadł się do niej i rzekł łagodnym głosem:

— Uspokój się, droga Alieto... mylę się, bo pod względem nawrócenia nie można wątpić o nikim... pomnij tylko na pana de Ranée! Wszakże i on należał do twojego czasu, i nim został reformatorem trapistów, był światowcem i skeptykiem jak ja, a nadto, jak wówczas mówiono, libertynem... a mimo to jest świętym. Co prawda, powodem tego było okropne zdarzenie... Zapewne wiesz, jak przyszło nań nawrócenie?...

Alieta przecząco poruszyła głową.

— Przez kilka dni nie było go w Paryżu — ciągnął Bernard — wróciwszy pogonił zaraz do pani swego serca — zdaje mi się, że była to pani de Montbazon — przebiegł schody tajemne, do których miał klucz, a pierwszym, co przy wejściu ude-

rzyło jego oczy, była głowa kochanki na stole, którą właśnie lekarze krajali.

— Gdybym wiedziała — odrzekła Alieta — iż moja głowa takie same na tobie sprawi wrażenie, śmierć byłaby mi pożądaną.

Powiedziała to głosem cichym, ale z tak głębokim przekonaniem, że boleśnie dotknęło to Bernarda. Mimo to uśmiechnął się z przymusem i lekko gładząc twarz Aliety rzekł:

— Co za dziecinna myśl? Tak śliczna główka jak twoja, nie potrzebuje być martwą, aby działać cuda.

III.

Takiem to było pożycie obojga po sześciu latach małżeństwa. Alieta z chłodną dumą i nadwężonem zdrowiem wlokła się w towarzystwo, którym się brzydziła, a które jej nie lubiło, podczas gdy Bernarda usposobienie wahało się między tajonym gniewem, a cichem współczuciem. Oboje prawie w równej mierze czuli się nieszczęśliwymi.

Co roku na wiosnę paryski świat, niecierpliwie oczekuje dnia wyścigu o wielką nagrodę, przygotowuje się do uroczego życia wiejskiego; t. j. urządza wycieczki po za granice fortów. Tak też i w maju 1880 r. dobrane kółko, do którego należeli państwo de Vandricourt, pewnego dnia wpadło na pomysł urządzenia pikniku w Saint-

Germain en Laye. Około godziny szóstej wieczór zajechały przed pawilon Henryka IV dwie lub trzy pocztowemi końmi zaprzężone kolasy, z których wysiadło świetne towarzystwo z 30—35 osób złożone. Najprzód wesoło obiadowano, potem udano się do lasu, podczas kiedy ze salonu jadalnego wszystko uprzątało, a gdy goście wrócili do hotelu, zaczęli przy fortepianie tańczyć ze swobodą, na jaką tylko życie wiejskie pozwala. Tymczasem grono doświadczonych panów odkryło w hotelu kilka znanych sobie aktorek, znakomitości bulwarowych teatryków operetkowych; jedna z nich była nawet tylko śpiewaczką kawiarnianą, ale także miała sławę. Na relacyą szpiegów towarzystwo częścią pod wpływem wesołego usposobienia, częścią zaś z ciekowości, którą panie wielkiego świata miewają dla słynnych aktorek, postanowiło zaprosić je do uświetnienia zabawy. Wysłani dwaj pełnomocnicy wrócili wkrótce z tryumfem w towarzystwie trzech aktorek, które oklaskami powitano. Dowiedziano się, że nie chciały przyjąć zapłaty, a chociaż zrazu wiadomość ta wywołała pewne nieukontentowanie, wkrótce pogodzono się z tem. Otoczono te damy, witano, obsypywano pochlebstwami. Oczarowane wytwornością i uprzejmością towarzystwa, przystąpiły bez wahania do fortepianu, aby zaśpiewać kilka ostrożnie wybranych kupletów. Odprawić je zaraz po śpiewie nie uchodziło; zresztą mężczyźni, a nawet większość kobiet miała ochotę zabrać z nimi znajomość—jednem słowem zaproszono je do udziału

w kotylionie, który ich nadejście przerwało, a który na ich cześć miał być teraz zakończony. Dość hazardowemi, śpiewem przeplatanemi figurami przyczyniły się te panie do ożywienia tańca, i oczywiście na wieczerzę zostały zaproszone. Podniecone szampanem a nadto przez niektórych gości ośmielone, zaczęły się niebawem bez żenady popisywać najlepszemi kawałkami swego oficjalnego i tajnego repertuaru. Wieczerza przeciągała się, coraz nowe, dwuznaczne powtarzały się zwrotki, mężczyźni śmiali się coraz głośniej, kobiety wydawały niekiedy ciche wykrzyki przest్రachu, rozmowa między sąsiadami u stołu stawała się coraz poufalszą.

Pani de Vandricourt korzystając ze zgiełku i hałasu, wstała od stołu i skarżąc się na nieznośne gorąco przystąpiła do otwartego okna. Zaczęło świtać. Szeroka dolina Sekwany, mgłą białą pokryta, leżała przed oczyma Aliety, nagle zdało się jej, że ziemia usuwa jej się z pod nóg, a ona sama leci w przepaść bez końca. Z lekkim okrzykiem rozpostarła ramiona, jakby miała wzlecieć, i bez życia padła na podłogę.

Zamilkły śpiewy i śmiechy; pan de Vandricourt nadbiegł z drugimi i omdlałą żonę przeniósł do innego pokoju. Posłano spieszenie po lekarza, tymczasem zaś użyto trzeźwiących eterów i innych domowych środków, aby Alietę przywrócić do życia, ale napróżno. Gdy doktor przyszedł, leżała jeszcze bezwładna i bez życia; ale kiedy lekarz, którego z mężem zostawiono przy chorej, badał jej

puls i kilka mężowi zadał pytań, z wysileniem otwarła oczy Alieta i zdawała się odzyskiwać przytomność. Oczywiście tylko na chwilę; zaraz potem pojawił się w jej oczach wyraz pomieszania, blada twarz poczerwieniała, a czoło gorzało.

— Nowy zwrot! — rzekł lekarz poważnym głosem.

Następnie kazał na głowę położyć lodu, do nóg użyć silnych środków gorączkę ściągających i kilka godzin spędził przy łożu chorej, aby badać skutek swej ordynacyi. Chociaż Alieta wyszła już z omdlenia, utraciła na nowo przytomność. Rzuciła się w gorączce, bredziła i z gestem niepokój wyrażającym chwytła się za skronie. Dopiero około południa, gdy się cokolwiek uspokoiła, odszedł i przyrzekł przyjść wieczór.

— Panie hrabio! — rzekł przy pożegnaniu do Bernarda — jeżeli ten wypadek (czego naturalnie na pewne powiedzieć nie mogę) spowodowany został przez silne wzruszenie, to bym prosił wszystkich użyć środków, aby chora rozplakała się.

Cały dzień przepędził Bernard przy chorej, sam zmieniał okłady z lodu i przemawiał do Aliety najczulszemi słowy — ale go nie rozumiała. Dopiero nad wieczorem wróciła jej przytomność, zdawało się jej, jakby pękło coś w jej piersi i wtedy wybuchła spazmatycznym płaczem.

Zaraz potem zjawił się lekarz; znalazł ją w tem stadyum przesilenia i odszedł szepnąwszy parę słów do Bernarda. Jak przepowiedział, chora powoli się

uspokajała i nareszcie usnęła; także Bernard, wolny już od trwogi, poczuł nagle znużenie i zdrzemnął się u nóg łóżka, póki nie zbudził go głos Aliety.

— Bernardzie! — zawołała słabym głosem.

— Mój aniele! — odrzekł, porywając się i nad nią nachylając.

Objęła go rękami i przycisnęła do piersi, łkając kurczowo.

— Bernardzie! — rzekła — zlituj się nademną... błagam cię.

— Zlitować się, moje dziecię?... cóż mam uczynić?

— Nie mogę już... nie mogę! Wierzaj mi. Ciebie nie uratuję, a sama zginę!... A moje dziecię!... moje biedactwo!

Gwałtowne łkanie na kilka minut odjęło jej mowę; potem zawołała z obłąkaniem w oczach.

— Ucieknę i zabiorę ją ze sobą.

— Chcesz mię porzucić, Alieto? — przemówił Bernard.

Objęła znowu ramieniem jego szyję.

— Nie! nigdy! nie mogę tego uczynić, ale pozwól mi odwieźć małą do babki. Ona ją otoczy opieką... a tak przynajmniej dziecię uniknie zguby.

— Droga Alieto! żadną miarą nie dopuszczę, abys się z dzieckiem rozłączała, a chociaż, mojem zdaniem, przeceniasz niebezpieczeństwa paryskiego życia, żgodzę się ze względu na ciebie i na dziecię, abyście Paryż opuściły.

Smutnie kiwając głową, szepnęła parę słów, które płacz przytłumił.

— I ja z wami jadę! dodał z głębokim wzruszeniem.

— Ty? — zawołała i popatrzyła nań badawczo — ach! czyż mogłabym żądać po tobie takiej ofiary?

— Jestem na to zdecydowany, a nawet to mój obowiązek — odparł Bernard. — Wczoraj w twojej obecności odbyły się sceny, które słusznie wzbudziły w tobie odrazę, sceny, na które nie powinienem być cię narażać. Iżby przyszło do takich wybryków, nie przypuszczałem wcale; mimo to proszę cię z pokorą o przebaczenie. Powiniennem być odprowadzić cię ze sali... ale to byłoby potępieniem reszty biesiadników, byłoby niedelikatnością. W każdym razie zgrzeszyłem przeciw tobie, i dam ci zadość uczynienie. Kiedym cię brał za żonę, przyrzekłem sobie, twoim krewnym i tobie dołożyć wszelkiego starania, aby cię szczęśliwą uczynić i tego przyrzeczenia dotrzymam. Możebyś potrafiła była żyć się nawet z Paryżem, gdybym przy wyborze towarzystwa ostrożniej był postępował. Ale mniejsza z tem — na to już zapóźno — Paryż słusznie czy niesłusznie, stał ci się nieznośnym, a zatem go opuścimy. W ciągu tego smutnego dnia głęboko to wszystko rozważałem i postanowiłem. Obawiam się wprawdzie, biedne moje dziecię, że niedogodności, które pochodzą z naszej niezgody w rzeczach wiary, wszędzie nam towarzyszyć będą,

nie śmiem jednak zaprzeczyć, że pobyt w Paryżu tę sprzeczność w naszych pojęciach jeszcze zaostrza. Ale proszę cię usilnie, nie nalegaj na pobyt we Varaville. Pomijając bowiem już wszystko inne, nadto tam daleko... nawet dla ciebie; bo skoro nie będziesz skazana na mieszkanie w tym nie-szczęsnym Paryżu, może kiedy nabierzesz ochoty odwiedzić go. O tem wszystkim pomówimy obszerniej jutro; teraz zaś uspokój się... masz moje przyrzeczenie i możesz usnąć spokojnie.

Spojrzała mu głęboko w oczy, na poły zdziwiona, a na pół oczarowana; potem ujęła jego rękę i przycisnęła do ust.

— Kocham cię bardzo! szepnęła.

— Śpij! — powtórzył Bernard czule i ucałował ją.

Usnęła też błogo i spokojnie jak dziecko.

IV.

Ofiara, którą czynił Bernard, zgadzając się na pobyt po za Paryżem, była zarówno wielka jak godna uznania, ale postanowienia w tej mierze nie można było nazwać skutkiem świadomej siebie woli. Owszem powstało ono nagle i niejako wymógł on je na sobie samym, nietylko dlatego, iż widział ciężkie cierpienie Aliety, ale głównie dlatego, bo uznawał się winnym, a do tego uczucia winy przyłączyło się uczucie wstydu, które obudziło całą jego

delikatność i wspaniałomyślność. Kiedy Alieta w gorączkowym rozdrażnieniu wybuchła słowami rozpaczki: »Ciebie nie uratuję a sama zginę« — zrozumiał, że wyraziła się tylko ogłędnie, a w gruncie rzeczy myślała: »Ty mię zabijasz!«

Głęboko zawstydzony rozmyślał o swym balu w pawilonie Henryka IV i o wieczerzy, która przeszła w orgią, i że do udziału w tejże niejako zmusił żonę. Bernard de Vandricourt, który mimo żywości usposobienia, pod względem uczciwości skrupulatnie trzymał się swych zasad, niczem w świecie nie gardził więcej, niż mężczyzną, który zachęca żonę do rozpusty, a duma jego oburzała się na samą myśl, iż czysta dusza Aliety mogłaby go uważać zdolnym do takiej nikczemności. Tak tedy nietylko litość, ale i zraniona duma nie pozwoliła mu długo się namyślać, zniewoliła go do otarcia łez młodej żony przez poświęcenie swoich skłonności i nawyczek i do odzyskania jej szacunku.

Chociażby Bernard miał kiedyś później żałować postanowienia prędko powziętego, które z gruntu zmieniało tryb jego życia — toż w każdym razie chlubnem dlań było, że powziął je pod wpływem szlachetnych uczuć, i że w niem wytrwał. Nadto zaś dowiódł ponownie, że Alieta i on choć nie byli szczęśliwi ze sobą, pod niejednym względem stali ze sobą na równi. Przy tej sposobności musimy nadmienić, że codzienne dzieje nieszczęśliwego pożycia zacnej i pobożnej żony z pospolitym nikczemnym mężem, nie mogłyby nas wcale zająć, ani też

nie zdawałyby się nam zdolnemi do zainteresowania czytelnika. Przeciwnie uważamy rzecz nietylko ciekawą, ale chwalebłą i pożyteczną, badać i przedstawić czytelnikowi konieczne następstwo związku między dwiema niepospolitemi, w każdym względzie godzącemi się ze sobą i tylko w rzeczach wiary poróżnionemi osobami.

Jakoś we dwa lata po ślubie został Bernard wskutek śmierci stryja hrabią de Vandricourt i odziedziczył po nim znaczne dobra. W tym czasie więc, o którym mowa, dość był bogatym, aby zatrzymać willę w parku Moncedu, chociażby stale miał żyć po za Paryżem. Taki środek połowiczny jednak — chociaż może przedstawiał pewne korzyści — mógłby niepokoić Alietę, wolał przeto zupełną ponieść ofiarę z ujmą dla siebie. Dom tedy wystawiono na sprzedaż, a wobec korzystnego położenia można się było spodziewać jego rychłego pozbycia. Bernard zupełnie podzielał zdanie Aliety, że obrać należy mieszkanie na wsi, a nie w miasteczku małym. Alieta, która w ogóle godziła się bezwarunkowo z jego projektami, przystała także na to, iżby Bernard, jeżeliby miał na parę dni pojechać do Paryża, w klubie mieszkał, z Alietą zaś zajeżdżał do jakiego hotelu. Tak więc mogli użyć wszystkich przyjemności stolicy, bez zobowiązań, jakie za sobą pociąga stały pobyt.

O zamieszkaniu w La Savinière nie było mowy. Po śmierci stryja Bernard wynajął zamek cudzoziemcom, a zresztą dobra te pod względem odle-

głości od Paryża nie były lepsze niż Varaville. Po dłuższem szukaniu w okręgu dwudziesto- lub trzydziesto-milowym stolicy, pełnomocnik hrabiego de Vandricourt znalazł za Fontainebleau, w pobliżu miast Nemours i Gien, piękny majątek, który nosił nazwę sąsiedniej wsi Valmontiers i tyle przedstawiał dogodności, że Bernard i Alieta zaraz zgodzili się na kupno. Odległość od Paryża dość była znaczna, aby odstręczyć od częstych odwiedzin, ale nie tak bardzo znaczna, aby spowodować zupełne zaniedbanie stolicy. Były tam w około pyszne obszary do polowania; duże lasy należały do majątności i ciągnęły się tuż pod sam zamek, który był wspaniałą budową w stylu Ludwika XIII z pysznym wjazdem i pięknymi budynkami gospodarczemi. Poprzedni właściciel, podobnie jak hrabia de Vandricourt lubownik koni, urządził był stajnie z nadzwyczajnym przepychem i przeznaczył ogromne łąki do hodowli stada. Bernard był uradowany temi urządzeniami, które obiecywały mu na wygnaniu przyjemną rozrywkę.

Podczas restauracyi zamku Valmontiers dla nowych właścicieli, Alieta jak każdego lata, pojechała na parę tygodni do Varaville, gdzie także jej mąż, swoim zwyczajem na parę dni przybył. Tam witano go zawsze serdecznie, bo mimo niedowiarstwa uprzejmość jego pokonała uprzedzenia, i zyskała serca wszystkim, nawet panny de Varaville, owej starej ciotki, z której Bernard niegdyś w swoim dzienniku tak bezlitośnie szydził. Że szła-

chetny charakter Aliety troskliwie ukrywał przed krewnymi cierpienia i walkę w małżeńskim pożyciu, nie zdziwi to naszych czytelników. Zresztą było to prawdą, o czem ich zwykle zapewniała, że mąż zawsze jest dla niej dobry, delikatny, pełen szacunku i hojny. Może tam nie zawsze był jej wiernym — ale o tem nie wiedziała wcale, a rozum i duma nie pozwalały jej żalić się na różnicę w kwestyach religijnych, bo niejako wbrew woli rodziny poślubiła Bernarda. Jedynie biskupowi de Courtcheuse zwierzała się w tym względzie. Przed nim tylko wyjawiała głęboką odrazę do towarzystwa w Paryżu, które tak nisko stało pod poziomem, na którym wyrosła. Także zawody, zwątpienie o nawróceniu Bernarda, objawiła mu; ale zacny kapłan, który co roku stykał się we Varaville z młodym hrabią, mimo to wszystko miał sympatyą dla tego marnotrawnego syna, którego zwykle zwał Parpaillotem¹⁾. Nie tracił nadziei w przyszłość i otucha jego wzmogła się, gdy się dowiedział, że Bernard poświęca się dla żony, wyrzekając się Paryża. Jak cała rodzina i on widział w tem nietylko dowód tkliwej miłości, ale też ważny symptom dla zbawienia duszy zbłąkanej. Czyż nie należało się spodziewać wszystkiego po wpływie Aliety, kiedy już teraz ośwładnęła myśl męża?

Przy końcu września tegoż roku przenieśli się oboje do zamku Valmontiers. Rozpoczęła się na

¹⁾ Parpaillot, przezwisko na Hugonotów.

szczęście pora polowania, co hrabiemu ułatwiło trudne przejście z dotychczasowego trybu życia do nowych stosunków. Dla Aliety oczywiście były pierwsze dni dobą czystego szczęścia. Odetchnęła lżej i była pod wrażeniem, jakby po długiej podróży pełnej niebezpieczeństw, przeciwności i zwątpienia zawinęła do portu. Z uczuciem rozkoszy wróciła do siebie, do dziecięcia, do męża. Nigdy nie kochała go tak tkliwie jak teraz, nigdy nie zadawała sobie tyle pracy, aby mu się podobać. Prawie codziennie wyjeżdżali konno i cieszyli się, że razem przebiegali i poznawali wspólnie nową okolicę. Alieta nawet poczęła się uczyć strzelać, aby Bernardowi towarzyszyć na polowania; ale jakoś nie szła jej nauka, gdyż zanadto była nerwową, a względem zwierzyny miała za wiele litości. Za to zapraszała do męża małe kółka myśliwych, które składały się częścią z jego przyjaciół paryskich, a częścią ze sąsiadów wiejskich. Wszystkich dokładała starań, aby go nieznacznie przyzwycząić do życia wiejskiego i ulżyć mu ciężaru samotności; sama zaś z tajoną rozkoszą myślała już o długich wieczorach zimowych we dwójkę, kiedy śnieg z wichrem szaleje na dworze.

Bernard, dla którego owe wieczory zimowe może nie były tak ponętne, używał czem go obecność darzyła. W gruncie rzeczy spędzał czas nie o wiele inaczej, niż zawsze o tej porze; różnicę stanowiło to jedynie, że dawniej polował u drugich, a teraz to czynił na własnym gruncie, tak iż

po raz pierwszy rozkosze myśliwego truły mu zachody i troski gospodarza. Był w ciągłej obawie o zwierzynę, którą mu kłusownicy wybijali, od świtu do nocy pobudzał czujność obu swoich gajowych, a w ściganiu tych złoczyńców postępował ze surowością i zapałem, które z właściwą mu drwiąco — obojętną miną — stały w rażącej sprzeczności i Alietę niezmiernie bawiły.

Pewnego poranka, kiedy z psem u boku i strzelbą na ramieniu szedł krajem lasu, padł w polu strzał tuż przy nim; zając wybiegł ze suchych liści i padł u nóg jego, jednocześnie zaś dziwna osoba przeskoczyła rów dzielący pole od lasu, tak iż nagle znalazła się ledwie na dwa kroki od zająca i hrabiego Vandricourta.

— Pozwól pan — rzekła z wielkim spokojem — zając zginął wprawdzie w pańskim lesie, ale ubiłam go w polu, zaczem, jak sądzę, do mnie należy.

Na pół gniewny, a na pół zdziwiony hrabia de Vandricourt, nie mógł na razie odpowiedzieć, bo zjawisko przed nim stojące była to dwudziestoletnia kobieta niezwyklej piękności w prostym ubiorze myśliwskim, w krótkiej bluzie z brunatnej wełny, w szerokich spodniach z tej samej materyi, w kamaszach z naturalnej skóry i w lekkim kapeluszu tyrolskim.

— Pani! — odrzekł wreszcie Bernard — w zasadzie pytanie to mogłoby być wątpliwem; ale

przez panią zadane, jest zarazem już rozstrzygnięte... Oto zając pani.

Wzięła go z rąk hrabiego, podziękowała lekkiem skinieniem głowy i zabierała się z lasu, gdy wtem Bernarda pies, którego może wypadek ze zającem podrażnił, niezręcznie spłoszył stado ze dwudziestu kuropatw. Bernard złożył się i strzelił dwa razy; ale będąc roztargnionym nie ubił żadnej, choć kuropatwy wleciały w niewielkiem oddaleniu.

Młoda kobieta, który aby się przypatrzeć, zatrzymała się nad rowem, powiedziała dzwięcznym głosem: — Pudło! poczem lekko rów przesadziwszy oddaliła się.

Hrabia Vandricourt ścigał ją gniewnem okiem póki nie znikła, i mruknął pod nosem; »Ktoby to mógł być?« potem zarzucił strzelbę na ramię i z niezadowoloną miną poszedł dalej. Po kilku minutach spotkał się z gajowym i między nimi wszczęła się następująca rozmowa:

— Nakryj głowę, Lebuteaux!... Powiedz mi, mój kochany, kto jest ta dama, która w męskim stroju poluje tu w okolicy. Właśnie teraz, tuż pod mojami nogami ubiła zająca, i jeszcze śmiała upomnieć się o niego.

— Panie hrabio — odrzekł Lebuteux ze smutnym uśmiechem, który właściwy jest starym żołnierzom była to zapewne panna de La Saulaye... panna Sabina, jeżeli się nie mylę.

— Tak?... panna? — zawołał hrabia — i z La

Saulaye, więc domowniczka starego uczonego i lekarza?

— Tak bardzo starym nie jest, panie hrabio — odparł gajowy — ale siedząc ciągle nad książkami, nie ma ochoty do polowania. Panna Sabina zaś jak zacznie polować, nic nie chce wiedzieć o mojem... zresztą u kobiet w ogóle nie wiele znaleźć rozumu. Zawsze ugania się po polach blisko granicy lasu, a znalazłszy zwierzynę, sierść czy pierze, żywą czy nie żywą, bez skrupułu ściga i na gruncie pana hrabiego.

— I mówisz to wszystko tak spokojnie, Lebuteux? Ależ to nie do zniesienia! Skoro ją znowu spotkasz, zaraz mi o tem doniesiesz!

— Jak pan hrabia każe, nie zaniedbam uczynić... Ale, panie hrabio, mieszkańcom La Saulaye nikt nie waży się sprzeciwiać...

— Dlaczego?... Czyż to czarowniki?

— Nie, panie hrabio! Ale mimo pasyi do kłusownictwa, która opętała pannę Sabinę, najlepsi to ludzie w świecie, dobroczyńcy całej okolicy.

— Bądź-co-bądź... mimo to niech panna Sabina nie pokazuje się tutaj. Bywaj zdrów, Lebuteux... a żadnych względów! ja tak chcę!

Po tych słowach z głową groźnie podniesioną, hrabia Vandricourt poszedł dalej; ale już po kilku krokach gniew jego ustąpił przed miłszą myślą, gdyż w duchu powtarzał sobie:

— Śliczna kobieta! nadzwyczaj śmiała, ale co za pyszna budowa!

Podczas śniadania przed żoną i gośćmi zdał sprawę z niebardzo zaszczytnej przygody z panną z La Saulaye.

— La Saulaye — powtórzyła Alieta — czy to nie ten ponury dom na lewo od drogi do Cormières, z wielkimi brzoźami płaczącymi, pochyłonymi nad czarnym stawem?

— Tak jest — odrzekł Bernard — niedawnośmy ten dom widzieli... coś w rodzaju angielskiego domu wieśniaczego, niemile wygląda. Ale kto są ci ludzie, co tam mieszkają?

Między gośćmi było kilku sąsiadów, którzy na pytanie Bernarda dali odpowiedź cokolwiek tajemniczo brzmiącą. W każdym razie mieszkańcy La Saulaye, jak się zdawało, nie wiele mieli sympatyj u arystokracji okolicznej. Właściciel majątku lekarz, imieniem Tallevant, przyjął był w dom starą chorowitą ciotkę z córką, której był opiekunem. Niegdyś w Paryżu praktykował, ale odziedziczywszy bardzo znaczną majątność porzucił intratną praktykę i zamieszkał na wsi, aby się poświęcić nauce. Zatopiony w studyach skąpił czasu, ubogim wprawdzie nie odmawiał swej pomocy, ale nie udzielał jej tym, którzy mogli opłacić lekarza. Tem zraził sobie wielu ludzi, których nieraz zdaleka przywiodła sława jego nauki i zręczności — i ci rozmaitemi plotkami rzucili się na nielitościwą odmowę. Zasługi jego jako uczonego były niewątpliwe; akademia umiejętności uznając jego działanie, właśnie niedawno zamianowała go swym człon-

kiem-korespondentem. Ale jego otwarcie wyznawana wolnomyślność, tajemniczy trochę tryb życia, piękność pupilki, niezwykajny sposób, w jaki ją wychował, to wszystko — zwłaszcza w dworach okolicznych — dawało powód do niebardzo przychylnych komentarzy.

Jakkolwiek hrabia Vandricourt następných dni pilnie ponawiał przechadzkę wzdłuż granic swej posiadłości, nie powiodło mu się ujrzeć między gęstwiną błysku czarných, zimnych oczu panny Tallevant. Może Lebuteux ostrzegł już śmiałą Dyane przed surowością swego pana, a ona obawiała się prozaicznego niebezpieczeństwa sądowego doniesienia. Może też, co często się zdarzało, zajęta była przez uczonego opiekuna, który zwykł był używać jej pomocy przy biórku lub w laboratorium — bo chemiczne i fizykalne doświadczenia najwięcej zabierały mu czasu i zadawały pracy. Jakkolwiek rzecz się miała, panna Tallevant aż do końca jesieni nie pokazała się. Raz tylko, kiedy Bernard ze żoną pod wieczór przejeżdżał pod dwór La Saulaye, zdawało mu się, że widział swą piękną przeciwniczkę przesuwającą się jak cień przez ogród.

Zresztą Alieta niemniej była ciekawą mieszkańców wiejskiego dworu, jak jej mąż. Tajemnica, która osłaniała cichy samotny dworek, podniecała jej zmysł romantyczny, i nazywała La Saulaye »domem alchimisty«. Był to duży pawilon z cegły, otoczony dokoła grupami drzew, dużemi kawałami murawy i źle utrzymywanemi grzędami kwiatów.

wemi, które najprawdopodobniej oddano opiece wiejskiego ogrodnika. Gdy brzozy płaczące nad stawem utraciły liście, dom nie wydawał się tak ponurym, jak przedtem, ale zawsze przedstawiał się jakoś smętnie, a woda pokryta zwiędłym liściem i teraz wyglądała bardzo melancholijnie.

Zima trochę zwlekała, ale wreszcie przybyła niezwykle sroga i dokuczliwa. Także ostatni goście powrócili do Paryża, a Bernarda i Alietę zostawili przy samotnym kominku. Pokryte śniegiem a od poprzedniej słoty rozmokłe drogi utrudniały komunikacją ze sąsiedztwem, nawet polowaniu niepogoda przeszkadzała, a czasem je czyniła niepodobnem. Rozrywki zatem były w skąpej mierze, a małżonkowie skazani na siebie. Bernard już naprzód uzbroiwszy się na ten czas próby, wedle sił znosił go z heroizmem. Rano szedł wzdłuż alei naprzeciw listowego — co zawsze małą było rozrywką. Potem bardzo uważnie odczytywał dzienniki, odwiedzał konie i stajnię, tudzież wspaniałą wozownię; grał z Alietą na cztery ręce, powrócił do dawnych studyów w akwareli i począł Aliecie dawać w niej lekcyę. Wieczorem czytawali razem ulubionych pisarzy i pamiętniki, czasem nowego jakiego poetę lub którego ze znakomitych krytyków współczesnych, albo też jaki angielski romans. Aliecie sprawiało przyjemność takie życie, bo korespondencya, prowadzenie domu, wychowanie małej Joasi i obowiązki religijne nie zostawiały czasu na nudy. Zresztą lubiła życie na wsi, a przyroda nawet w zimie

miała dla niej urok poezji. Mimo tego zadowolenia jednak narzucało się nieustannie pytanie, czy i mąż równie czuje się szczęśliwym jak ona. Mimo usilnych jego starań, aby nic nie dać po sobie poznać, dostrzegła w jego minie lub w mowie oznaki przygnębienia, zniecierpliwienia i złego humoru.

Nudził się nad pojęcie. W obecności żony trzymał się jakoś, ale wieczorem w swoim pokoju napróżno palił cygaro po cygarze, aby pokonać głęboką melancholią; niekiedy przystępował do okna, patrzył w ciemną noc, pola i lasy pokrywającą, i przysłuchiwał się wichrowi północnemu, który odgłosem fali morskiej obijał się o uszy. W duchu chronił się przed gwałtownością wiatru na ulubiony bulwar, który o tej porze świecił jak mleczna droga gwiazdami usiana. Widział oświetlone wspaniałe przedsionki teatrów, tłum wesoły cisnący się do wystaw sklepowych, wszędzie rojno i strojno. Specyficzna atmosfera bulwaru — składająca się z gazu, dymu tytoniowego, smrodów kuchennych, dobywających się ze suterren, i z woni płynącej ze sklepów z kwiatami — zdawała się go owiewać. Albo zdawał się być przeniesionym w atmosferę salonów klubowych, kulis, garderoby artystek i mieszaniny zapachów z kosztownych futer, tkanych złotem narzutek i obnażonych pleców, które po końcu sztuki łączyły się na korytarzach i schodach, drażniła jego zmysły i wszystkie te mniej lub więcej nieczyste, zmysłowe wrażenia, które dla Paryżanina tyle mają powabu, we fantazyi Bernarda

wśród ciszy i samotności życia wiejskiego, odzykiwały siłę uroku, i budziły w nim gorącą tęsknotę.

Przytem popadał w dziwne, ale dość powszechne złudzenie: wmawiał w siebie, że bez życia paryskiego dusza jego obyć się nie może, w rzeczywistości jednak tylko zmysły jego pożądały tego życia. Był to rozumny człowiek, a nawet z wielkim zapałem pracował nad swoim ukształceniem, zanim skeptycyzm nie ogołocił go ze wszystkiego, zostawiając mu tylko pragnienie rozrywek. Mylił się tedy, mniemając (jak wszyscy prawie Paryżanie, na pobyt na prowincyi skazani), że braknie mu duchowego życia stolicy. Brakło mu tylko jej rozrywek, odurzenia zmysłów, szалу towarzystwa, a przede wszystkim obfitości żywiołu kobiecego.

Alieta, która dość dokładne miała wyobrażenie o tem, co się działo w duszy męża, pewnego wieczora zdobyła się na odwagę.

— Kochany Bernardzie — rzekła kładąc ręce z wdziękiem na jego ramieniu — mam pewien dla ciebie projekt... Możebyś wyjechał na ośm lub dziesięć dni do Paryża?

— Dlaczego? — odpowiedział trochę pomieszany. — Tu mi bardzo dobrze.

— Właśnie dlatego — ciągnęła dalej żona z wesołym uśmiechem. — Nie chciałabym, aby ci się sprzykrzyło szczęście. Potrzebuję zasłony od komina w czerwonym salonie, lampy wiszącej do pokoju jadalnego i parawanu w stylu Ludwika XIV — Ludwika XIV — nie zapomnij, a więc z wzorzy-

stym starym haftem, do biblioteki i inne drobnostki, których spis jutro ci oddam.

— Czy nie lepiej, abyś to wszystko sama sobie wyszukała? — zapytał Bernard.

— Nie, nie! Ty więcej masz smaku odemnie. Dopiero po Wielkiejnocy pojedę na kilka tygodni do Paryża, do tego czasu zaś musisz w miesiącu raz tam pojechać, aby załatwić moje sprawunki, tak sobie ułożyłam w główce — w tej tu główce! — dodała pukając w czoło drobnymi paluszkami.

Hrabia Vandricourt z miną męża, któremu przerwano odpoczynek, ucałował żonie czoło i rękę, żadnego jednak nie podniósł już zarzutu.

Następującego rana — a był to mroźny dzień styczniowy — z tajonem zadowoleniem puścił się w podróż, a we trzy lub cztery godziny kroczył znów po błogosławionym asfalcie, ciągnącym się od rue Vieuvienne aż do Madeleine.

We dwa dni później siedział w klubie przy śniadaniu pod ulubionem oknem i czytał dzienniki poranne.

— Zaprawdę! — pomyślał sobie z zadowoleniem — tak tedy obecne życie może stać się wcale znośnem. Co miesiąca ośm lub dziesięć dni w Paryżu wystarczą, aby ochronić człowieka od życia roślinnego, albo od noszenia drewnianych sapotów. Cóż tam, Karolu?... depesza?

— Tak, panie hrabio! — odrzekł służący, przystępując z telegramem na tacy.

Bernard otworzył go... zawierał on słowa:

»Joasia zachorowała niebezpiecznie

Alieta«.

— Tak! oczywiście! mruknął gniewnie, a potem dodał: Karol, przynieś mi książkę kursów.

Służący spełnił rozkaz; z gorączkowym pośpiechem wyszukał Bernard pociągi i rzekł:

— Bądź tak dobry, zawiadomić Piotra, że pociągiem o trzeciej godzinie wracamy do domu. Niech się przygotowuje.

— Do usług, panie hrabio!

O godzinie trzeciej Bernard z kamerdynerem zeszli się na dworcu lądudńskim.

— Może pan hrabia otrzymał jaką niemiłą wiadomość? — zapytał Piotr pokornym głosem.

— Dziecię zachorowało — odrzekł Bernard. — I tak będzie zawsze — mówił dalej do siebie, wsiadając do wagonu. — Zaledwie dwa dni nie będę w domu, Joasia zachoruje... albo kto inny. Tak tedy zawsze będę miał ramię owinięte drutem telegraficznym... miłe uczucie!

Przez całą drogę nie ustawał obrabiać tego tematu w temsamem rozdrażnieniu i z równą sprawiedliwością. Dopiero, gdy się zbliżali do Valmontiers, ochłonął z gniewu i począł się niepokoić. Wyznać sobie musiał, że Alieta nie należy do kobiet, które kapryśnie zmieniają dzisiaj, co wczoraj postanowiły, i że nie byłaby zdolną uciec się do kłamstwa lub fałszu. Przyszło mu na myśl, że sam także kocha tkliwie córeczkę.

Na stacyi w Valmontiers, tylko parę kilome-

trów oddalonej o zamku, zastał swój powóz i na pierwszy rzut oka dostrzegł, że twarz starego stan-greta nie wyraża jak zwykle niewzruszonego spokoju.

— Jak tam małej? — zapytał prędko.

— Niedobrze, panie hrabio!

— Pośpieszaj!

V.

Mała Joasia, bardzo ładne i rozumne dziecko, która naówczas siódmy zaczęła roczek, już wieczorem po odjeździe ojca dostała bolu gardła, któremu towarzyszyły osłabienie i dreszcze. Zrazu mniemano, że pochodzi to z lekkiego przeziębienia i jest prostem zapaleniem gruczołków. Ale w nocy pojawiła się silna gorączka, a dziecię, które ani na chwilę usnąć nie mogło, skarżyło się na mocny ból głowy. O świcie Alieta kazała przywołać dra Raymonda, starego lekarza ze wsi Valmontiers. Już od pierwszej chwili zdawał się zaniepokojonym i pozostał przy łożu chorego dziecka, którego stan w ciągu dnia pogorszył się, a następnej nocy stał się bardzo niebezpiecznym. Pojawienie się fałszywej błony w gardle, ciężki, świszczący oddech, powtarzające się co chwila duszenia, silny, podobny do szczekania kaszel nie pozwalały wątpić o istocie choroby: była to błonica, której straszna nazwa sama jest postrachem matek.

Choroba, która — jak zwykle — zrazu nie-

jako wlokła się powoli, postępowała potem olbrzymiemi krokami. Dr Raymond, bardzo dobry i równie ostrożny jak doświadczony lekarz, w pierwszych dwóch dniach użył wszystkich środków, jakie umiejętność przepisuje przeciw dyfteryjnemu zatruciu krwi. — Napróżno — zgubnego przebiegu choroby nic wstrzymać nie mogło i Alieta zatelegrafowała do Bernarda.

Gdy hrabia Vandricourt przystąpił do łoża chorej Joasi, ujrzał ją bladą, z zapuchniętą szyją i sinemi ustami, w konwulsyjnych drganiach, w chwili duszenia się, które bardzo było podobne do agonii, przedstawił mu się widok, na który nie chcemy dłużej patrzeć.

Atak ten przeminął. Mała Joasia poznała ojca, chociaż na pół była odurzona i rzuciła nań błagalne lękliwe spojrzenie, które wbiło mu się aż w serce. Z uśmiechem ucałował dziecię, potem odwiódł lekarza do małego salonu, należącego do pokojów Joasi. Alieta poszła za nimi.

— Panie doktorze — prosił hrabia Vadricourt — zechciej mi otwarcie powiedzieć prawdę.

— To mój obowiązek, panie hrabio! Dziecię we wielkiem jest niebezpieczeństwie; napady duszenia powtarzać się będą coraz częściej, aż śmierć przyjdzie. Wyczerpałem wszystkie środki umiejętności znane; tylko operacya jeszcze może dziecię uratować; do tej jednak (wyznać to muszę), potrzeba młodszych, bieglejszych rąk od moich.

— Czy mamy dość czasu, zatelegrafować do Paryża? zapytał Bernard.

— Niestety! zapóźno.

— Albo może zechcesz mi pan wymienić w bliższym mieście Nemonès lub Gien, jednego ze swych kolegów, któryby się mógł podjąć operacyi?

— Także i tej odpowiedzialności, panie hrabio, nie mógłbym przyjąć na siebie. W całej okolicy znam jednego tylko, który — gdyby chciał, mógłby trudnej a niebezpiecznej operacyi dokonać z niejaką nadzieją powodzenia; jest nim Dr. Tallevant.

— Dr. Tallevant? — zawołał Bernard.

— Dr. Tallevant? — powtórzyła Alieta rozpaczliwym głosem. — Ach? on nie zechce tego uczynić, odmówi nam, jak wszystkim innym.

— Należy się tego obawiać!

— Jadę do niego! — zawołał hrabia — nie trać nadziei, Alieto!

Pogonił do stajni, sam osiodłał konia, i dał woźnicy rozkaz, zaprządz do powozu i przyjechać do La Saulaye. W kilka minut potem pędził hrabia Vandricourt przy świetle gwiazd, po zamarzłej, szronem pokrytej ziemi wzdłuż granicy lasu. Mogło być koło godziny dziesiątej, gdy przybył do La Saulaye; szybko zeskoczył z konia, bramę żelazną znalazł jeszcze nie zamkniętą, wszedł i zadzwonił u drzwi; wyszedł służący, któremu oddał kartę i miotany niepokojem czekał na progu. Służący prawie w oka mgnieniu powrócił.

— Proszę wejść, panie hrabio!

— Bernard poprosił go potrzymać konia, a sam wszedł do środka za pokojówką, którą sprowadziła ciekawość.

Zawiodła go do biblioteki, przytykającej do laboratorium i napełnionej silnym zapachem leków. Pierwsze spojrzenie hrabiego Vandricourta padło na młodą kobietę, która zagłębiała się w czytaniu książki, siedziała przy stole blisko drzwi. Światło lampy padało na piękne jej rysy i mimo spokojnej postawy, zamysłonej miny, prostej czarnej sukni i gładko uczesanych włosów poznał Bernard zuchwałą myśliwą, którą był spotkał w swoim lesie. W niejakiem oddaleniu od niej, przy większym, papierami i książkami pokrytym stole siedział mężczyzna we wieku około czterdziestu lat, który w czarnym surducie, ozdobionym wstążeczką legii honorowej wyglądał jak oficer w cywilnem ubraniu. Miał grube, silnie naznaczone rysy, uderzająco dużą głowę i śliczne oczy pełne siły, rozumu i dobroci. Na wejście Bernarda podniósł się od stołu i powitanie odwzajemnił uprzejmym uśmiechem, tak, że hrabia, przygotowany na szorstkie przyjęcie, odzyskał otuchę.

— Panie doktorze! rzekł, odsuwając podane sobie krzesło — przychodzę z prośbą... córeczka walczy ze śmiercią... chora na błonicę. Dr Raymond, który ją leczy, nie ma już nadziei. Tylko operacja mogłaby ją uratować. Już nie pora telegrafować do Paryża, lub którego innego miasta...

jednem słowem, pan jedynie możesz moją córeczkę utrzymać przy życiu.

Już przy pierwszych słowach Bernarda uśmiechnięta Dra Tallevanta twarz zachmurzyła się.

— Bardzo żałuję, panie hrabio — odrzekł — ale wiesz zapewne, iż postanowiłem sobie nie wykonywać praktyki. Jeżeli raz ustąpię w tej mierze, nie pozostanie mi nic innego do wyboru, jak wynieść się z tej okolicy; nie miałbym już ani chwili spokoju i musiałbym prac moich zaniechać.

— Panie doktorze! — przerwał Bernard — każdy sławi twą dobroć i uczynność, a mnie chciałbyś odesłać do matki z wyrokiem śmierci dla jej dziecka?

Przytem otarł szybko dwie łzy, które, chociaż silił się je powstrzymać, potoczyły się po twarzy.

Dr. Tallevant przez chwilę popatrzył nań zamysłony, potem obrócił się do młodej dziewczyny, która ciekawym ale spokojnym wzrokiem przypatrywała się tej scenie.

— Sabino! przygotuj wszystko — wyrzekł — wiesz, o co idzie, pojedziesz ze mną. Spiesz się, moje dziecię.

Panna Sabina powstała i wyszła z pokoju; hrabia Vandricourt uchwycił rękę lekarza i kurczowo uścisnął, nie wyrzekłszy słowa.

— Nie mogę się oprzeć pańskiej prośbie — ciągnął dalej Dr. Tallevant — muszę jednak pana uprzedzić, że sama operacya jest bardzo niebezpieczna, i jeżeli się nawet powiedzie, skutki jej

bywają często fatalne. Tylko w ostateczności należy się jej chwytać. Masz pan powóz?

— Tak jest, panie doktorze!

— Jeszcze jedno, muszę mieć przynajmniej trzech pomocników... moją siostrzenicę Sabinę biorę ze sobą... Dr. Raymond także będzie pomagał... a kto będzie trzecim?

— Ja, panie doktorze.

— Pan... ojciec! To niepodobna, panie hrabio!... Nie masz pan jakiego wiernego, zręcznego sługi?

— Mam, gajowego... przejeżdżając koło niego mogę go zawołać.

— Gajowego?... dobrze.

W tej chwili weszła Sabina poważnie, spokojnie, cichym krokiem. W jednej ręce niosła dużą, w safian oprawioną skrzynkę, w drugiej ceratowy woreczek, a na ramieniu dwie grube płócienne opaski. Doktor otworzył skrzynkę, szybko przebiegł okiem po błyszczących instrumentach stalowych, tam zawartych, zbadał potem treść worka, w którym znajdowały się małe gąbki, wywoskowane nici i inne do operacji potrzebne przyrządy.

— Wszystko mamy! — rzekł — możemy iść.

Prędko wdział paletot, dziewczyna owinęła się płaszczem z kapiszonem, poczem wsiedli do powozu, hrabia Vandricourt zaś przodem popędził, aby zawołać gajowego Lebuteux, którego domek stał w pobliżu zamku. Gdy doktor i Sabina przybyli, już Lebuteux był na miejscu.

Alieta wybiegła usłyszawszy turkot powozu i wprowadziła Dra Tallevanta do pokoju chorej. Najprzód zadał kilka pytań Drowi Raymundowi, potem nachylił się nad łóżem dziewczynki, ujął jej puls i patrzył na nią uważnie.

— Niema chwili do stracenia — rzekł półgłosem, potem zwróciwszy się do Aliety i Bernarda ciągnął dalej: — Panią hrabinę... proszę... i pana hrabiego zostać w tym pokoju. Dziecię zaniesiemy do salonu obok. Widziałem tam kandelaber i pajak; proszę kazać zapalić wszystkie światła i przynieść jeszcze dwie lub trzy lampy. Stół należy postawić na środku, a kobierzec zabrać.

Dr. Tallevant przechodząc z jednego do drugiego pokoju, spokojne i wyraźne dawał rozkazy, i zaledwie upłynęło pół godziny od jego przybycia, mała Joasia owinięta kołdrą leżała na stole w swoim saloniku, który jakby na jaką uroczystość był oświetlony. Ojciec stał we drzwiach między oboma pokojami, matka zaś przed próżnem łóżeczkiem dziecka klęczała i cisnąc czoło w dłonie modliła się.

Na pół uduszone dziecko zdawało się nie mieć przytomności. Dr. Raymont obiema rękami trzymał silnie głowę chorej, Lebuteux klęcząc u drugiego końca stołu, ścisnął jej nóżki, po prawym boku dziecka stała Sabina, po lewym zaś Dr. Tallevant, obok którego leżały chirurgiczne narzędzia; on i siostrzenica wdziali duże płaszcze płócienne. Stara piastunka Wiktorya, której spokój i użyteczność Dr. Tallevant poznał podczas przygotowań,

trzymała światło jak najbliższej obnażonej szyi chorej Joasi.

Przecięcie tchawicy — zdobycz cudowna nowoczesnej chirurgii — wskazuje się w niektórych wypadkach dyfteryi, aby sztucznie przywrócić choremu oddech, który w tchawicy tamuje fałszywa błona. Operacya polega na cięciu poniżej zatkane go miejsca i na wprowadzeniu rurki do tchawicy. Tym sposobem narządom oddechowym przywraca się powietrze zewnętrzne, a zarazem ułatwia choremu pozbycie się tamującej oddech błony.

Nie trudno więc zrozumieć, ile potrzeba nauki, zręczności i odwagi, aby sprostać takiemu zadaniu. Bez wdawania się w niemiłe szczegóły powiemy tylko, że przy niebezpiecznej tej operacyi narządu delikatnego i skomplikowanego, a do życia tak niezbędnego nóż nie może ani się wahać, ani pójść krzywo. Cięcie jednak tyle powoduje upływu krwi, że operator może zaufać jedynie czuciu palca.

Bernard, któremu w tej ciężkiej chwili brakło pociechy modlitwy, musiał znieść wszystkie męczarnie. Nie działał wprawdzie wprost przeciw poleceniu Dra Tallevanta, ale uważał za obowiązek męża nie spuszczać dziecięcia z oczu, kiedy rozchodziło się o jego śmierć lub życie. Nie ruchomo stał stał we drzwiach i jakby trapiiony okropnym snem, z wybladłą twarzą, przypatrywał się tej strasznej scenie. Widział swe dziecię schwycone izymane nielitośnemi rękami, pod błyskającym nożem, narażone na jakieś srogie zamęczenie. Mimo głębo-

kiego wzruszenia nie uszedł jego uwagi najdrobniejszy nawet szczegół ponurej sceny. Dokładnie rozumiał każde słowo, powiedziane przez doktora do pupilki, która mu jako główny asystent pomagała. Często nie potrzebowała ani słowa, aby wiedzieć, czego było potrzeba. Z zimną uwagą śledziła krwawej roboty noża, a jej delikatna i biegła rączka podawała operatorowi to gąbkę, to nić, to haczyk, który służył do ciągłego trzymania rany otworem. Zdawało się, jakoby to piękne stworzenie o zakrwawionych rękach ze spokojem i wdziękiem pełniło obrzędy jakiejś dzikiej religii.

Skoro zrobiono głębokie cięcie, Sabina swemu opiekunowi podawała rurkę, którą on z dziwną zręcznością wprowadził do rany... świst dał się słyszeć, a Sabina ściągnęła obwiązki, które miały przytwierdzić rurkę, następnie owinęła lekką chustą szyję dziecięcia, doktor zaś wziął je na ręce, zaniosł do sypialni i złożył do łóżeczka.

Przełękli rodzice cisnęli się do łóża chorej córeczki, i ledwie mogli uwierzyć własnym oczom: z twarzy jej znikł rozdzierający wyraz agonii śmiertelnej, a rozlało się po niej ciche zadowolenie i uśmiech ulgi doznanej. Alieta i Bernard zwrócili się ku Drowi Tallevantowi; ten także się uśmiechał.

— Powiodło się — rzekł do rodziców, którzy ze wzruszeniem ujęli jego ręce. Chcieli mu dziękować, ale nie mogli; tylko łzami przemówiły serca uszczęśliwionych małżonków.

Po przebytym dopiero co niepokoju nie chciał

Dr. Tallevant psuć rodzicom radości i odbierać im spoczynku przynajmniej przez jedną noc. Następne-
go rana jednak — bo ze Sabiną przepędził noc
w zamku — oświadczył rodzicom, że udana ope-
racja nie stanowi końca choroby, której straszną
władzę należy jeszcze pokonać, chociaż największe
niebezpieczeństwo już minęło.

— Operacja sama — dodał — może spowo-
dować nowe, niebezpieczne przypadłości. Należy
więc jeszcze ciągle czuwać i pielęgnować dziecię
z największą troskliwością. W tej mierze z całą
ufnością spuścić się można na mego zacnego ko-
legę Dra Raymonda, który jeżeliby zaszło co fa-
talnego, nie omieszka mnie zawiadomić.

Zaledwie skończył Dr. Tallevant te nie bardzo
pocieszające słowa, doniesiono mu, iż powóz zaje-
chał. Była zaledwie ósma godzina.

— Jak to, panie doktorze — zawołała Alieta —
chcesz już nas opuścić? Może będziesz pan łaskaw
z nami zjeść śniadanie?

— Wiesz pani, że pustelnicze prowadzę życie —
odrzekł Tallevant — i że przez moje wczorajsze od-
wiedziny sprzeniewierzyłem się moim zwyczajom.
Proszę mi tedy pozwolić wrócić do moich prac
pilnych.

Alieta, jakby przerażona, załamała ręce, a
piękna jej twarzyczka zdradzała tyle głębokiego
smutku, że wzruszyło to Dra Tallevanta.

— Dobrze! — dodał — pani należysz do tych

osób, którym niczego niepodobna odmówić... czego sobie więc pani życzysz?

— Jeszcze parę dni chciałabym pana zatrzymać przy mojej zmartwychwstałej.

— Jeszcze tego?!... Ale kochana hrabino, może się ułożymy. Gdybyś pani zatrzymała moją bratanicę — tak ją nazywam, chociaż jest dalszą krewną — gdybyś ją zatrzymała, czyżby nie było to tak samo, jakbym ja sam tu został? Ona najwyborniej nadaje się do pielęgnowania chorych... co więcej, przy najmniejszym symptomie pogorszenia każe mię przywołać. Zresztą przyrzekam pani co wieczora odwiedzić chorą aż do zupełnego wyzdrowienia... czy zgoda?

— Alieta nieśmiało zwróciła się do panny Tallevant, która owinięta w płaszcz, spokojnie jak zawsze przysłuchiwała się rozmowie.

— Gdybyś pani — rzekła do niej — zechciała tu zostać, dopełniłabyś miary dobroci i poświęcenia.

— Jeżeli pani sobie życzysz tego, a stryj pozwala... — odpowiedziała Sabina, lekko pochylając swą pierś o cudnych kształtach.

— O, moja pani, jakże ci jestem wdzięczną! — zawołała Alieta, przyciskając ręce dziewczyny do swej piersi.

Dr. Tallevant poszeptał jeszcze z bratanicą i pupilką, następnie pożegnał się, a hr. Vandricourt odprowadził go do powozu.

— Nie znajduję słów, panie doktorze do wy-

rażenia wdzięczności — rzekł Bernard głęboko wzruszony, pomagając wsiąść doktorowi.

— Ależ panie hrabio! — odpowiedział tenże — pan i pani hrabina należycie do rzędu osób, którym nieść pomoc jest dla mnie prawdziwą rozkoszą... Do widzenia dziś wieczór!

VI.

Została tedy w zamku panna Tallevant, gdzie oczywiście otoczono ją serdeczną i szczerą gościnnością. Nagłe poufałe pożycie z dwojgiem osób prawdziwie pańskiej wytworności nie zdawało się jej wcale ciężyc, wśród bogatej elegancyi otoczenia nie robiła wrażenia, jakby nie tu było jej miejsce. Z właściwą kobietom sprężystością umysłu łączyła się w niej niewymuszona jakaś pogoda, która ją równała z najlepszym towarzystwem, a duma, której miała wcale sporo, chroniła ją od parafiańskiego podziwiania nowych dla niej rzeczy. Tylko czasem przelotne drgnienie powiek, albo błysk oczu zdradzały podziw dla nieznanego jej dotąd przepychu. Zresztą, zwłaszcza w pierwszym czasie pobytu nie narzucała się sobą gospodarzom. Kilka razy dzień nie spędzała po godzinie przy łóżeczku chorej, zmieniając obowiązki i pielęgnując ją, poczem zabrawszy kilka książek z biblioteki zamkowej szła do swego pokoju. Dopiero po obiedzie, jeżeli sprzyjała pogoda, wychodziła do parku z Alietą i jej

mężem na przechadzkę, albo zabawiła chwilkę w salonie. Mówiła mało a rozumnie, jasno i stanowczo, zdradzała — ale nie z rozmysłem — wielostronną wiedzę, ale zarazem wobec wszystkiego zachowywała dumną, ironiczną obojętność, która prawie lękiem przejmowała. Wtedy hrabia Vandricourt poznawał w niej dumnie-szyderczą rusałkę z lasu, która drwiła sobie z jego własności.

W innych okolicznościach Alieta uważałaby za rzecz nie bardzo pożądaną, wciągać do koła rodzinnego osobę tak piękną, zajmującą i oryginalną jak Sabina. Obecnie jednak, kiedy troska o życie i zdrowie dziecka całej wymagała od niej uwagi, czuła tylko głęboką wdzięczność dla pięknego dziewczęcia, podziwiała nieustannie jej cudowną zręczność, z jaką trudziły się jej rączki koło małej rekonwalescentki, a później — kiedy powoli wracał jej spokój — mówiła nawet mężowi z naturalną wesołością o osobliwszem wrażeniu, jakie na nią wywierała panna Tallevant.

— Nie powiem, iżby mi się podobała — mówiła — »podobanie się« to niewłaściwe słowo... czaruje mnie i dla mnie jest typem czarownicy. Czyś uważał jak cicho idzie?... zdaje się jakby nie stąpała nogami... ślizga się jak lunatyczka... jak lady Macbeth naprzykład! Ale dobroczynna z niej czarownica, lady Macbeth, która została siostrą miłosierdzia.

— Ty znowu swoje! — odpowiedział Ber-

nard — czarownica!... lady Macbeth!... Mój Boże!... piękna guwernantka, nic więcej!

Tymczasem powrót Joasi do zdrowia, dzięki troskliwej opiece Sabiny i Dra Raymonda, a szczególnie dzięki znakomitej kuracyi Dra Tallevanta — pożądane robił postępy. Nie było niebezpiecznych przypadłości, które tak często są następstwem operacyi, jaką mała przebyła i po upływie trzech tygodni oświadczył Dr Tallevant, że nie ma cienia obawy i że pobyt bratanicy na zamku jest już zbyt bezpieczny. Napróżno starał się Bernard obok słów gorącej podziękii skłonić go do przyjęcia honorarium.

— Nie, za nic w świecie! nawet nie mogę nie przyjąć, bo nie wykonywam praktyki lekarskiej... jeżeli teraz leczę chorych, to czynię to z miłosierdzia lub z przyjaźni.

— Dobrze! biorę pana za słowo — odpowiedział Bernard — bądźmy więc przyjaciółmi aż do śmierci!

— Zresztą jeżeli chodzi o honorarium, które mam przyjąć — dodał Dr. Tallevant, właśnie gdy Alieta weszła do salonu — jeżeli pani hrabina pozwoli się ucałować, to z radością przyjmę pocałunek, bom ją bardzo pokochał.

— Z całego serca, panie doktorze! — zawołała młoda kobieta, podbiegła doń i nadstawiła mu oba policzki.

Że przy tak szlachetnem usposobieniu, jakim odznaczyli się Bernard i Alieta, niepodobna im było zapomnieć usługi, bezinteresownie wyświadczonej,

nie potrzebujemy mówić. Oboje nieustannie myśleli, jakby okazać swą wdzięczność Drowi Tallevantowi i jego bratanicy. Doktorowi samemu czemś się przysłużyć rzeczywiście było trudno, gdyż jego upodobania i przyjemności płynęły z pracy, a grzeczności, mające kurs w towarzystwie, stawały się dlań uciążliwymi. Tym tedy sposobem dowody wdzięczności obojga dostawały się właściwie jego bratanicy.

Chociaż Sabina niechętnie się zwierzała, powoli opowiedziała obojgu wiele o swoich stosunkach: o matce, która od wielu lat była sparaliżowana; o swoim stanowisku w domu stryja — i rozpowszechnioną pogłoskę o przyszłym poślubieniu doktora, potwierdzała niewyraźnemi wzmiankami. Jej ślub, który jak się zdawało przeznaczony był na jesień, kiedy Sabina stanie się pełnoletnią, nadarzał im sposobność wywdzięczenia się pannie cennym jakim podarkiem. Tymczasem obsypywano ją prawie codziennie oznakami sąsiedzkiej grzeczności.

Alieta odwiedzała często La Saulaye i wtedy nieraz piękną sąsiadkę zabierała ze sobą do Valmontiers na kilka dni. Dr. Tallevant nigdy się nie sprzeciwiał temu porwaniu Sabiny, chociaż pozbawiało go wybornej współpracowniczki. Pochlebiało mu, że narzeczona tak poufale obcowała z młodą kobietą, na której wartości odrazu się poznał. Także i w tem widział korzyść dla dziewczyny, że pu-

pilka kiedy niekiedy odrywała się od jednostajnego w domu trybu życia.

Między rozrywkami panny Tallevant, obmyślanemi przez hrabstwo Vandricourt, oczywiście nie brakło polowania. Bernard oznajmił jej, że odtąd bez obawy sądowego ścigania wolno jej na jego gruncie polować bez ograniczenia i przy tej sposobności przypomniał jej spotkanie pierwsze, malując żartobliwie zaciekły gniew, który w nim wzbudziła. Zdawało się to bawić ją, dwa dołki pojawiły się na smagłych policzkach, a usta rozwarły się jak kielich pięknego czerwonego kwiatu, okazując szereg drobnych, perłowej białości ząbków.

— Co za szkoda, że tak zawsze poważna! — pomyślał hrabia Vandricourt — jest czarującą gdy się śmieje.

Na nieszczęście czarowała także, kiedy się nie śmiała.

Wkrótce, skoro tylko Bernard i Alieta szli na polowanie, Sabina szła z nimi i jakkolwiek z małym skutkiem, próbowała młodą kobietę przyzwyczaić do zachowania zimnej krwi i przytomności umysłu. Alieta za to — przy pomocy męża — dawała jej lekcye jazdy, w czem Sabina robiła szybkie postępy. Pięknej budowy i wzrostu, zręczna i odważna, była jakby stworzona do tego sportu, a nawet mogła w nim celować. Najpiękniejszego konia ze stajen we Valmontiers sam Bernard dla niej ujeżdżał i do jej użytku przeznaczył, a następnie zamierzał go jej oddać jako podarek ślubny.

Wskutek codziennego prawie obcowania, wspólnych przygód myśliwskich, nauki jazdy, po których nieraz po obiedzie następowały ćwiczenia we walcu, powoli ustał wszelki przymus między Sabina a gospodarzami. Bernard, chociaż nigdy nie uchybił formom przyzwoitości, względem młodej dziewczyny przybrał ulubiony sposób niewinnego przekomarzania się i znalazł w pannie Tallevant godną siebie przeciwniczkę, która w lekkim szyderstwie i w ironicznych ukłuciach zupełnie mu sprostowała. Poważnym, melodyjnym głosem umiała sarkastyczne zwroty, któremi lubiła się posługiwać przeciw swemu nauczycielowi tańców i jazdy, delikatnie ale wyraźnie podnosić. Czasami bywało, jeżeli Alietę zatrzymało coś w domu, Sabina sama z Bernardem szła na polowanie, albo odbywała przechadzki; pominąwszy towarzystwo gajowego lub masztalerza, w takich razach byli ze sobą sam-na-sam, co zresztą nie dziwiło nikogo, kto znał swobodne, amerykańskie wychowanie Sabiny. Zresztą zachowanie się ich w takich razach nie mogło dać powodu do złośliwych komentarzy. Rozmowa toczyła się o psach i koniach, albo przechodziła na pole nieszkodliwego przekomarzania się. Pewnego dnia naprzykład, kiedy Bernard spostrzegł zapełną obojętność Sabiny na widok ginącej sarny, rzekł:

— Po wielu objawach sądząc, piękna sąsiadko, obawiam się naprawdę, że pani nie masz ani odrobiny serca.

Spojrzała nań bystro.

— Ja zaś — odrzekła spokojnie — sądząc po wielu objawach obawiam się, że pan masz za dużo serca.

Albo inną razą:

— Czy wiesz, kochana i szanowna sąsiadko, co mi najwięcej podoba się w pani?... Oto, że nie masz ani jednego kobiecego przymiotu.

— Oczywiście! — odpowiedziała — ale mnie-
masz za to, iż mam wszystkie kobiece wady.

— Być może.

— Nie! to pewna!

Takim był zwykły ton nieszkodliwych potyczek słownych. Tak upłynęły dwa lub trzy miesiące od wyzdrowienia zupełnego Joasi, hrabia Vandricourt jednak nie okazywał najmniejszej ochoty do paryskich rozrywek po jednostajnem życiu wiejskiem. Napróżno przypominała mu Alieta zawartą umowę i starała się nakłonić go do wykonania tejże.

— Skoro się nie nudzę — odpowiadał Bernard — niemam powodu do wyjazdu. Poczynam się aklimatyzować, rdzewieję. Należy więc spokojnie czekać końca przebiegu krystalizacyi i nie przeszkadzać mu. Zresztą zamierzasz po Wielkiejnocy, albo w kwietniu pojechać do Paryża, poczekam więc na ciebie.

Nadszedł kwiecień, ale o podróży do Paryża nie było mowy. Zdrowie Aliety, które osłabił był wypadek w Saint-Germain, a obawa o chorą Joasię jeszcze więcej podkopała, nie było zadawala-

jące; często napadało ją nagłe osłabienie, które się niekiedy wzmagalo do rzeczywistego omdlenia. Dr. Tallevant jednak, a z nim Dr. Raymond byli zdania, że stan wcale nie jest groźny, bo choroba nie dotyka żadnego narządu, ale jest skutkiem osłabienia pochodzącego z przebytego niedawno prze-strachu. Alieta nalegała na Bernarda, aby umó-wioną wycieczkę przedsięwzięli do Paryża, o czym on nie chciał słyszeć.

— Właściwie chcesz pojechać dla mojej przy-jemności — mówił — a nie byłoby dla mnie wcale przyjemnem, gdybym cię taką cierpiącą ciągnął za sobą. Uważaj na siebie, przyjdź do sił, uspokój nerwy, a jesienią pojedziemy do Paryża, gdy wró-cisz od matki.

Alieta stosownie do życzenia męża, siliła się uspokoić swe nerwy, ale mąż usiłowania te wes-przeć był powinien, tymczasem, jak się czytelnik zapewne już się domyślił, działał wprost przeciwnie.

Skoro Alieta uwolniła się od troski o dziecię i napowrót odzyskała zupełnie jasne i szybkie po-jęcie, nie mogła pozostać w błędzie co do niedo-godności i niebezpieczeństwa ścisłych stosunków między mieszkańcami La Saulaye i Valmontiers, a nagłe zamiłowanie męża w życiu wiejskiem i wstret do podróży choćby kilkudniowej do reszty otwo-rzyło jej oczy, Nie podobna się było łudzić, że ja-kiś tajemny powód zatrzymywał go na wsi i myśli jego zajmował. Alieta zrozumiała trafnie, jaki urok na przeżytego jak mąż jej mężczyznę, zwłaszcza

wśród jednostajnego życia wiejskiego, musiały wywierać niezwykła powierzchowność Sabiny, jej dziwna piękność, energia ducha i tajemniczość w działaniu. Nie tyle lękała się Sabiny jako kobiety, ile raczej jako złego ducha, wrogiego stworzenia, anioła zguby, który jej wpływ na duszę męża ubezwładniał, a przez to niweczył wszystkie jej marzenia i nadzieje, które jako chrześcianka i żona żywiła w głębi serca. Wiedziała, że Sabinę wychował stryj w niedowiarstwie, i nie zdając sobie sprawy o przyczynie, to, co w Dr. Tallevant prawie wcale jej nie raziło, znajdowała w młodej dziewczynie po prostu wstrętne i obrzydliwe.

Ale cóż miała począć?... Dr. Tallevant uratował jej dziecię od pewnej śmierci, a Sabina czynnie i z poświęceniem dopomogła mu w tem szlachetnym dziele — najsrozsza więc dla niej było męką, uważać się zobowiązaną do wdzięczności osobie, która wydawała się jej złym demonem, i widzieć się zmuszoną, dozwoić wrogowi przystępu do swego domu.

Te sprzeczne uczucia targały duszą hrabiny Vandricourt, wprowadzały do niej zamęt, napełniały lękiem i zmuszały do nieustannego nużącego panowania nad sobą, co wpływało szkodliwie na jej zdrowie.

Także i hrabia Vandricourt — chociaż nie tak bardzo rozdrażniony — nie cieszył się zupełnym spokojem duszy. Męki zazdrości i obawy religijne żony nie miały żadnego związku z nieznośnym sta-

nem rozdrażnienia, bo nawet nie przeczuwał ich u żony. Już to zwiódła go sztuka udawania, którą Alieta posiadała jak inne córki Ewy, już to zbyt był zajęty Sabiną, aby co innego widzieć, coby jej nie dotyczyło. Jak wszyscy, taką namiętnością miotani, patrzył na resztę roztargnionem okiem i wma- wiał w siebie, że nikt prócz niego samego o niej nie wie. Jego zachowanie się wobec niebezpiecznej sąsiadki zdawało mu się niegannem. Jakkolwiek pilnie korzystał z bliskości La Saulaye i ze serdecznego stosunku przez przypadek zawiązanego i jakkolwiek o tem tylko myślał, aby się zbliżyć do Sabiny, dotknąć jej ręki, jej skąpe słowa słyszeć, jej oddechem się poić, toż jednak nigdy nie zdradził swej tajemnicy ani nieostrożnem obejściem, ani też żadnem nieuważnem słówkiem; mniemał więc, że jest jeszcze jej panem i tak też było... wyjąwszy dwie najwięcej interesowane osoby, żonę i Sabinę. Hrabiego Vandricourta, jak wiemy, nie można było nazwać dzieckiem, głupcem, albo szaleńcem, owszem był bystrym spostrzegaczem i roztroprnym człowiekiem; ale był zakochany, namiętnie zakochany... może po pierwszy raz w życiu i dlatego w tym czasie wszystkie prawie jego władze umysłowe znajdowały się w stanie zupełnego prawie przyćmienia.

Na szczęście moralna siła oporu była u niego większa: nie poddał się zgubnej namiętności bez mężnej przeciw niej walki, i nie taił przed sobą, że nietylko wszystkie zasady etyki, ale i honor

zabraniał mu pożądać miłości Sabiny. Wszakże była krewną, pupilką i narzeczoną człowieka, którego zręczność i nauka uratowały życie jego dziecieniu. Jeżeliby młode dziewczę sprowadzał z drogi obowiązku, dopuszczałby się względem jej stryja najczarniejszej niewdzięczności, najnikczemniejszej zdrady. Widział to wszystko, i co było w mocy jego uczynił, aby uniknąć hańby, i tylko jednej rzeczy, przedewszystkiem koniecznej — mianowicie ucieczki — zaniedbał.

Nie mogąc oprzeć się czarowi, pod którym go piękna dziewczyna trzymała, sumienie swe uspakajał tem, że przywoływał sobie do pamięci nieprzewyciężone przeszkody, które go dzieliły od Sabiny. Jeżeli w sercu nosił nieszczęśliwą namiętność, niezaspokojoną tęsknotę, i mniej lub więcej cierpiał przy tem — nikogo to nie mogło obchodzić. W każdym razie był zdecydowany, raczej odebrać sobie życie, niż nikczemnie zdradzić swego dobroczyńcę.

Jakby w tym celu, aby wzmocnić jeszcze przeszkody między sobą a Sabina, począł Bernard z każdym dniem coraz bardziej łączyć do Dra Tallevanta, dla którego miał wzmagający się ciągle szacunek i przywiązanie. Od swoich gajowych i dzierżawców dowiedział się, że Tallevant nietylko udziela biednym w okolicy wsparcia, które przy skromnych jego środkach były bardzo znaczne, ale wiedział też, że doktor cenniejszą czynił dla nich ofiarę, bo prawie każdego rana część drogiego, nauce po-

święconego czasu oddawał na usługę tych chorych. Hrabia Vandricourt tem więcej czuł podziwu dla wspaniałej, bezinteresownej dobroczynności sąsiada, że wiedział, z jak namiętym zapałem oddawał się swym naukowym badaniom i dziełu, w którem chciał złożyć owoc swych studyów. Dzieło to, od dwóch lub trzech lat wychodzące w półrocznych zeszytach, którego już pierwsze arkusze przyniosły mu pochwalne uznanie akademii, było poglądem historycznym rozwoju nowoczesnych nauk przyrodniczych, i miało tytuł: Naukowy inwentarz XIX wieku.

Już założenie samo takiego dzieła i przedstawienie użytej ku temu metody, zasługiwało na uznanie. Tallevant już od wczesnej młodości z zapałem apostoła poświęcił się temu zadaniu, gdyż ukochał naukę nie dla prawdziwych czerpanych z niej rozkoszy umysłowych, ale przedewszystkiem dla wielkiego pożytku, którego po niej życie duchowe i religijne ludzkości spodziewać się mogło.

Chociaż apostoł nauki i wolnomysłności w oczach hrabiny Vandricourt mógł uchodzić tylko za niebezpiecznego nihilistę, dziwnie pociągało ją serce ku niemu a i Dr. Tallevant mimo dumnego uprzedzenia, uczonym właściwego, nie mógł się oprzeć sympatii dla ultrakatolickiej sąsiadki. Zdawało się prawie, że oboje ci zacni ludzie pociągali się nawzajem sprzecznymi wprawdzie, ale równie szlachetnymi przymiotami. Zresztą Dr. Tallevant w obecności Aliety wystrzegął się słów, któreby jej uczu-

cia religijnego dotknąć mogły — atoli wobec Bernarda, którego wolnomyślne zapatrywania zaraz poznał, nie zadawał sobie takiego przymusu.

Gdy Sabina na kilka dni zagościła do zamku, opiekun jej niekiedy przychodził tam na obiad. Zwyczajnie pieszo wracał do La Saulaye, a hrabia Vandricourt odprowadzał go. Podczas tych dalekich, często powtarzających się przechadzek, rozmowy ich coraz więcej stawały się poufałemi. Nieraz rozmowa schodziła na pole kwestyi religijnej, i z zdziwieniem zauważył Bernard, że u Dra Tallevanta traktowanie tego przedmiotu zarówno było wolne od szyderstwa wolteryanina, jak od brutalnej zaciekłości antyklerykała. Owszem traktował rzecz łagodnie, poważnie, nawet ze szacunkiem, co właśnie znamionowało szlchetnego, po nad uczucie nienawiści wznoszącego się męża; wyrażenia jego miały nawet pewien odcień pobożności, bo i on miał swoją religią, a będąc szczerym i natchnionym, dawał się nawet porywać chęćce nawracania. Obojętność w rzeczach religii uważał jako niedozwoloną, i w tej mierze niejednę powiedział Bernardowi gorzką prawdę, którą ten jednak przyjmował ze spokojem, gdyż serdeczna uprzejmość we wyrażeniu łagodziła jego surowość.

Dr. Tallevant mniemał, że niegodnem jest mężczyzny wyrzec się wszelkiej wiary w coś wyższego z tego tylko powodu, że się utraciło chrześcijański ideał. Owszem należy koniecznie znaleźć nowy ideał, aby powoli nie spaść do poziomu zwie-

rzęcia. Mężczyznę z lepszej warstwy społecznej, który w nic nie wierzy i na tem poprzestaje, przez jakiś czas utrzymują wspomnienia wrażeń młodości i wymogi stanowiska społecznego; z czasem jednak musi osłabnąć poczucie obowiązku i siła woli, bo braknie im trwałej i silnej podstawy. Wkrótce życie przelotnych, zmysłowych rozkoszy staje się dlań jedynym celem życia, spada pod poziom swego ukształcenia, na stopień murzyna, a im dłużej żyje, tem coraz niżej upada. Nawet umysł jego traci coraz więcej siły i jasności, bo i w sprawach duchowych ogranicza się na tem tylko, co płytkie, powierzchniowe, niejako dotykalne. Lekturą jego stają się romanse i dzienniki, a do teatru idzie, kiedy dają sztuki podrzędnej wartości, które prawie wyłącznie przemawiają do zmysłów. Zaprawdę są to dzieje wszystkich ludzi i narodów, które wyrzekły się ideałów.

Tylko z religii, tylko z wiary w wyższą istotność, czerpie człowiek siłę i wolę do sprostania swemu zadaniu, które polega na poświęceniu życia kultowi wszystkiego, co dobre, piękne i wzniosłe — a każdy umysłowo rozwinięty przez spostrzeganie i badanie przyrody, to jest przez naukę, może wznieść się do tej idealnej religii. Nauką tedy starajmy się wypełnić tę straszną pustkę, którą zniszczenie dawnych religii pozostawiło w dziedzinie ducha. Także i mnie nauka dała tę wiarę, która mię wspiera w żmudnej naukowej pracy, mającej stać się dzie-

łem propagandy, i jeżeli niekiedy w swoim otoczeniu coś dobrego zdziałam, to skłania mnie do tego także nauka.

Jakaż była ta jego filozoficzna religia, z której czerpał siłę woli i cnotę? Przedstawiał on ją Bernardowi tak wymownie, z taką mocą i pięknoscią słowa, że nie czujemy się na siłach, powtórzyć jego wywodów, i musimy poprzestać na krótkim skreśleniu jego teorii. Przez naukę przyszedł Dr. Tallevant do przekonania, że boskie dzieło stworzenia trwa dalej we wszechświecie, że każde duszą i rozumem obdarzone stworzenie ma przeznaczenie wedle sił swoich przyczynić się do udoskonalenia, dalszego rozwoju tego dzieła, że obowiązkiem jest człowieka w tym kierunku działać, i że w bezwarunkowym spełnieniu tego obowiązku w przeświadczeniu, że służy wyższemu celom, znajdzie rozkosz i nagrodę swego życia.

— Przedewszystkiem — odpowiedział Bernard — idzie o zastąpienie czemś upadających religii. Czy sądzisz, kochany doktorze, iż kiedyś się powiedzie nawrócić spóółstwo, lud, do tej filozoficznej religii, której wzniosłości nie odmawiam, której warunkiem jednak być może tylko wysokie wykształcenie ducha?

— Nie! nie łudzę się tem wcale — odparł Dr. Tallevant — ale też uważam to za zbyteczne. Wystarczy już, jeżeli pewna liczba wybranych wyznawać ją będzie, gmina, która pewnego dnia dość stanie się silną, aby zapanować nad motłochem,

i moralną przewagą, albo nawet gwałtem zmusić go do wykonania obowiązków.

Bernard zaśmiał się:

— Ależ kochany panie doktorze! — zawołał — wiesz pan, że straszny z ciebie arystokrata?

— Jestem nim! Czyś pan miał może za demagoga, dlatego, że oddaję się nauce? Dziwne pojęcie, i zresztą dość rozpowszechnione, chociaż bezzasadne! Nauka jest przyrodzoną nieprzyjaciółką demokracji, bo jest przyrodzoną nieprzyjaciółką nieuctwa, a szczególnie mierności. Co zaś może zdziałać demokracja? chyba tylko podnieść ciemnotę do stopnia mierności... obrzydliwy postęp! Co się mnie tyczy, to lituję się nad ciemnymi, słabymi i nędznymi... ale schlebiać ich namiętnościom albo znosić ich panowanie... nigdy!!

I wracając na pole religii, dodał Dr. Tallevant:

— Wierzaj mi, przyjacielu, wielka to rozkosz czuć, że idziemy drogą prawdy i niejako ręka w rękę z Bogiem, biorąc udział w dziele tworzenia w cichem zadowoleniu, które ma coś rajskiego w sobie. Niekiedy zadowolenie to psuje mi jedynie obawa, że zadania, któremu poświęcił życie, nie dokonam.

— Co za myśl, doktorze? Wszakżeś pan w sile wieku.

— To prawda... ale *ars longa vita brevis*. Mam powiększenie serca, i muszę ograniczać czas pracy... to moja troska.

VII.

Tego samego wieczora, kiedy między Drem Tallevantem a Bernardem toczyła się powyższa rozmowa, Alieta na prośbę Sabiny zagrawszy trochę, uczuła się bardzo osłabioną. Usprawiedliwiła się przed nią, i jak zawsze przy życzeniu dobrej nocy, ucałowała ją i poszła do swej sypialni. Było to w połowie maja; po niezwykle ciepłym i pięknym dniu równie piękny nastąpił wieczór i Alieta nim się rozebrała, wychyliła się z oka i poiła wonią świeżej zieleni, pierwszych fiołków i konwalii. Pogodne, gwiazdami zasiane niebo rozlewało łagodne, blade światło na zieleniące się krzaki i dalekie pola. Nagle obudziła się z marzycielskiej zadumy i drgnęła młoda kobieta: wśród cieni poznała zgrabną postać panny Tallevant, przesuwaną się wzdłuż alei parku, jak potem przeszła na drogę, która przecinając łuk gościńca, w niedalekiej odległości od La Saulaye łączyła się z nim znowu.

... Było już koło jedenastej godziny w nocy, kiedy hrabia Vandricourt pożegnawszy Dra Tallevanta i do Valmontiers wracając leśną drogą, ujrzał w mroku idącą ku niemu postać niewieścią. Szła ku niemu lekkim, cichym krokiem, ramiona przycisnęła do piersi a głowę i plecy otuliła hiszpańskim płaszczem. Poznał ją zaraz... wszakże to jej upajający obraz właśnie teraz w tej czarownej nocy wiosennej odtworzyła jego wyobraźnia. Wzruszenia

doznał tak gwałtownego, że nagle serce bić mu przestało, następnie silniej uderzyło, i znowu bić poczęło.

Już tylko kilka dzieliło ich kroków.

— Co widzę? to pani? — rzekł Bernard spokojnym głosem. — Rzeczywiście myślałem, że to jej duch.

— Nie, to nie mój duch, ale ja sama — odpowiedziała równie spokojnie — zwabiła mnie piękność wieczoru a niepewna nadzieja spotkania pana kazała mi pójść tą drogą leśną.

— Temu nie wierzę... owszem jestem pewny, żeś przyszła tu pani, aby przy promyku gwiazd szukać ziół czarodziejskich.

— Jak czarownica?

— Tak! jak młoda, piękna czarownica.

— Znadtoś pan łaskaw!... może wrócimy?

— Jak sobie pani życzysz!

— Oczywiście!

Następnie z hrabią Vandricourt wracała do zamku. Wbrew zwyczajowi zdawała się trochę zakłopotaną a w roztargnieniu to wkładała to znowu zaciągała rękawiczki.

— To dziwne, jak szczególne głosy dają się nocą słyszeć w lesie — rzekła nareszcie.

— Lękałaś się pani?

— Żartujesz pan... wcale nie, ale kilka razy zdawało mi się, iż w krzakach słyszę jakieś kroki.

— Być może... nie braknie tu kłusowników.

— Ani kłusowniczek — dodała śmiejąc się.

— Kłusowniczek nie bardzo się boję — odrzekł w tym samym tonie. — Czy wolno mi służyć pani ramieniem?

— Nie! dziękuję.

Milczeli przez chwilę; potem zapytała:

— O czem mówiłeś pan z moim opiekunem?

— O bardzo poważnych rzeczach, o nauce, religii, filozofii.

— To pożytek tylko panu przynieść może.

— Zapewne — odpowiedział Bernard — na razie tem jaśniej widzę, jaki odstęp jest między mną a takim mężem, jak stryj pani. Gdybym jak on poświęcił był życie pracy, nauce, zamiast trwonić je w niedorzecznych rozrywkach, o ile byłbym lepszym i szczęśliwszym?

— Tak sądzisz? panie hrabio?... lepszym? o to się nie spieram, bo na to nie wiele trzeba... ale szczęśliwszym? o tem wątpię. I ja, jak pan wiesz, uczyłam się dużo. Nie ma gwiazdy nad nami, którejby imię, grupa, bieg nie były mi znane; żaden robaczek nie śpi tu w krzakach, o którego dziwnym kształcie, rozwoju, familii i życiu nie umiałabym dać wyjaśnienia, każdego kamyka leżącego na drodze, podam wiek i składniki; każdy mech i każdą kroplę rosy najdokładniej rozbiore... a mimo to nie mam przekonania, abym była lepszą lub szczęśliwszą.

— O tem, co się dzieje w główce i w sercu pani, nikt nie wie, prócz ciebie samej.

— To być może!

— Panno Tallevant!

— Co, panie hrabio?

— Czy wśród tej cichej samotności wolno mi panią zapytać, jaką wyznajesz religią?

— Oczywiście religią mego stryja.

— I czy sądzisz pani, że wystarczy ci ona, abyś mogła się oprzeć wszystkim pokusom tego świata, nawet najsilniejszym, najpotężniejszym?

— Dotąd mi wystarczała.

— Musisz więc pani także i mnie nauczyć tej religii. Stryjowi pani mimo głębokiego przekonania i mimo wymowy nie powiodło się to... a przecież może nigdy w życiu nie potrzebowałem więcej tej pewności siebie i tej siły woli, które tylko z głębokiej wiary w wyższą istność czerpać można.

— Więc naprawdę żądasz pan, abym cię uczyła mojej religii?

— Całkiem seryo?

— Ależ toby zmartwiło pańską pocziwą żonę.

— Moja żona wie, że nie dzielę jej wiary, i do niej nigdy się nie nawrócę — zirytowany odpowiedział Bernard.

— Nie, toby ją zmartwiło — powtórzyła Sabina — a ja ją tak kocham... zanadto kocham!... Zresztą widzę już światła w zamku... nie mamy więc na to czasu... bo niewątpliwie nie tak łatwo jest nawrócenie pana... a prócz tego...

— »Prócz tego«... proszę, skończ pani!

— Prócz tego nie należysz pan do grona wiernych... nie zrozumiałbyś...

— A to pięknie!... Niech pani spróbuje... głos twój tak słodki!... gdybym słów twoich nie rozumiał, muzyka twego głosu dokonałaby reszty...

— Panie hrabio!... porzuć pan tylko pochlebstwa!... Milsze mi pańskie ukłucia i sprawiają mi tę przyjemność, że równą mogę odpłacić monetą. Wreszcie jedyny to ton, który nam uchodzi... Pan mnie rozumiesz... nieprawdaż?

Podniosła głowę. Na jej wpółotwartych ustach krążył zagadkowy uśmiech a piękna jej twarz przy świetle gwiazd wydawała się bledszą niż zwykle.

Stanął, pochylił się ku niej i niejako obejmując ją namiętnym wzrokiem, rzekł głucho:

— Sabino, dlaczego musi nas dzielić taka przepaść?

Jakby dla uspokojenia położyła obnażoną rękę na jego rękę.

— Panie hrabio, uspokój się! — szepnęła.

On chwycił jej rękę, trochę dużą, ale kształtną.

— Szczęśliwy, komu los przeznaczy tę piękną, miękką i dzielną — odpowiedział szeptem i w nagłym wzburzeniu przycisnął ją do ust.

Sabina wyrwała mu ją gwałtem i cofnęła się.

— Ach! zawołała przyciszonym głosem — bezbronną dziewczynę, która panu ufa...

— Przebacz mi pani!

— Czyżbym się zawiodła? Czyż pan nie jesteś człowiekiem honoru?

— Na to możesz liczyć!

— To się pokaże.

W milczeniu szli dalej i weszli do zamku, nie przemówiwszy do siebie słowa.

Cokolwiek później także Alieta wróciła do zamku, ale przez drzwi bocznych schodów, które zostawiła była otwarte.

Krótki pobyt Sabiny we Valmontiers, kończył się dnia następnego. Dr. Tallevant, który przyszedł wieczorem, aby zabrać bratanicę, znalazł hrabinę Vandricourt więcej niż zwykle cierpiącą. Miała kilka napadów mdłości, i nie mogła zejść do obiadu. Doktor wypytywał ją, badał, wypukiwał bardzo starannie, ale i teraz tylko dyagnozę Dra Raymonda potwierdził, zapewnił ponownie, że nie ma niebezpieczeństwa, że owszem przyczyną choroby są nerwy i zapisał, jak dotąd, wzmacniające leki, dobre pożywienie i mierny ruch na świeżem powietrzu.

Nim jednak odszedł ze Sabiną, wziął Bernarda pod ramię i odprowadził go na bok w parku.

— Kochany sąsiedzie! — rzekł — przebacz mi pan, że chcę pomówić z tobą o najskrytszych sprawach. Mniemam jednak, że to jest obowiązkiem lekarza i przyjaciela.

— O mój Boże! — zawołał Bernard — moja żona?...

— Nie, nie ma obawy; uważam tylko, że u niej stan osłabienia trwa trochę za długo. Po wstrząśnieniach, doznanych w czasie choroby dziecka, już dawno powinna się była podnieść... stan jej tedy inną musi mieć przyczynę. Wszakże w życiu jej

widzę tylko same warunki szczęścia... Nie mówię już o przyjemnościach, jakie przynosi wielki majątek; ale ma poczciwego męża, śliczną córeczkę, krewnych i przyjaciół oddanych, a mimo to choroba jej jest chorobą nieszczęśliwej kobiety... kobiety, którą ciężkie zmartwienie gniecie... Czy nie domyślasz pan, co ją może tak martwić?

— Niestety! wiem aż nadto dobrze — odpowiedział Bernard z głębokim smutkiem. — Dzisiaj martwi ją to, co od samego początku naszego małżeństwa było nieszczęściem i goryczą w pożyciu... Wiesz pan o pobożności, o zapale religijnym mojej żony, tak dobrze jak ja sam, a że ja tej zalety nie posiadam, także panu wiadomo... moja żona zaś marzy ciągle o nawróceniu mnie, jestto nieodłączna jej myśl, która ją bezustannie prześladowa. Uroiła sobie, że rozrywki stołeczne, zepsucie paryskiego życia są przyczyną mojej niewiary, porzuciłem tedy Paryż... a Bóg widzi, jak mi ciężko było z nim się rozstawać... Teraz zapewne przekonywa się, że na wsi nic się nie poprawiłem w tej mierze, i to ją do rozpaczki doprowadza. Innych powodów cierpień moralnych, które pan przypuszczasz, nie mogę wskazać... Ale jaki jest fizyczny jej stan?... niebezpieczeństwa niema?

— Nie znajduję powodu do obawy!

— Kochany doktorze! przyznasz mi, że mimo najlepszych chęci nadzwyczaj trudno osiągnąć szczęście w małżeństwie. Jak sobie począć?... Dziś męczyzna żeniący się zwykle nie ma żadnej wiary.

Jeżeli żeni się z panną, modnie czyli wyraźniej mówiąc, szkaradnie wychowaną, to zachodzi obawa, że dostanie kurtyzanę; jeżeli zaś bierze osobę, według dawnej mody wychowaną, to spostrzeże, że ze żoną nie łączy go wspólność ducha. Małżeństwo tedy zaprawdę jest tylko czczą marą... zdaje się, że się już przeżyło i najlepiej chyba już z góry go się wyrzec.

— Nie! kochany panie — odpowiedział Dr. Tallevant — najlepiej wychowywać kobiety tak, iżby je zbliżyć do naszych czasów, do stopnia ukształcenia mężczyzn... przedewszystkiem zaś należy i w nich także zastąpić chrześcijańskie ideały nowymi ideałami. Później tak będzie niezawodnie; poniekąd już teraz idzie ku tej zmianie... a dodam jeszcze, że w moim domu to się już stało. Przyznać jednak muszę, iż mi tu dopomógł przypadek. Znasz pan Sabinę, którą mi los powierzył. Ojciec jej przed śmiercią stracił cały majątek; matka wkrótce potem została sparaliżowana, młoda dziewczyna tedy tylko we mnie znalazła opiekę. Natura bogato ją uposażyła, ja zaś zupełnie podług moich pojęć wykształciłem ją na towarzyszkę mego życia. Że z zawarciem małżeństwa czekam aż do jej pełnoletności, nie potrzebuję powtarzać, niechaj nic jej nie krępuje, i jeżeliby przyszła do przekonania, że jej życzenia nie godzą się z mojemi, pomyślę o jej przyszłości.

— O tem wątpić nie można — rzekł Bernard — Ośmielę się jednak zwrócić uwagę, że panna Sa-

bina niepospolicie jest uzdolniona; kobiety, któreby z nią równać się mogły, zawsze będą wyjątkami.

— Ja tak nie sędzę... owszem przekonanym, że w niedalekiej przyszłości stopień umysłowego i etycznego ukształcenia mojej bratanicy, który dziś niezawodnie nie jest zwyczajnym, będzie miarą przeciętną ukształcenia młodej dziewczyny... Tę możliwość zawsze musimy mieć na oku, chyba byśmy się skłaniali do nieprawdopodobnej hipotezy powrotu do objawionej jakiej religii. Po za tą alternatywą małżeństwo, które niewątpliwie jest społeczną potrzebą, straciłoby rację bytu.

Dr. Tallevant i Bernard powrócili do Sabiny, która tymczasem pożegnała się z Alietą, i ich obu oczekiwała. Pugoda była prześliczna, Sabina więc chciała wracać pieszo, a hr. Vandricourt odprowadził gości do połowy drogi. Kiedy ich pożegnał, Sabina szła chwilę w milczeniu obok opiekuna; nagle wśród ciszy wieczornej ozwał się jej poważny melodyjny głos.

— Kochany stryju — rzekła — stan zdrowia tej biedaczki hrabiny naprawdę mię niepokoi... cóż myślisz o niej?

— Nic, kochane dziecię... Bogu dzięki, na nic się nie umiera.

— Właśnie znowu popadła była w długie, głębokie omdlenie, żem się prawdziwie złąła...

— To prawda... takie omdlenia zapewne niepokoją, ale jeżeli, jak tu, żaden narząd nie jest

chory, nie mają znaczenia. Serce hrabiny zupełnie zdrowe; chorobą jej całą jest niedokrewność.

— Ale kochany stryju, zdaje mi się, że niedawno gdzieś czytałam, że pewne wypadki niedokrewności smutny miewają koniec.

— Niezawodnie, zdarza się, że tacy chorzy podczas omdlenia nagle umierają; te wypadki jednak nader są rzadkie, a przy zdrowym rzeczywiciu stroju, jak u hrabiny, prawie niemożliwe.

— Ona zaś mówi, że już oddawna ma takie napady.

— Tak, już dawno cierpi biedaczka!... doznaje różnych wzruszeń... niepotrzebnie się trapi...

— Ale ciebie stan jej nie trwoży?

— Dotąd bynajmniej!

— To mnie cieszy, kochany stryju!

Przyszli do bramy La Saulaye i zniknęli w cieniu dużych brzóz płaczących.

W ostatnich dniach tegoż tygodnia przyjechało do Valmontiers na trzy lub cztery dni kilku znajomych z Paryża, których piękna pogoda zważyła na wieś. Na czele małej karawany była księżna Castel-Moret, stara przyjaciółka Bernarda i Aliety. Listy obojga zawiadomiły ją były o chorobie Joasi i cudownem uratowaniu dziecka, i zaledwie przybyła, zapragnęła poznać młodą sąsiadkę, której postać oryginalna z opisów była jej znana.

— Jak się ma wasza piękna żydówka — rzekła do Bernarda — czy jej nie obaczymy?

— Jaka żydówka, kochana księżno?

— Która pielęgnowała waszą córeczkę.

— Pani masz na myśli pannę Tallevant... ale ona nie jest żydówką.

— Nie?... wyobrażałam sobie, że nią być musi... prawdopodobnie myślałam o młodych żydówkach średnich wieków, które chodziły w turbanach, miały lekarską wiedzę i rannych rycerzy pielęgnowały. jak Rebeka w Ivanhoem... Ale czy żydówka, czy nie, bardzom jej ciekawa... czy będzie można ją widzieć?

Aby uspokoić życzenie księżny, posłano powóz do La Saulaye. Alieta dała woźnicy liścik do Dra Tallevanta, przepraszała go, iż mu już znowu zabiera bratanicę i dodała, iż życzy sobie zapoznać ją z kilku miłymi Paryżaninami.

Po południu przyjechała Sabina. Piękność jej i oryginalną i zajmującą postać goście podziwiali jak należało. Księżna nazwała ją »poważną Wenerą«.

Hrabina Vandricourt, która może przy pełnieniu obowiązków gospodyni zanadto się zmęczyła, na drugi dzień przy wstawaniu czuła się znowu bardzo osłabioną, musiała się zastosować do zlecenia Dra Raymonda i pozostać w swym pokoju. W ciągu dnia mogła przyjąć tylko męża, Sabinę i księżnę; ta jednak nie lubiła się nudzić, i dlatego przed wieczorem z towarzyszką swoją odjechała do Paryża.

Także Sabina zamierzała wrócić do domu, ale na wyjeźdnem Alieta wpadła w głębokie omdlenie,

kilka minut trwające, które Bernarda zatrwożyło. Usilnie prosił Sabinę pozostać w zamku i obawiając się nadużywać dobroci Dra Tallevanta, posłał po Dra Raymonda. Po ostatniem omdleniu znalazł on puls hrabiny nieco słabszym i nieregularniejszym niż zwykle, mimo to nie uważał stanu chorej za groźny i zalecił tylko częstsze użycie wzmacniających i uspokajających leków, które składały się z chinu, eteru i waleryany.

Następującego dnia wprawdzie Alieta znowu mogła wstać z łóżka, ale chwilowe mdłości powtarzały się i pozostawiały niepokój i głębokie przygnębienie; przed wieczorem jednak pojawiło się znowu zupełne omdlenie, z którego tylko z wielką trudnością można ją było obudzić. Gdy wróciła jej przytomność, kazała przywołać Joasię, której od wczorajszego nie widziała wieczora. Uśmiechnęła się do niej, kiwając z lekka zmęczoną głową, trzymała ją długo w objęciu i kiedy dziecię ze zdziwieniem spostrzegło łzy w oczach matki, rzekła:

— Baw się, drogie dziecię!

Bernard i Sabina, których dzielnie wspierała stara Wiktorya nieodstępująca chorej, zmieniali się dzień i noc przy jej łożu, z równem pielęgowali ją poświęceniem i udawali przytem zupełny spokój. Hrabia jednak nie mógł się pozbyć wzrastającej ciągle obawy, i szukał sposobności sam na sam pomówić ze Sabina.

— Czyś pani pewna — rzekł do niej — że nie jesteśmy w błędzie. Wprawdzie zupełnie ufam

dyagnozie Dra Tallevanta, ale nie można się mylić, że w Aliecie gwałtowna zaszła zmiana... twarz jej poprostu wykrzywiona... czyś pani nie zauważyła tego?

— Panie hrabio! — odrzekła Sabina — powiem znowu, co sama sobie ciągle powtarzam, iż przed dwoma dniami zapewniał mnie stryj, że żaden narząd w organizmie hrabiny nie jest chory, i że na to nikt jeszcze nie umarł.

Pozostawiła Bernarda w podwórzu, które głęboko wzruszony mierzył wielkimi krokami. Nagle ujrzał przy bramie proboszcza z Valmontiers, który widocznie spieszył i starą Wiktoryą, która u schodów zdawała się czekać na niego.

— Czyś ty posłała po proboszcza? — zapytał gniewnie.

— Ja, panie hrabio! — odrzekła patrząc mu w oczy.

— Czy żądała tego pani hrabina?

— Nie... ale bądź-co-bądź... ja widzę, że z panią hrabiną bardzo źle.

— Zabijasz ją, narażając ją na takie wzruszenie.

Nim Wiktorya mogła odpowiedzieć, stanęła Sabina na progu przysionka.

— Panie hrabio! — rzekła poważnie — proszę posłać jak najspieszniej po mego stryja.

Bernard rzuciwszy na nią przelotne, pytające spojrzenie, wydał krzyk przerażenia i załamał ręce; służący, któremu dał rozkaz, pobiegł do stajni.

Następnie hrabia Vandricourt zwrócił się do księdza.

— Proszę księdza proboszcza iść za mną. Ale pozwól mi najprzód żonę przygotować.

Proboszcz skłonił się.

Bernard poszedł do Aliety; w sypialni leżała na szeslongu i zdawała się drzemać. Przy wejściu męża otworzyła oczy.

— Kochane dziecko — przemówił i ujął jej bezwładną rękę — dopiero wyłajałem starą Wiktoryą... traci głowę... mimo zapewnienia lekarzy tak ją przeraziło dzisiejsze pogorszenie nieznacznego twego stanu, że posłała po proboszcza... czy chcesz z nim mówić?

— Tak... bardzo o to proszę!

Przy tem westchnęła ciężko i duże niebieskie oczy utkwiała z takim wyrazem rozdzierającego bólu, że mrowie po nim przebiegło i prawie mimowolnie zapytał ją głęboko wzruszony;

— Alieto, czy mnie już nie kochasz?

— Kocham cię... zawsze! — szepnęła biedaczka.

Nachylił się nad nią i długi wycisnął pocałunek na czole. Ujrzała, że mu stanęły łzy w oczach, czem zdawała się być bardzo zdziwioną. Bernard zaś odwrócił się ku drzwiom, skinął na proboszcza, czekającego na schodach i wyszedł z pokoju.

Przez śmiertelnie długą półgodzinę Bernard chodził po dużej sali samkowej i co chwila stawał

przy jednym z okien, wychodzących na podwórze. Sabina, blada i oniemiała siedziała przy małym stolicku, oparła na nim łokcie i swoim zwyczajem ukryła głowę w dłoni. Wzburzony hrabia Vandri-court wydawał chwilami niezrozumiałe i urywane wykrzyki.

— To być nie może!... z czego miałyby umrzeć?... grom z jasnego nieba!... nie! to być nie może!

— Trzeba czekać, co stryj powie — odpowiedziała Sabina spokojnie.

Stosownie do rozkazu hrabiego dano mu znać że proboszcz wyszedł z pokoju chorej. Bernard poszedł do niej, a z nim i Sabina. Alieta, głęboko zamyślona, nie zdawała się widzieć wejścia obojga, ale wzięła z rąk męża podane sobie lekarstwo. Wiktorya powiedziała mu, że na życzenie chorej wróci proboszcz z ostatnimi Sakramentami.

O siódmej godzinie przybył Dr. Tallevant. Skoro ujrzał Alietę przemknął mu po twarzy wyraz głębokiego przerażenia. Ale zaraz wróciła mu zimna krew, której zawód jego wymaga, podniósł ciężkie ramię hrabiny, dotknął nieznacznego prawie tętna, popatrzył na jej wybladłą twarz, na pół zamknięte oczy, nachylił się nad nią i przemawiał do niej łagodnie i czule jak do dziecka. Następnie odprowadził Bernarda do przyległego buduaru i ująwszy silnie jego rękę, rzekł:

— Przebacź mi, panie hrabio! straszne muszę ci uczynić wyznanie, że tu zawiodła mnie sztuka...

nie mogę już nic pomódz... dla żony twej nie ma ratunku.

Krzyk ozwał się w sypialni, potem dał się słyszeć głośny płacz. Hrabia Vandricourt wpadł do pokoju.

Alieta już nie żyła!

.....
Po godzinie zamieszania, w jakie popadł dwór cały, hrabia Vandricourt ocknął się nareszcie z bolesnej zadumy, w którą go pogrążyła nagła, niespodziewana katastrofa i zapytał Dra Tallevanta:

— Cóż właściwie było przyczyną śmierci?

— Porażenie serca — odpowiedział Tallevant i objaśnił po krótkce, że wprawdzie niedokrewność czasem może mieć taki koniec, ale że bywa to tylko we wyjątkowych wypadkach i przez naukę nie może być przewidziane. Jednakże, dodał, wiecznie będę sobie wyrzucał, że przy traktowaniu tak wątłego zdrowia i przy trosce o tak drogie życie nie byłem przygotowany na nieprawdopodobny, prawie niemożliwy wypadek.

Było już po jedenastej, gdy Dr. Tallevant z bratanicą pożegnali Bernarda. Powóz czekał ich przy schodach, Sabina usiadła obok stryja i oboje pogrążeni w myślach i nie przemówiwszy do siebie ani słówka, wrócili do La Saulaye. Powóz głucho objechał czarną sadzawkę i zatrzymał się przy drzwiach domku.

VIII.

Dr. Tallevant jak zawsze odprowadził pupilkę do drzwi jej pokoju, pocałował ją w czoło, uściśnął rękę i odszedł do swej sypialni.

Może w półtorej godziny potem, w mniemaniu, że Sabina już zasnęła, Dr. Tallevant wcale nie-rozebrany ostrożnie wyszedł na kurytarz i cichym krokiem zbiegł po schodach na dół. Świeca w ręce trzymana, blade rzucała światło na jego zmienioną twarz. Kroki obrócił do sali na dole, która była zarazem biblioteką i pokojem dla przyjęcia gości przeznaczonym, odsunął w jej drugim końcu ciężką portyereę i wszedł do laboratorium. Wprost poszedł do szafki w kącie, zawierającej trucizny i inne szkodliwe substancje, których używał do leków lub eksperymentów. Szafka miała ukryty zamek bez klucza, który tylko wtajemniczona osoba otworzyć mogła. Dr. Tallevant dotknął mechanizmu zamka, zdawał się trochę zwlekać, potem zaś silnym szarpnięciem otworzył drzwiczki a błądźcą zdradzająca przerażenie pokryła mu czoło. W rzędzie małych flaszeczek, które na górnej stały półce, na pierwszy rzut oka dostrzegł luki, i z drżących ust dobył się jak westchnienie okrzyk »akonit!«

Nagle usłyszał dochodzący go z kurytarza lekki szelest; zgasił światło i podsłuchiwał. Z przypierającego pokoju doszedł do jego uszu odgłos cichych kroków i szelest jedwabnej sukni. Szybko

przystąpił do drzwi i czekał. Sierp księżyca, białym światłem oświetlający noc pogodną, rzucał parę słabych promieni przez okno do laboratorium. Odsunęła się portyera i Sabina weszła. W tej chwili spoczęła na jej ramieniu ciężka ręka stryja.

Krzyk stłumiony dobył się z jej ust, a z bezwładnej dłoni z brzękiem wypadła flaszeczka na kamienną posadzkę, przerażona Sabina uciekła na powrót do sali, stanęła przy środkowym stole, oparła rękę na płycie stołu i w tej postawie czekała stryja, który szedł za nią.

Okna z biblioteki wychodzące na ogród, równie jak z laboratorium, nie miały okiennic, światło księżyca więc i tutaj rozlewało blade zmrok, w którym Dr. Tallevant na twarzy Sabiny dostrzegł wyrazu dzikiej namiętności.

— Nędzna!... tłumacz się! — zawołał przytłumionym głosem — Powiedz, żeś się pomyliła! Wszakże akonityna także jest lekarstwem... widziałeś, że często jej używam... byłaś nieostrożną... nierozważną... a bojąc się moich wyrzutów zamilczałaś, co się stało!... Nieprawdaż, że tak jest?... Mów!...

— Po co? — odrzekła z pogardliwym ruchem ręki — przecieżybys mi nie uwierzył... jak nie wierzysz temu, coś właśnie powiedział.

Biedny doktor padł na fotel, a głębokie jego wzruszenie objawiało się w półgłośnym monologu.

— Nie! — szeptał — to prawda, tak grubej pomyłki dopuścić się nie mogła!... aż nadto była

świadoma tego, co czyniła!... Z jaką to szatańską przewrotnością dobrała sobie trucizny, której skutki objawiały się jak symptomata choroby, z nimi się łączyły i wspierały, aż śmierć przyszła. Tak, zbrodni, haniebnej, dobrze obmyślanej zbrodni dopuszczono się na tej anielskiej osobie.

Po chwili zaś dodał:

— I ja dałem się tak haniebnie oszukać!

Potem znowu zwrócił się do Sabiny:

— Powiedz mi przynajmniej, że jej mąż jest twoim współnikiem... że on cię nakłonił do tej nikiemności!

— Nie! on nie wie nic o tem — odrzekła Sabina. — Kocham go i on mnie kocha, jestem tego pewna; oto wszystko!

Kilka minut siedział Dr. Tallevant milczący i zatopiony w myślach, i chociaż głos jego drżał, rzekł z wyrazem stanowczym:

— Sabino! jeżeli na jaką zbrodniczą liczysz słabość z mej strony, to jesteś w błędzie. Uważam za obowiązek oddać cię w ręce sprawiedliwości... i obowiązek ten choć bardzo ciężki, spełnię sumiennie.

— Jeszcze się dobrze zastanowisz nim to uczynisz — odpowiedziała Sabina lodowato, stojąc po drugiej stronie stołu. — Jeżeli mnie rzeczywiście oddasz sądom, a dla publiczności urządzisz takie widowisko, możesz być pewnym, że świat, i bardzo sprawiedliwie, we mnie uzna twoją uczennicę!

— Moją uczennicę, nędzne stworzenie? Czyżem inne zasady wpajał w ciebie, a nie te, któremi

sam się kieruję?... czy słowem lub przykładem nauczałem cię czego innego, a nie uczciwości, sprawiedliwości, miłości bliźnich i honoru?

— Zdziwiasz mnie stryju! Czyż twój jasny rozum nie naprowadził cię nigdy na myśl, jak łatwo z twoich zapatrywań i ze wspólnych studyów inne mogłam nauki i inne wnioski wyprowadzić? Drzewo wiadomości nie w każdej ziemi daje te same owoce. Mówisz o uczciwości, honorze, sprawiedliwości i miłości bliźnich... dziwisz się, że teorie, które ciebie tych cnót nauczyły, na mnie tego nie miały wpływu?... Przyczyna tego bardzo prosta! Wiesz dobrze jak ja, że te tak zwane cnoty w rzeczywistości są tylko przymiotami upodobania... instynktami, przesądami, które wkłada na nas przyroda, potrzebując ich do utrzymania i poparcia dzieła stworzenia. Ty chętnie poddajesz się tym instynktom... ja zaś nie mam ochoty... w tem się różnimy.

— Ale czyżem ci nie mówił i nie powtarzał tysiąc razy, że poddanie się tym przyrodzonym, boskim prawom jest naszym obowiązkiem, naszym zaszczytem i szczęściem?

— Prawda! mówiłeś mi i w to sam wierzysz... ja jednak przeciwnego jestem zdania... że obowiązek i honor każą nam buntować się przeciw tej niewoli i poszarpać pęta, włożone na nas przez naturę, albo jeżeli wolisz, przez Boga. Mają nas zmusić, iść przeciw upodobaniom, dla jakiegoś nieznanego celu, pracować nad dziełem, które nas nic nie

obchodzi. Wprawdzie mówiłeś mi i powtarzałeś nieraz, że nie tylko uważasz za obowiązek, ale nawet czujesz prawdziwą rozkosz, przez pracę i cnoty przyczynić się choć w skromnej mierze, do jakiegoś tam boskiego dzieła, do osiągnięcia jakiegoś wzniosłego, ukrytego celu, do którego cały świat zmierza. Ta rozkosz wcale mnie nie wabi i zapewniam, że nie mam zgoła ochoty, przymuszać się przez całe życie, zaprzeć się i cierpieć, aby dla jakiegoś tam pokolenia w przyszłości zgotować szczęście, którego nie zakosztuję, doskonałość, z której nie będę miała pożytku i raj, do którego nie wejdę.

Wśród głębokiego wzruszenia, jakie opanowało ją w tej chwili, mowa jej zrazu spokojna i chłodna, powoli stawała się ognistą i wzmogła się aż do egzaltacji. Opuściła także pierwsze swe miejsce, powolnym krokiem przechadzała się od jednego kąta do drugiego i niekiedy przystawała, aby słowa poprzeć energicznym gestem. Dr. Tallevent, nieruchomo siedząc we fotelu, czasem przerywał jej krótkim gniewnym wykrzykiem i wzrokiem przerażonym wodził za przesuwającą się postacią, która to nikła w ciemności, to znowu wynurzała się w bladym świetle księżyca, przeciskając się przez okna.

— Wszystko ci powiem — ciągnęła dalej — nudziłam się śmiertelnie, nudziła mnie przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Myśl sama, że mam spędzić tak całe życie, zgarbiona nad twemi książkami i retortami, nie mając innej rozrywki prócz nadziei

jakiegoś tam udoskonalenia rodu ludzkiego w przyszłości, myśl ta gniotła mnie jak zmora. Taka egzystencja chyba tych zadowolili, którzy jak ty mogą tylko mają, ale nie zaspokoi tych ludzi, którym nerwy drgają pod skórą, krew kipi w żyłach a namiętności gorą w sercu. Jestem kobietą i posiadam wszystkie zachcenia i namiętności kobiet, może nawet w wyższym stopniu niż inne, bo nie mam przesądów, które inne kobiety wstrzymują. Już dawno marzyłam i tęskniłam za gorącą miłością i za życiem we wielkim świecie, pełnem blasku i rozkoszy; czułam się stworzoną do takiego życia, a zamiast tego miałabym wszystkiego się wyrzec? Na cóż mi się zdała duchowa niezawisłość, na co wszystkie nabyte wiadomości, jeżeli nie mają wesprzeć moich zamysłów, służyć za broń mojej ambicyi?... Wreszcie nadarza się sposobność: spotyka mnie mężczyzna, którego kocham, wiem że on także mnie kocha i ożeniłby się ze mną, gdyby był wolnym... zrobiłam tedy, co potrzeba... Nazywają to zbrodnią, ale cóż mi zależy na nazwie?... bo cóż jest dobrem a co złem? co jest prawdą a co fałszem? Wszakże sam wiesz najlepiej, że dziś moralność ludzkości jest tylko białą kartą, którą każdy wedle upodobania tak wypełnia, jak to odpowiada jego stopniowi wykształcenia i temperamentowi. Każda jednostka ma własny katechizm... mój zgadza się z tem, co mię przyroda na swoich wyuczyła przykładach. Co jej niewygodne pozbywa się ta egoistka z całym spokojem; usuwa, coby jej krok tamowało

i zabija słabego, aby zrobić miejsce dla silnego. Wierzaj mi, zdawien dawna była to doktryna ludzi silnych. Zawsze mówiono: poczciwi wymierają... Nie! słabi wymierają, bo muszą, a kto koniec ich przyspiesza, w gruncie rzeczy pomaga Bogu... czytaj Darwina, kochany stryju!

Ale ten, do którego skierowała szydercze to wezwanie, już nie słyszał. Obróciwszy się do niego spostrzegła, że ciało pochyliło się naprzód, a głowa nieruchomo spoczęła na stole. Nie mógł znieść gwałtownego wstrząśnienia, którego mózg i serce zarazem doznały. Całe jego życie duchowe, wiara, otucha, siła duszy i ciała runęły pod tym ciężkim ciosem. Sabina była dlań nie tylko ukochaną towarzyszką i narzeczoną... przy oryginalnej swej piękności była dlań niejako wcieleniem jego religii filozoficznej; w niej ukochał i wielbił to, co w życiu najwyżej cenił, a skoro pod tą piękną, ubóstwioną maską ujrzał potwora, zgasł jego duch i życie — zabił go paraliż.

Nie wiemy, co w tej chwili pomyślała i uczuła młoda dziewczyna, która wśród niejasnego rozumowania nie mogła znaleźć związku z ludzkością i życiem. Ale gdy po pierwszej chwili przerażenia położyła dłoń na zastygłe serce człowieka, który ją od lat wielu obsypywał dowodami miłości i dobroci, padła na kolana i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Po chwili porwała się ze ziemi, otarła łzy i zdawała się nad czemś myśleć. Potem poszła do

laboratoryum, podjęła leżącą jeszcze na posadzce flaszczkę, postawiła ją na właściwe miejsce w szafce i wreszcie nie przerywając głębokiej ciszy przebiegła schody, prowadzące do jej sypialni.

O świcie niezwykle ruch w dolnych pokojach, bieganina i okrzyki przerażenia zdradzały smutne odkrycie. Wkrótce wpadła do sypialni pokojowa z okropną wieścią. Sabina zeszła na dół, i nad martwymi zwłokami opiekuna wylała kilka, może nawet szczyrych łez.

Drowi Raymondowi, który sprawdził udar sercowy jako przyczynę śmierci, opowiedziała Sabina, że poprzedniego wieczora w bibliotece zostawiła stryja, bardzo zmartwionego i wzruszonego śmiercią hrabiny Vandricourt. Gorzkie czynił sobie wyrzuty — dodała — że przez brak przezorności przyczynił się może do tego smutnego wypadku, i że ją przejął okropny lęk, gdy go widziała tak bez miary zmartwionego wypadkiem. Dr. Raymond z tego wszystkiego wnosił, że Tallevant, nadmierną pracą wycieńczony i osłabiony, uległ skutkom gwałtownego i nagłego wzruszenia — i to orzeczenie rozpowszechniło się zaraz w całej okolicy i wszędzie znalazło wiarę. Oba wypadki nagłej śmierci skombinowano ze sobą i jeden tłumaczono drugim.

Iżby przyczyną śmierci hrabiny była jaka zbrodnia, nigdzie nie przypuszczano, bo rzeczywiście nie było potemu powodu. Wszakże Alieta przeszło od pół roku chorowała i coraz bardziej ze sił opadała. Choroba jej na pozór normalny miała prze-

bieg, a ostatnie ataki, wśród których umarła, niczem się prawie nie różniły od dotychczasowych objawów słabości. Ze szatańską przebiegłością wybrana była trucizna, która miała ją zabić, i tak ostrożnie była jej zadawana, że skutki zdawały się tylko pogorszeniem dawnego stanu. Tylko bystry wzrok i nauka Dra Tallevanta zdołałaby może wykryć truciznę... może, bo wiadomo, że ze wszystkich trucizn roślinnych, które w ogóle nie łatwo wyśledzić może naukowa analiza, akonit tak zewnętrznie jak wewnątrz ciała ludzkiego najmniej pozostawia śladu.

Sabina Tallevant jako dziedziczka stryja, z matką swą pozostała w Saulaye — Bernard zaś oddawszy ostatnią żonie posługę, wyjechał z córeczką do Varaville. Kilka tygodni spędził u rodziny Aliety i z nimi razem opłakiwał stratę. Żal jego był szczery, bo jakkolwiek ciężkie miał w małżeństwie pożycie i nieraz przeklinał dzień, który go związał z kobietą, tak zupełnie odmiennych pojęć i skłonności i jakkolwiek głęboka była namiętność, która go od niej ciągnęła do drugiej osoby, toż jednak — osobliwie w pierwszych tygodniach — na samą myśl, że jej już niema, nie mógł się oprzeć głębokiemu smutkowi, w którym przeważało uczucie litości.

Z jesienią pojechał Bernard do Anglii do tamtejszych krewnych rodziny Courtcheuse, u których zajęty polowaniem i przejażdżkami zabawił aż do połowy zimy. Wróciwszy do Francji, znowu jakiś czas przepędził we Varaville przy córeczce i wreszcie,

po raz pierwszy od owdowienia udał się do Valmontiers. Od czasu wyjazdu nie widział się ze Sabina, ale z Varaville napisał do niej, przesyłając jej wyrazy współczucia z powodu śmierci stryja. Krótką i delikatną jak list jego była i odpowiedź; później, już z Anglii, napisał do niej dwa lub trzy razy z większą serdecznością i powoli powrócił do owego sposobu przekomarzania się, jednakże nigdy najlżejszej nie uczynił wzmianki o owej tkliwej scenie, która się odbyła między nimi na parę dni przed śmiercią Aliety.

Gdy obaczył się ze Sabina, była jeszcze w ciężkiej żałobie, która podnosiła jej oryginalną piękność, tę ponurą a namiętą piękność, której obraz towarzyszył mu do Anglii, i coraz bardziej zacierał wspomnienie o biednej nieboszczce.

Mimo to zwlekał jakiś czas, nim uczynił krok, który zdaniem jego był nieunikniony. Coś nieokreślonego buntowało się w nim przeciw związkowi ze Sabina, chociaż wmawiał w siebie, że po zejściu w lesie i po uczynionem jej wówczas wyznaniu miłości zmuszają go obowiązek i honor, ofiarować jej, skoro jest wolnym, swoją rękę. Zresztą był młodym i musiał się ożenić, a czyż po smutnych doświadczeniach pierwszego małżeństwa — mógłby paść wybór jego na inną, a nie na tę niepospolicie wychowaną dziewczynę? W niej nie potrzebował się obawiać ani przedwczesnego zepsucia pańien wielkiego świata, ani też ciasnego widnokągu wy-

chowanej we wzorowych zasadach religii; wszakże w niej łączyły się, zdaniem jego, wysokie ukształcenie umysłu i stałe zasady uczciwego mężczyzny.

Przedewszystkiem zaś wiedział, iż ją mógł pojąć tylko jako żonę, i posiadanie tej dumnej, dzielnej, trochę dzikiej niewiasty stało się powoli gorącym, jedynym jego życzeniem.

Mimo to minęła rocznica śmierci Aliety i Bernard dopiero w czerwcu pojechał do Varaville, pani de Courtchouse wyjawić swe zamiary. Przekłócił jej, że nie ma syna, i dlatego uważa ożenienie się jako obowiązek względem swego imienia i pamięci stryja; panna Tallevant zaś nietylko jest rzadką, przez naturę bogato uposażoną kobietą, ale przedewszystkiem ceni ją wysoce ze względu na poświęcenie, którego dowody dała żonie jego i córce. Chcąc złagodzić wyrządzoną może matce Aliety przykrość, okazał się gotów zostawić jej Joasię i prosił tylko, aby mu wolno było jak najczęściej odwiedzać ją we Varaville. Rozłączenie z córką, tak bardzo ukochaną, za ciężką uważa ofiarę, ale za ofiarę, którą z rezygnacją i prawie wbrew swej woli czyni biednej matce, która nie może już czuwać nad dziećciem.

We trzy miesiące później Sabina Tallevant została żoną Bernarda, a objechawszy rozmaite kraje Europy wrócili oboje do Paryża, gdzie zajęli wspólnie mieszkanie na Polach Elizejskich.

.

Po dwu blisko latach pożycia ze Sabiną hrabia Vandricourt znowu wziął pióro do ręki, i do swego tajemnego; od tak dawna przerwane go dziennika dodał następujące karty.





CZEŚĆ TRZECIA.

Dziennik Bernarda. (Ciąg dalszy).

Paryż, w lutym 188.*

Bieg mego życia, w każdym razie rzadki w dziejach naszych dni, już jako widza bardzoby musiał mnie zająć, cóż dopiero kiedy sam główną odgrywam w niem rolę. Jak przed laty dziesięciu, tak i dziś nadeszła ważna w mem życiu chwila, przesilenie, którego zabawne szczegóły skłaniają mnie do analizy doznawanych wrażeń. Może też — w dojrzałym teraz wieku — potrafię nawet na tych kartach złożyć niektóre cenne owoce filozoficznych rozmyślań.

Dwa tylko słowa powiem o smutnej przeszłości, o której zawsze wspominać będę z winnym dla zmarłych szacunkiem. Nie byłem szczęśliwym w pożyciu z pierwszą żoną i ona też nie była ze mną szczęśliwą. Ja sam nie mogę pozbyć się przykrego przeświadczenia, że młode jej życie złamały troski... a mimo to, jakież mogę sobie czynić wyrzuty? Ona miała wiarę, ja zaś nie — cóż zresztą nas dzieliło? Moim jedynym było grzechem, żem

nie przewidział skutków związku między dwoma osobami, pojmującemi życie z wręcz przeciwnych stanowisk. Jeżeli jedno uważa je za dar boży, drugie zaś za dar losu — jedno jako czas próby, coś w rodzaju przedmowy, drugie zaś jako dożywocie, jako przygodę bez dalszych następstw, to i życie samo musi być różne.

Ale dajmy temu pokój!

Jak pierwsza żona często mnie męczyła, tak druga sprawia mi rozmaite miłe niespodzianki. Pobożnością (że użyję pospolitego wyrażenia) nie bardzo grzeszy, ale za to tem więcej uczonością. Niesłuchanie dużo uczyła się, ale wątpię, czy wszystko należycie mogła przetrwać. Jako dziecie swego czasu czytałem a przynajmniej przerzuciłem wielu naszych nowszych pisarzy, aby mózgiem podążyć za jej filozoficznymi teoryjami, ale mi się zdaje, że ich nadużywa i we wnioskach swoich posuwa się trochę za daleko. Na wszystko, cokolwiek zrobi albo zaniecha, dla każdej skłonności swej lub wstrętu ma nakowe powody. Jeszcze na łożu śmiertelnem śmiać się będę, jeżeli przypomnę sobie jej przemowę wkrótce po ślubie, kiedym jej powiedział, jak gorąco pragnę mieć syna.

— Ja tego nie pragnę wcale, kochany Bernardzie — odrzekła. — Obowiązek macierzyństwa także należy do owych więzów, na które skazuje nas przyroda dla swoich celów, to jest w celach dzieła stworzenia. Ale wiesz, że ja buntuję się przeciw takim prawom przyrody, bo moja jest zasada,

i jeżeli się nie mylę także twoją, użyć jak najwięcej rozkoszy życia, a dolegliwości unikać... to też stanowczo nie chcę być matką. Powiesz może, iż takie pojęcia uczyniłyby niemożliwem istnienie ludzkości. Na to jednak odpowiem, że mi to zupełnie obojętne. Wyłącznym celem przyrody jest utrzymanie rodzaju, o jednostkę nie troszczy się. Ja zaś nietylko nie troszczę się o indywidua, ale także o rodzaj.

I z całym wdziękiem kobiety i czarującym uśmiechem, który uwydatnia dołki na twarzy, dodała:

— Zresztą, kochany Bernardzie, obowiązki matki są grobem piękności... a że uważasz mnie za piękną, chcę nią pozostać.

Co prawda, dotąd jest piękną, ale obawiam się, że nietylko dla mnie samego. A że teraz więcej niż kiedykolwiek staram się na wszystkie sprawy tego świata patrzeć ze strony zabawnej, to i do tego tematu, chociaż tak drażliwy, przystępuję ze śmiechem na ustach.

Po podróży poślubnej, podczas której, wyznać muszę, często miałem sposobność podziwiać dowcip Sabiny i szybkie jej oryentowanie się, osiedliśmy w Paryżu, dokąd z żywym wróciłem zadowoleniem. Martwiłem się tem jedynie, że może Sabina tylko dla mnie zdecydowała się tam mieszkać i że tylko z trudnością przywykać będzie do paryskiego życia, z którym nie zgodzi się jej samotne, poważne życie przeszłe. W tej mierze jednak czekały mnie

niespodzianki, które mnie zrazu bardzo cieszyły. Od pierwszej chwili Sabina obracała się w towarzystwie paryskim, jak w przyrodzonym swym żywiole. Wkrótce nawet nasuwała mi się uwaga, że z nadmiernym zapałem rzuciła się w to życie. W myśli porównywałem ją do zakonnicy, która uciekwszy z klasztoru stara się odrobić to, co zaniedbała, i zakazane owoce, których tak długo pragnęła, łaskomie pożera. Przypomniałem sobie (oczywiście trochę zapóźno), jak ciekawie panna Tallevant podczas naszych przechadzek po lesie wypytywała mnie o rozkosze i rozrywki szczęśliwych Paryżan. Otóż teraz zakosztowała i ona tych rozkoszy i rozrywek, i z taką poświęciła się im namiętnością, jakby je chciała we wszystkich kierunkach gruntownie poznać. Z niestrudzonym zapałem szukała obiadów, balów, widowisk, wyścigów, teatrów amatorskich, towarzyskich zabaw, słowem wszystkiego, co w paryskim życiu podnieca ducha i schlebia zmysłom i próżności, a umiała wszystkiemu podołać i dotąd to umie. Ale nie działało się to u niej z tą szaloną gorączką jak u zwykłej Paryżanki, owszem objawiało się wszędzie systematyczne dążenie, podczas pobytu na tym padole płaczu poznać i użyć wszystkiego, co ziemia przyjemnego i interesującego dać nam może, a to dążenie wspierały stalowe jej nerwy i żelazna wola. Żona moja jest sfinksem, albo dokumentem, który już od pierwszych dni naszego małżeństwa silę się odczytać, ale do tego usiłowania, wyznać muszę, przyłącza się

pewna obawa. Wkrótce bowiem poznałem, że ta dziwna kobieta, zamiast przez studia i wiadomości dojść do wzniosłej wiary, mistycyzmu szlachetnego a nieszczęśliwego opiekuna swego, znalazła w nich tylko gorzkie owoce skeptycyzmu i negacyi, jako też pogardę i bunt przeciw wszelkiemu bądź zmysłowemu bądź nadzmysłowemu ograniczeniu, przeciw każdemu prawu, czy to ludzkiemu czy boskiemu. Zadawałem sobie pytanie, dokąd nieokiełzana namiętność kobiety, poparta jej szaloną logiką, zaprowadzić może? zapytywałem, gdzie się zatrzymają jej nienasycone pragnienia, i czy poprzestanie na mojej miłości?

Na to pytanie żona sama dała mi odpowiedź bez owijania w bawełnę.

Powodem do tej odpowiedzi była bardzo drobna okoliczność. Dawano po raz pierwszy sztukę, w której Sara Bernhardt miała wystąpić, i żona, nienawykła do opuszczania takich uroczystych okazji, poleciła mi, jak zawsze postarać się o łożę na to przedstawienie. Ale to mi się nie powiodło, bo zresztą, wyznać muszę, nie wiele zadawałem sobie trudu. Moja żona dzień i noc, ciągle w gorączkowym jest ruchu, tak, że nawet ja, stary wyga, który niejedną noc przehulałem, poczynam czuć jakieś zmęczenie, a nawet radził mi lekarz niekiedy się trochę umiarkować. To też byłem kontent, że mogłem jeden wieczór spędzić w domu, zwłaszcza w towarzystwie żony, której demoniczna piękność, mimo wszystkich sztuczek — albo może właśnie

dla tych sztuczek — jeszcze ciągle rozpala moje fantazyę.

Po obiedzie, przy którym siedziała zła i milcząca, poszedłem za nią do buduaru, gdzie ogień na kominku zachęcał do miłosnego gruchania, podałem jej uprzejmie cygaro, i zapytałem:

— Dziś wieczór wszakże już nie wyjdiesz, kochana Sabino?

— Gdzież pójdę? Cały Paryż w teatrze, tylko ja nie!

— Tém lepiej! — odrzekłem — we mnie cały Paryż nie budzi ani odrobiny zazdrości, mnie zaś cały Paryż musi zazdrościć, gdy jestem przy tobie.

Rzuciła się na szeslong, potem podniosła się i zmierzyła mnie dumnym, zimnym wzrokiem.

— Daruj, kochany Bernardzie! — zapytała — czy ty mnie może kochasz jeszcze?

Wypatrzyłem się na nią.

— Więc się nie mylę? — ciągnęła dalej — to mnie zadziwia, bo ja już nie Kocham cię.

Mówiąc to, spokojnie oparła się na szeslong i dodała:

— Wyznaję to, mój drogi, bo od niejakiego czasu spostrzegam, iż stajesz się zazdrosnym, a chciałabym cię uleczyć z tej śmieszności. Także spostrzegłam, że trudzisz się za mną jak cień; nawet mi się zdaje, że to szkodzi twemu zdrowiu. Po tem otwartem oświadczeniu mojem, może zechcesz, jak się spodziewam, nie zadawać sobie tyle trudu.

— Bardzo ci dziękuję za twoją dobroć! — od-

parłem — ale cię proszę o niektóre wyjaśnienia. Czy to, coś właśnie powiedziała znaczy, że na przyszłość mam się wyrzec dowodów twej miłości?

— Tak! właśnie o to chciałam cię prosić!

— Czy także chciałaś przez to powiedzieć, że odtąd zamierzasz odmówić mi winnej wiary małżeńskiej?

— Winnej wiary małżeńskiej? — powtórzyła — jakto? czy ci jestem ją dłużna?... Czy może na mocy przysięgi, którąśmy złożyli u stóp ołtarza Boga, w którego równie jak ja nie wierzysz? Tyś nie dziecko, kochany Bernardzie i wiesz, że wówczas szło nam tylko o załatwienie formalności, przez przyzwoitość nakazanej. Gdy świat, na razie przynajmniej, przyzwala na korzyści małżeństwa tylko pod warunkiem poddania się tym formalnościom... i dopiero kiedy się to już stało, otwiera nam swe salony, daje nam stopień i stanowisko, musieliśmy się na nie zgodzić. W gruncie rzeczy jednak przyznasz sam, mój drogi, że małżeństwo między takimi jak my osobami jest jedynie spółką, w której pewne wspólne korzyści mają być osiągnięte. Być może, iż zawiera się je czasem pod wpływem wzajemnej skłonności, ale nigdy nie powinno się jej zasadać na sprzecznym z naturą i niedorzecznym pojęciu o wiecznej miłości mężczyzny do tejże samej kobiety i pewnej kobiety do tegoż samego mężczyzny.

— W twojem towarzystwie, kochana Sabino, niepodobna się nudzić! — odrzekłem. — Mężczyzna

moich lat czasem się zdrzemnie przy kominku; ale póki ty, moja droga, zaszczytasz mnie takimi zabawnymi oświadczeniami, nie ma dla mnie takiego niebezpieczeństwa.

— Bardzo mnie cieszy, drogi Bernardzie, iż moje oświadczenia przyjmujesz tak rozsądnie; głupiec by się pogniewał. Zresztą przyznam ci, że wyraziłam się nie bardzo względnie... ale dzisiaj zawód podrażnił mnie... Twoja w tem wina! bo na cóż mnie tak rozpieściłeś?

— Czy wolno mi tedy twe zapatrywania, dopiero co wypowiedziane, uważać za żart?

— Nie, mój kochany, wcale nie!... nic zgoła nie cofam... tylko wyrazy trochę były za ostre... co się tyczy rzeczy samej, to wątpić nie możesz, żem ci powiedziała prawdę, i że małżeństwo musi być dla nas tem, czem było dla wolnomyślącego wieku zeszłego, to jest szanowaną chorągwią, pod której osłoną każdy zapewnioną ma osobistą wolność. Jesteśmy przyjaciółmi i mam nadzieję, że ciągle nimi będziemy... ale kochankami?... do czegoż to podobne? czy to możliwe?... Nie! a więc jak nam dalej postępować?... wzajemnie się oszukiwać, grać nędzną komedią?... Nie! jedna tylko jest droga, jedynie rozsądna i uczciwa: dalej korzystać z przywilejów, które nam daje małżeństwo wśród towarzystwa, a jednocześnie używać wszystkich dogodności swobody. Wierzaj mi, że prawdziwa sztuka życia polega na tem, abyśmy się zachowywali względem społeczeństwa, jak względem

przyrody, t. j. abyśmy przyjmowali korzyści, jakie nam ono daje, a zrzucali jarzmo, które na nas chciałoby włożyć.

— Moja droga — odparłem — zanadto wiele strawności przypisujesz memu żołądkowi, jeżeli przypuszczasz, że codziennie zdoła strawić twoje teorie w »jarzmie przyrody«. Zanadto jestem sobie prostym człowiekiem, abym mógł podjąć walkę przeciw twej niezmiernej uczoneści. Pozwól mi tedy ucałować twą rączkę i przyjm życzenie dobrej nocy.

Z tem odszedłem, i jak sądzę, mogę twierdzić, że mój odwrót wśród tak twardych warunków, był rozsądny i pełen godności. Mimo to nie bardzo jestem zeń dumny.

Jaką była nasza rozmowa owego pięknego wieczora, taką też pozostała. Z obu stron objawia się tajona nieprzyjaźń, mogę nawet powiedzieć kielkuje już nienawiść, na razie trochę ukryta pod osłoną delikatnej ironii. Mimo to — dzięki towarzyskim wymogom, które nasze pożycie ograniczają do minimum — jeszcze nie stało się ono niemożliwym. Ale też nie mogę się pozbyć upartej obawy, że drugie małżeństwo równie będzie nieszczęśliwe, jak pierwsze — może nawet nieszczęśliwsze. Tą razą przynajmniej tę mam satysfakcją, że widzę przed sobą dobrze uzbrojonego przeciwnika — a nie delikatne, czułe stworzenie, dla którego dotknięcie zdawało się już być srogością... Jeżeli już nie można uniknąć walki w małżeństwie, to uprzyjemnia ją przekonanie, iż się walczy przeciw równej sile

przeciwnikowi. To nas umacnia, podnieca, a chociaż, przyznać trzeba niema w tem szczęścia — jest przynajmniej życie.

30 marca.

Wczoraj wieczór ubawiłem się wybornie... Ale muszę wszystko po kolei porządnie opowiedzieć.

Wobec otwartego oświadczenia mojej żony byłem przygotowany na walkę nie o życie, ale o honor. Napróżno siliłem się wmówić w siebie, że nasi poczciwi przodkowie rozsądniej postępowali, wybacząc sobie drobne uchybienia małżeńskie, a nawet z nich się nawzajem zwierając. Jakkolwiek już niejednego pozbyłem się przesądu, do tak wysokiej filozofii wznieść się nie mogę... Mimo to przyznać muszę, że teorye mojej żony o małżeństwie i wierności według zasad logiki są trafne. Słusznie powiada, że wieczna miłość mężczyzny do tejże samej kobiety i odwrotnie jest przeciwną naturze i niedorzeczną. Tylko wiara w nieśmiertelność, w przyszłe życie każdej jednostki może małżeńską wierność uczynić trwałą; albowiem małżeństwo, zawarte w tej wierze, nie jest już doczesnym związkiem dwóch ciał i usposobień, ale wiecznem połączeniem dwojga dusz... Także nie można zaprzeczyć, że małżeństwo między takimi jak my zwolennikami materyalizmu, pozbawionymi wszelkiej podstawy religijnej, jest tylko tradycyjnym zwyczajem, że byłoby rozsądniej, gdyby się

małżonkowie po dobremu zgodzili na używanie korzyści takiej spółki, i na porzucenie połączonego z tem przymusu. Tak, to wszystko w teorii, ze stanowiska nauki nader jest trafne — ale zdaje mi się, że naukowe uzasadnienie nie może stanowczo rozstrzygać o wszystkich stosunkach życia, a szczególnie o kwestiach etyki. Co się mnie tyczy, to rzeczywiście przed czternastu jeszcze dniami przy pomocy logiki zdecydowałem się uznać słuszność teorii żony, i postanowiłem dowieść równie filozoficznego pojmowania życia, i zgodzić się na proponowany przez nią układ co do wzajemnej wolności. Skoro jednak otworzyłem usta, aby jej to postanowienie objawić, uwięzły mi słowa w gardle, bo wbrew wszelkiej logice czułem, że zamierzam podłą popełnić nikczemność. Są zatem przesady, których się nigdy nie pozbędę, i tak w niektórych względach słabą pozostanę już głową.

Wczoraj wieczór u starej księżny przedstawiano żywe obrazy. Moja żona, której plastyczna piękność nadaje się bardzo do takich reprezentacyj, także kilka ról przyjęła. Od pewnego czasu nie idę już ze Sabiną w towarzystwa jak dawniej, ale czasem pokażę się, aby zachować pozory przyzwoitości, i wiedzieć, co się dzieje... Po uprzejmych jej wzmiankach nie mogłem wątpić, że jakaś miłośćka jest w toku, i naturalnie starałem się odkryć przedmiot tejże — co zresztą nie wiele nastęrczało trudności... Ponieważ w mojej żonie byłem bardzo zakochany, za co zasłużoną odpłaca pogardą, mniema,

że wobec mnie nie potrzebuje sobie żadnego zadawać przymusu... Do pewnego zagranicznego poselstwa w Paryżu należy pewien młody książę niepospolicie przystojny, którego serdeczność względem hrabiny Vandricourt dla nikogo nie jest tajemnicą... Spotkania w lasku bulońskim, w teatrze, na balach, a nawet przy moim stole tak powtarzały się często, że nie mogły ująć uwagi... nawet męża. Jednakże zdawało się dotąd — o ile sąd mój w takich sprawach może być trafny — że stosunek obojga nie wyszedł po za granice kokieterii. Dla mnie bez względu na moją zazdrość książę jest wstrętny: duży brunet z żabiemi oczami na wierzchu i długim siwiejącym wąsem, którym szczególnie się pyszni; stereotypowy uśmiech, który go czyni podobnym do baletniczek, odsłania piękne zęby — jednym słowem jawna zeń przemawia próżność.

I on figurował w kilku żywych obrazach, a piękna jego postawa, wspaniałe kostiumy, z pod pięknego wąsa błyskające białe zęby, wszystko to wywoływało powszechny zachwyt. Nakoniec wystąpił z moją żoną w obrazie z dwu osób: Judyta i Holofernes. Po podniesieniu zasłony przedstawił się oczom widok Judyty, trzymającej miecz w jednej ręce, a drugą opartą Holofernesa i nad nim pochylonej dla przekonania się o jego śnie. Oboje wyglądali znakomicie: tak moja żona, której białe ramię ślicznie odbijało od skóry niedźwiedziej na łożu, podczas gdy dziki jej wzrok spoczywał na

obliczu ofiary — równie jak księżę z dużymi złotymi kolcami w uszach, z długą, wedle asyryjskiego zwyczaju splecioną brodą i z uśmiechem słodkiego uśpienia na wpółotwartych ustach. Żądano powtórzenia obrazu.

Znajdowałem się za kulisami, zajęty jako reżyser. Z tego uprzywilejowanego miejsca, gdy zasłona spadła, widziałem — a może było to złudzenie — że twarz Judyty, która już w obrazie nachylała się ku Holofernesowi, nachyliła się jeszcze niżej.

W kilka minut potem nadarzyła mi się sposobność odwdzięczenia się księciu. Trzeba mu było odjąć asyryjską brodę, kunsztownie rozmaitymi sznurkami przymocowaną. Usłużnie chwyciłem za nożyce, przeciąłem sznurki, i przytem tak byłem roztargniony czy nieostrożny, że mu go połowy długiego wąsa pozbawił. Przepraszałem go, ale z połową wąsa tak komicznie wyglądał, że nie mogłem się wstrzymać od głośnego śmiechu. Mego przeproszenia nie chciał przyjąć; dziś rano tedy biliśmy się w Meudon, i wpakowałem mu szpadę pod łopatkę. Publiczność bawi się tą historią, ale żona moja zdaje się dość rozdrażnioną.

10 kwietnia.

Wszystko po dawnemu! Domowe nasze życie, jak dotąd, miłe, a jeszcze miłszem je czyni wzajemna ufność. Moja żona z właściwym sobie,

budzającym obawy niepokojem obmyśla zemstę. Przy obiedzie we dwójkę patrzy na mnie wzrokiem, który wcale za czuły uchodzić nie może; ja zaś mało na to uważam, owszem staram się, zwłaszcza wobec niej, zachować niewymuszoną wesołość, i tak dalece już postąpiłem, że już jej nie kocham. Jej pedantyczny cynizm, jej na powodach oparte zepsucie, budzą we mnie wstręt i pozbawiają ją kobiecego wdzięku. Oprócz tego nie taję przed sobą, że jej nieokiełzane namiętności, jej żądze nie znające granic i niedojrzałość sądu zgotują mi jeszcze tysiące miłych niespodzianek, na które może szpada moja nie wystarczy. Tymczasem zawiązała poufałą przyjaźń z pewną Rosyanką, o której nie najlepiej mówię. Wyznać muszę, że przewybornym był mój pomysł, kiedyś powierzył tej osobie mój spokój, moje imię i moją cześć.

20 kwietnia.

Pod pozorem koniecznych reparacyj pojechałem na ośm dni do Valmontiers, aby odetchnąć tu świeżem powietrzem.

Wskutek mego polecenia sypialnia Aliety od chwili, kiedy wywieziono trumnę z jej zwłokami, była dotąd zamknięta. Ja sam dziś po raz pierwszy wszedłem do tej sypialni, z której dotąd nie uleciała woń jej ulubionego pachnidła. Biedna Alieto! dlaczegoż nie mogłem zaspokoić twych gorących pragnień, dzielić z tobą twej wiary, i zasklepić się

w czystym, spokojnem życiu, do którego tak tęskni-
łaś? Obok życia, które dziś pędzę, twój obraz wy-
daje mi się rajem.

Jakie sceny rozgrywały się tu w moich oczach!...
wspomnienie!... Wyraźnie widzę jej ostatnie spoj-
rzenie, które utkwiała we mnie — był to wzrok
przerażenia... a potem jej nagła śmierć i pomię-
szanie biednego Dra Tallevanta.

Zamieszkałem w tym pokoju, ale nie pozo-
stanę tu długo, bo na parę dni pojedę do Vara-
ville. Tęsknię za córką, za jej lubą anielską twa-
rzą.

Valmontiers, 22 kwietnia.

Jakże świat zmienił się od lat mego dziecięc-
stwa, a nawet od lat młodzieńczych! Duchowa atmo-
sfera, w której żyjemy, w tym krótkim czasie stała
się zupełnie inną. Wówczas był dla nas Bóg spra-
wiedliwym dobrym ojcem. Żyliśmy pod jego opieką,
jak pod opieką ojcowską, w bojaźni, ale pełni otu-
chy; jego niewidzialna, ale niewątpliwa obecność
była nam tarczą. Mówiliśmy z nim i słyszeliśmy
jego odpowiedzi. Teraz zaś czujemy się samotnymi
i bez podpory w niezmiernym wszechświecie —
żyjemy na świecie złym, bez serca, pełnym niena-
wiści, na świecie, którego zadaniem jedynem zdaje
się być sroga walka o byt. My sami niejako sta-
liśmy się rozprzężonymi żywiołami, które we wście-
kłym egoizmie i bez litości nieustannie walczą ze

sobą a nie spodziewają się ostatecznego, sprawiedliwego pogodzenia... nad nami panuje nicość, albo raczej coś gorszego... bo obojętne, srogie, nielitościwe bóstwo zamiast dobrego niebieskiego Ojca z naszych lat młodzieńczych. ✓

Valmontiers, 23 kwietnia.

Pańi de Courtcheuse, matka Aliety, która od dłuższego czasu chorowała, już umarła. Właśnie nadeszła tu przez Paryż depesza trochę spóźniona o jej śmierci, i odjeżdżam niezwłocznie do Varaville. Córki nie mogę tam zostawić, bo jedyna obecnie jej krewna, panna de Varaville, dzieciwniała na starość. Joasia wkrótce skończy lat dziesięć; nie uchodzi zostawić ją w ręku sług... wezmę ją tedy albo do domu, aby pod mojem okiem rosła i kształciła się, albo oddam do jakiego paryskiego pensjonatu lub klasztoru. Jej dziad, biskup, nie poskapi mi rady w tym względzie, a obecność lubego dziecka, nie jedną osłodzi mi chwilę.

Varaville, 27 kwietnia.

... Na chwilkę... na minutę, gdy z cieniem drogiej nieboszczki zamknąłem się był w jej pokoju, przyszła mi okropna myśl do głowy... Jak marę dzikiej fantazyi odepchnąłem ją od siebie, a teraz ta szalona mara przybiera ciało.

Czy mam to napisać?... Tak, uczynię to, mu-

szę! bo od tej chwili ten dziennik będzie moim testamentem. Jeżeli mam zginąć, niechaj nie ginie ze mną ta tajemnica; muszę powierzyć ją naturalnym opiekunom córki... wszakże chodzi tu o jej dobro, jeżeli nie o życie nawet.

Oto, czegom dożył:

Wiadomość o śmierci teściowej doszła mnie tak późno, że nie mogłem już oddać jej ostatniej posługi. Krewni już się rozjechali, tylko brat Aliety, Żerard Courtcheuse, obecnie kapitan fregaty, bawił jeszcze we Varaville. Powiedziałem mu o mojem postanowieniu względem przyszłości Joasi i on zupełnie się z niem zgodził. Zamierzałem wziąć ze sobą także starą piastunkę, Wiktoryą Genest, która nietylko moje dziecię, ale i matkę Joasi wychowała. Chorowita to i dziwna osoba, byłem więc przygotowany na rozmaite z jej strony trudności, ile że od śmierci żony zajęła wobec mnie nieprzyjacielskie prawie stanowisko. Tylko dla pamięci Aliety cierpliwie znosiłem dotąd jej chmury.

Pewnego dnia, kiedy Joasia bawiła się w ogrodzie, wziąłem ją na stronę.

— Kochana Wiktoryo! — rzekłem — póki żyła pani de Courtcheuse, uważałem za obowiązek zostawić jej wnuczkę, zwłaszcza, że nikt zresztą nie mógłby się zająć lepiej jej wychowaniem, teraz na mnie spada ten obowiązek dalszego kształcenia jej i dlatego zamierzam zabrać ją do Paryża. Spodziewam się, że i ty zechcesz z nami pojechać i nadal także otaczać ją swą opieką.

Zrozumiawszy, o co idzie, pobladła starszka i ręce jej drżały. Przytem wlepiła we mnie siwe swe oczy i kiedym skończył, odrzekła:

— Pan hrabia tego nie uczynisz!

— Uczynię to, moja kochana. Nikt lepiej odemnie nie uznaje twej wierności i poświęcenia, i będę ci wdzięczny, jeżeli i nadal zechcesz się zająć pielęgowaniem Joasi... ale w domu moim ja jestem panem i ja tylko postanawiam o córce.

Położyła mi rękę na ramieniu i rzekła:

— Panie hrabio! nie czyn tego, proszę!

— Kochana Wiktoryo... zaczynam myśleć, żeś oszalała!

— O nie, panie hrabio! jeżeliby miało to się stać, to jużbym dawno była oszalała.

Nie spuszczała ze mnie upartego, surowego wzroku i zdawała się chcieć mnie zbadać aż do głębi duszy.

— Nie wierzyłam temu -- szeptała — nie! nie mogłam uwierzyć; ale jeżeli zabierzesz pan Joasię, uwierzę!

— Cóż to znaczy!?

Zniżyła głos.

— Uwierzę, iż pan wiesz, jaką śmiercią umarła jej matka... i że pragniesz takiej samej śmierci dla dziecka.

— Chcę śmierci dziecka?...)

— Tak, z tej samej ręki!

Zimny pot wystąpił mi na czoło, przeszły po

mnie dreszcze śmiertelne; mimo to usiłowałem się jeszcze bronić przeciw okropnej pewności.

— Wiktoryo! — zawołałem — upamiętaj się!... Nie jesteś szaloną, ale gorzej jeszcze... twoja nienawiść do tej, która zajęła miejsce pierwszej mej żony, ta ślepa nienawiść podszeptuje ci okropne, zbrodnicze słowa!

— Dobrze więc, panie hrabio! — zawołała z dziką energią — po tem wszystkiem, coś pan sły-
szał odemnie, zabierz dziecię ze sobą... jeżeli nie
braknie ci odwagi.

Przeszedłem parę razy po pokoju, aby się uspokoić, potem wróciłem do starej:

— Jakże ci mogę uwierzyć?... gdybyś miała choć odrobinę dowodu na to, o czem mówisz... niepodobna, abyś dotąd była milczała... niepodobna, abyś była dopuściła do tego okropnego małżeństwa?

Poczęła odzyskiwać ufność ku mnie; głos jej łagodniał.

— Nie mogłam inaczej postąpić, panie hrabio! Nim pani hrabina powróciła do Boga, kazała mi przysiąc na krucyfiks, że przed całym światem będę milczała o tej tajemnicy.

— Ależ nie przedemną!... nie przedemną!

Teraz badawczo spojrzałem w jej oczy. Wahała się, lecz wreszcie szepnęła:

— Przed panem nie!.. ale że biedaczka myślała...

— Co?... co myślała?... że może wiem o tem...
żem współwinny?... Mówże raz!

Spuściła oczy i zamilkła.

— Boże! mój Boże!... czy podobna!... Pójdź, kochana Wiktoryo, usiądź tu przy mnie, i... mów... mów wszystko... wszystko co wiesz!... coś spostrzegła... kiedyż się to stało?... Wszakże od dłuższego czasu była chorą?...

— Tak, panie hrabio! ale choroba była bez niebezpieczeństwa, wcale nie groźna... tego zdania byli obaj lekarze, a ja od tak dawna pielęgnowałam panią, żem o tem nie wątpiła. Aż nadto wiem dobrze, kiedy poczęło się niebezpieczeństwo! Pan hrabia przypomni sobie zapewne dzień, kiedy księżna przybyła do Valmontiers i po pannę Sabinę posłano. Tegoż dnia, jestem pewną, panna Sabina rozpoczęła haniebne swe dzieło; bo odtąd cierpienie pani hrabiny pogorszyło się nagle, i zaszła zupełna w jej stanie zmiana. Zaraz powzięłam podejrzenie i poczęłam obserwować pannę... i pewnego wieczora, stojąc za portyerą małego buduaru obok pokoju chorej, gdzie jak sobie pan hrabia przypomni może, przyrządzano lekarstwa i napoje dla chorej, widziałam, jak panna Sabina dobyteła z kieszeni flaszeczkę i z niej parę nalała kropel do filiżanki. »Co to takiego«, zawołałam, pokazując się nagle. Ona poczerwieniała bardzo, ale ze zwykłą krwią zimną odpowiedziała: »Są to krople, które z polecenia stryja mam dawać do herbaty«. Tak mi powiedziała, ale pan hrabia wkrótce się przekonasz, że to był fałsz... Kiedym to odkrycie zrobiła, zapewne już było zapóźno... bo nie pierwszy to raz

stać się musiało... Zrazu chciałam pana hrabiego uwiadomić o tem, ale nie miałam odwagi i udałam się w pierw do pani hrabiny. Zdawało mi się, że dla biedaczki nie było to nowością; mimo to wyłajała mnie: »Wszakże wiesz«, rzekła, »że mąż mój zawsze jest przy tem, gdy Sabina przyrządza mi napój... musiałby więc wiedzieć o tem. Zanimbym jednak miała uwierzyć temu, wolałabym sto razy ponieść śmierć z jego ręki«. I przypominam sobie, jak pan hrabia w tej chwili, kiedy mi to chora powiedziała, przyniosł jej z buduaru filiżankę herbaty. Rzuciła na mnie okropne spojrzenie, wypija napój i w parę minut takie uczuła pogorszenie, iż się zdawało, że już zbliża się jej koniec. Kazała mi podać krucyfiks i przysiędz, że nie powiem nikomu słówka o naszym podejrzeniu. Zaraz potem posłałam po księdza proboszcza. Gdy się wszystko skończyło, Dr. Tallevant, pan hrabia przypomni sobie, jak był przerażony widokiem hrabiny, począł mnie badać. Powiedziałam mu, że od kropel, które kazał panie Sabinie dodawać do herbaty, źle się chorej zrobiło. »Jakie krople?« zapytał, jak ten, który nie wie o czem mowa. »Krople, które panna Sabina przyniosła w ciemnej fiaszeczce«. Poblądł okropnie, popatrzył na mnie pomięszanym wzrokiem, potrząsł głową, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć i odszedł spiesźnie. Usłysawszy zaś na drugi dzień o jego śmierci, pomyślałam sobie, że biedak odebrał sobie życie. Oto wszystko, panie hrabio, co wiem, na co własnymi patrzyłam oczy-

ma — i Bóg mi świadkiem, że ani słówka nie ma w tem kłamstwa.

Umilkła... ja zaś nie miałem siły odpowiedzieć, chwyciłem jej stare, pomarszczone, drżące ręce, oparłem na nich głowę i gorzkimi zalałem się łzami.

.....

Czy będę żył czy umrę, w każdym razie nie zetknie się moja córka z tą nędznicą. Póki żyję, sam temu przeszkodzę, a gdy umrę, kto inny za mnie spełni ten obowiązek. Postaram się o to, aby po mojej śmierci papiery te dostały się do rąk biskupa Courtcheuse, dziada mej córki, a gdyby i on już nie, żył do rąk komendanta de Courtcheuse, brata jej matki. Słowa niniejsze, jak i to co je poprzedza, dostateczną będą wskazówką, czego po nich żądam.

W umowie ślubnej hojnie opatrzyłem Sabinę Tallevant; przeznaczyłem jej jako dożywocie użytkowanie połowy mego osobistego majątku, pozostawiając własność córce. Gdy moja Joasia już ze strony matki ma duży majątek, mniemałem, że jej nie skrzywdzę i dlatego, nieszczęsną opętany namiętnością umieściłem w kontrakcie klauzulę, że na wypadek śmierci córki w stanie niezamężnym, cały majątek ma przypaść Sabinie Tallevant. Należy tedy ochronić córkę nie tylko od moralnego wpływu zepsutej kobiety, ale także zabezpieczyć od ręki zbrodniarki.

Muszę tu wyjaśnić, dlaczego tej kobiety za

spełnioną już zbrodnię nie oddaję w ręce sprawiedliwości. Moje własne wspomnienia, wyraźne zeznanie starej Wiktoryi, nagła, tajemnicza śmierć Dra Tallevanta, jakoteż sąd w charakterze i usposobieniu Sabiny, jaki sobie z biegiem lat wyrobiłem, nie pozwalają wątpić o zbrodni. Gdy mimo to nie nastaję na zasłużone jej ukaranie, czynię to nie dlatego, iż lękam się oskarżenia o współwinę, któreby na mnie rzuciła najpewniej ta podła kobieta, ale dlatego, iż głęboko jestem przekonany, że z prawniczego stanowiska dowody winy okazałyby się niedostatecznymi. Trucizna — nie mogę uniknąć tego straszego słowa — najpewniej została wybrana tak ostrożnie, że nie zostawiła śladu; świadectwo starej Wiktoryi, tak wiernie przywiązanej do mojej pierwszej żony, a tak nieprzychylnie usposobionej względem drugiej, uważanoby za podejrzanę; a co się tyczy mego własnego osobistego przekonania, to chociaż dla mnie jest niewątpliwem, nie może służyć za postawę do śledztwa karnego. Proces zatem, choćby go rzeczywiście można wytoczyć, byłby tylko powodem wielkiego skandalu, jedynym zaś tegoż skutkiem było zniesławienie mego imienia, imienia mej córki.

Od czego jednak nie odstąpię — a to za żadną cenę — to od warunku, iżby ten potwór opuścił Paryż i Francją. Nie zleknię się nawet najcięższych ofiar majątkowych, byle to się stało. Lubię pieniądze — a gdy do tego dodam groźbę, prawdopodobnie ustąpi. W każdym razie, skoro tylko od-

zyskam tyle siły i spokoju, aby znieść widok jej twarzy, sam spróbuję.

... To nikczemne stworzenie ujdzie tedy bezkarnie — jak wiele innych uchodzi i uchodzić będą. Bo kiedy ludzkie namiętności, a szczególnie straszliwa kobiety namiętność, przerwą dawniejsze tamy, i nie zważają na żadne przeszkody i żadnych nie uznają przykazań kodeksu karnego, postęp nauk otwiera im nowe środki do obejścia ustaw i do oślepienia sprawiedliwości.

10 maja.

Umarła z przekonaniem o mojej winie. Okropna myśl, z którą naprózno oswoić się silę. To słabe, łagodne, czułe stworzenie powiedziało sobie: »Mój mąż jest mordercą, to co mi podaje, jest trucizną i on wie o tem...« Z tą myślą, a była to jej ostatnia, umarła... i nigdy, nigdy nie dowie się, że się myliła... że byłem niewinny... uważam się za najnędzniejszego między nędzaczami! — O Boże wszechmocny, jeżeli jesteś, patrz jak cierpię... zmiłuj się nademną!

O jakżebym rad wierzyć, że nie wszystko skończyło się między nami, że mnie widzi, słyszy... że wie, co prawda... ale nie mogę! nie mogę!

1 czerwca.

Wiem, co mówią przeciw modlitwie: nie ma celu, i nigdy nie może mieć skutku, bo Bóg, jeżeli jest i jakiby był, na bieg rzeczy nie wpływa przez nagłe działanie, nie rządzi przez cuda, i nigdy na

prośbę jednostki nie działa przeciw powszechnemu porządkowi. O tem wątpić nie można, a mimo to zapatrywanie takie uważam za przesadne i nielitonne. Kto wierzy w Boga i modli się do Niego, ten niezawodnie w bliższym zostaje z Nim obcowaniu, i z tego przeświadczenia wielką czerpie siłę i niewymowną pociechę. A czyż to zresztą tak pewne, że modlitwa zawsze jest nieskuteczną? Jak możemy to wiedzieć? Niezawodnie wiele jest nedorzecznych modlitw, których spełnienie naruszyłoby Boski porządek wszechświata. Ale czyż to nie możliwe, iżby Bóg wśród tego wiecznego porządku nie wskazał miejsca, pola skuteczności modlitwie? Czyż bez naruszenia porządku świata i bez cudów, nie może wpłynąć na myśli i wolę modlącego się? Czyż matce, błagającej o życie dziecięcia, nie wolno mieć nadziei, że ujrzy je ocalonem — nie cudem, ale wskutek własnej troskliwości, którą ją Bóg natchnie?... A czyż mężczyzna, proszący Boga o wiarę, o oświecenie łaską, żąda naruszenia praw natury? Czy nie wolno mu spodziewać się, że zejdzie nań światło, o które prosi?

W czerwcu.

Ostatnią jej myślą było posądzenie mnie o zbrodnię... i nigdy nie pozna swego błędu!... Wszystko zdaje się ginać, gdy umieramy... wszystko wraca do żywiołów... możemyż więc wierzyć w cudowne ciała zmartwychwstanie?... Ależ znowu czy nie cudem i tajemnicą jest wszystko około nas,



nad nami, w nas?... Sam wszechświat jest nieustającą cudem.

A czyż może odrodzenie się człowieka z łona śmierci jest większą, mniej zrozumiałą tajemnicą, niż pierwsze jego urodzenie z łona matki?

.

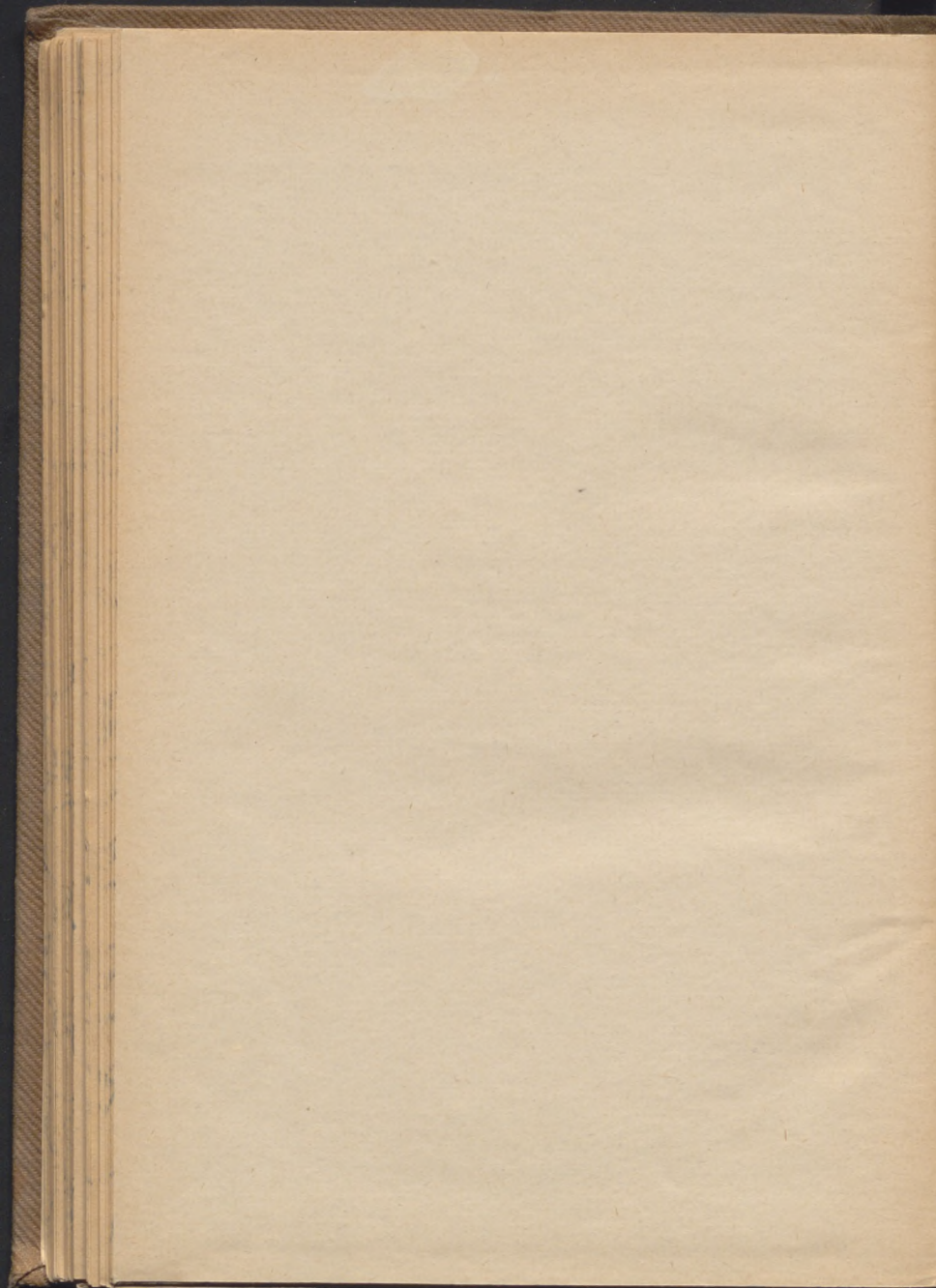
Oto ostatnie wiersze z ręki Bernarda de Vandricourt. Zdrowie jego w ostatnim czasie podkopane zostało przez zmartwienia i troski, i nie mogło się oprzeć wstrząśnieniu ostatniego, ciężkiego doświadczenia. Nieznacząca prawie choroba, której symptomatem był mały wrzód w gardle, w kilku dniach śmierć jego sprowadziła.

Czując zbliżanie się śmierci, Bernard wezwał do siebie biskupa de Courtcheuse; pragnął umrzeć we wierze Aliety. *Za życia* biedaczka została pokonana, *po śmierci* odniosła zwycięstwo.

P. S. Nie potrzebuję dodawać, że w tej powieści (przedstawionej według własnoręcznych zapisków, z których główne ustępy powtarzamy dosłownie) z pewnych względów delikatności musieliśmy zmienić nazwiska, miejsca i daty. Bylibyśmy nawet wstrzymali się od wszelkiej publikacji, gdyby osoba występująca w ostatniej części, jako hrabina Vandricourt nie była znikła oddawna z widowni paryskiej, aby awanturnicze życie zakończyć za granicą.



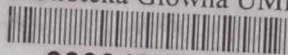
1874
1875



12 -

19 viii 65, 044613

Biblioteka Główna UMK



300048221464

